

KULISY TRAGEDII W GŁOGOWIE

Zagadka śmierci Pawła Chruszcza
– śledztwo „Do Rzeczy”



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 26/278 25 CZERWCA–1 LIPCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Co zrobić z Rosją
– Semka kontra Ziemkiewicz

BOJAŃCZYK O NAJLEPSZYCH
KURORTACH EUROPY.
NA POZĄTEK
– JURATA



Zychowicz o Hemingwayu
– sowieckim agencie

ZAGUBIONY



**CZY PREZYDENT
ANDRZEJ DUDA
POTRAFI WYJŚĆ
Z KRYZYSU?**

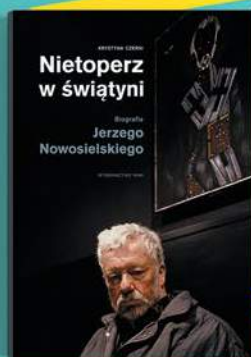
ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 90 tys. egzemplarzy

cmrca.pl 0160452470



59,90 Zł
41,93 Zł

BESTSELLEROWA BIOGRAFIA

Jerzego Nowosielskiego. Opowieść o fascynującym malarzu i myślicielu, w którego sztuce cała rzeczywistość podlega uświęceniu.



36,90 Zł
25,83 Zł

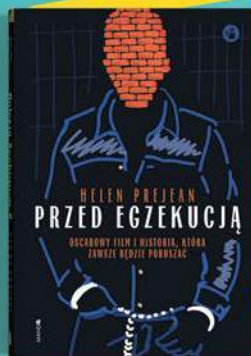
PORYWAJĄCE PORTRETY

dziesięciu kapelanów Powstania Warszawskiego, księży, którzy towarzyszyli powstańcom roku 1944 i sami walczyli. Ich życiorysy są dowodem na to, jak potężna jest siła Ducha. Nawet w obliczu klęski.



39,90 Zł
27,93 Zł

WIZJONER, który wymyślił życie. Nie tylko swoje. Pierwsza pełna biografia Piotra Skrzyneckiego.



39,90 Zł
27,93 Zł

SIOSTRA HELEN PREJEAN

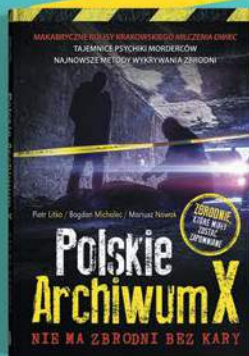
porzuciła spokojne życie, aby towarzyszyć mordercom prowadzonym na krzesło elektryczne. Ta przejmująca historia walki o godne traktowanie skazańców nikogo nie może pozostawić obojętnym.



39,90 Zł
27,93 Zł

ROPA.

Niektórzy wróżą jej rychły koniec, jednak ona ciągle pojawia się na salonach, bryluje, potem siada do dyskretnych rozmów. Ma nas wszystkich w garści. Wiodła życie gwałtowne. Czy wreszcie się ustatkowała?

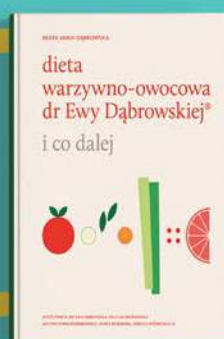
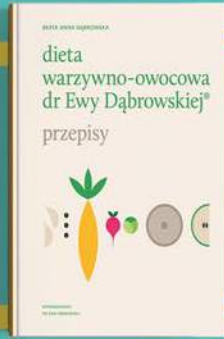
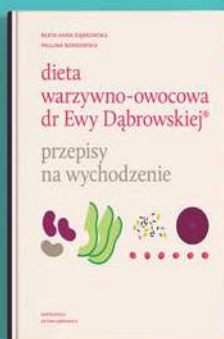


34,90 Zł
24,43 Zł

WSPÓŁTWÓRCY KRAKOWSKIEGO „ARCHIWUM X”

w toku wielu śledztw przeszli szkołę, w której lekcje prowadzili najokrutniejsi przestępcy. Ta książka jest tego świadectwem.

JEDZENIE, które spożywasz na co dzień, może być najlepszym i jedynym lekarstwem, jakiego potrzebujesz. Przejmij, dzięki książkom dr Ewy Dąbrowskiej, kontrolę nad swoim zdrowiem.



3x 34,90 Zł
3x 24,93 Zł

rabat **30%**
kod: DRZ

Zamówienia
wydawnictwowam.pl

eprasa.pl 0650452470

zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zadanie dla Polski

Historia uczy, zresztą nie tylko ona, że piekło wybrukowane jest dobrymi intencjami. Ileż to razy już zdarzało się, że chęć realizacji szczytnych skądinąd i szlachetnych idei pociągała za sobą dramatyczne konsekwencje. Doskonałym przykładem takiego rozżewu między celami a skutkami był choćby traktat wersalski po I wojnie światowej. Co bardziej przenikliwi obserwatorzy doskonale widzieli, że porozumienie to, które w zamyśle twórców, zwłaszcza w USA, Wielkiej Brytanii i Francji, miało prowadzić do stałego pokoju w Europie, zawierało w sobie zakodowane załączki przyszłej katastrofy.

Czy podobne skutki może przynieść deklaracja Angeli Merkel i Emmanuela Macrona, którzy na spotkaniu na zamku Meseberg w Brandenburgii ogłosili, że chcą stworzenia wspólnego budżetu strefy euro? Trudno powiedzieć,

ale wątpliwości jest bardzo dużo. Intencjom obu przywódców trudno coś zarzucić. Na pewno chcą większej integracji i wierzą, że wspólny budżet państw, które przyjęły euro, pozwoli łagodzić kryzys wynikający z nierówności gospodarek niemieckiej i francuskiej z jednej strony oraz państw Południa z drugiej. Jak się to ma jednak do umowy wiążącej wszystkie państwa Unii? Czy takie zacieśnienie więzi członków strefy euro nie prowadzi do rozluźnienia relacji z tymi krajami, które euro nie przyjęły? I czy w dłuższej perspektywie to jest właśnie ta niechciana konsekwencja, która majaczy na razie na horyzoncie: czy powstanie osobnego wspólnego budżetu państw strefy euro nie doprowadzi do rozsadzenia Unii? A dalej: czy takie rozbitcie Unii nie przyniesie w konsekwencji zagrożenia również Francji i Niemcom, bo rozpad Unii przełoży się na wzrost niepewności i – znowu niechciana konsekwencja – być może

w obu państwach dojdą do głosu te siły społeczne, które w ogóle zanegują potrzebę integracji?

Deklaracja z Mesebergu to początek drogi. Co ona znaczy, dokładnie nie wiadomo. Diabeł tkwi w szczegółach, a tych do tej pory nie znamy. Jednak wydaje się, że już teraz można jasno dostrzec niebezpieczeństwa wynikające z projektu.

To, że każde państwo strefy euro może decydować o swoim budżecie, jest rzeczą oczywistą. Jeśli Niemcy i Francja, a może też Włochy, Hiszpania, Grecja i pozostali członkowie strefy chcą wydzielić w swoich budżetach narodowych osobny dział i przeznaczyć go na finansowanie wspólnych przedsięwzięć, to ich sprawa. Jednak nie może być tak, żeby ewentualne powstanie osobnego budżetu strefy euro negatywnie wpłynęło na zaangażowanie tych państw w budżet unijny. Byłoby to zerwanie warunków współpracy i powinno pociągać za sobą stanowczy sprzeciw wszystkich państw spoza strefy. To jest prawdziwy warunek sine qua non: powstanie budżetu strefy euro nie może mieć negatywnego wpływu na zobowiązania tych państw względem całej Unii.

Wydaje się, że jasne określenie tego postulatu mogłoby być teraz najważniejszym zadaniem dla Warszawy. Czy nie jest to właśnie wyzwanie dla premiera Mateusza Morawieckiego, który tyle mówi o roli Polski w Unii? Dlaczego na przykład Warszawa nie może doprowadzić do spotkania państw Unii niebędących członkami strefy euro – Szwecji, Czech, Węgier czy Rumunii i Chorwacji – na którym taki warunek zostałby wyraźnie przedstawiony? Na pewno mamy nie mniej nadających się do tego zamków niż Niemcy. ©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

POGUBIONY PREZYDENT

Czy tę prezydenturę da się uratować?



KRAJ

22 PIOTR SEMKA

ROSJA – MRO CZNY OBIEKT POŻĄDANIA

Polemika z tekstem „Kwadratura Rosji i Niemiec” Rafała A. Ziemkiewicza

26 ROZMOWA Z LESZKIEM SOSNOWSKIM,
PREZESEM WYDAWNICTWA BIAŁY KRUK

DAĆ MEDIALNĄ SZANSĘ RODAKOM



28 ŁUKASZ WARZECHA
MEDIA W RYZACH?

30 ROZMOWA
Z WŁODZIMIERZEM
CZARZASTYM

SCHETYNA NIE UMIE BUDOWAĆ SOJUSZY

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
KILKA NIEPOKOJĄCYCH DNI

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
W CIENIU EUROPY

38 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ZDECENTRALIZOWAĆ
KOŚCIOŁ W POLSCE?

40 RADOŚLAW WOJTAS
WIDMO ZWYCIĘSTWA

KULTURA

42 ROZMOWA ZE SŁAWOMIEM ZAPŁĄ
CENIĘ NORMALNYCH LUDZI
Najważniejszą rolę trzeba dać sobie samemu

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
NIBY-POLSKA EUSTACHEGO RYLSKIEGO

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA Z MELISSĄ OHDEN
PRZEŻYŁAM ABORCJĘ. DOŚŁOWNIE
Życie z piętnem odrzucenia

56 STANISŁAW ŻARYN
ATAKOWANI PO KRYJOMU

59 ROZMOWA Z TOMASZEM KAŻMIEROWSKIM
W KRAJU MUNDIAŁU



HISTORIA

62 PIOTR ZYCHOWICZ
CZERWONY
HEMINGWAY
Tajemnice archiwum
KGB

66 MARCIN
MAKOWSKI
WYŚCIG DO
WNĘTRZA ZIEMI

ŚWIAT

70 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
TRUMP NA PÓŁMETKU
Jaki jest kurs Białego Domu

72 TERESA STYLIŃSKA
HISTORIA PRZYWŁASZCZONA

EKONOMIA

76 ROZMOWA Z PROF. ROBERTEM
GWIAZDOWSKIM

MECHANIZM GETBACK
Afera na miarę Amber Gold?

80 STEFAN SĘKOWSKI
NASZE NIESOLIDARNE PODATKI



LATO „DO RZECZY”

86 PIOTR GOCIEK Z KRETY
POWRÓT NA KRETĘ
Ulubiona wyspa Polaków

88 JOANNA BOJAŃCZYK
NAJLEPSZE KURORTY EUROPY – JURATA

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
ZŁODZIEJKA WZROKU
Choroba powiek

Dominator na morzu



Z okazji Święta Marynarki Wojennej
wszystkim marynarzom życzymy
stopy wody pod kilem

Droży Czytelnicy,

W tym tygodniu wracamy do rozmowy Macieja Pieczyńskiego z dr Ewą Kurek zamieszczonej w nr. 19 „Do Rzeczy” z maja tego roku.

„Ewa Kurek tego nie wymyśliła!”

Szanowna i Droga Redakcjo, w swoim wywiadzie u Was opublikowanym („Do Rzeczy” nr 19/2018) Pani Dr Ewa Kurek popełnia wielki błąd, nie podając dat wydarzeń w getcie warszawskim, o których mówi.

Dla przykładu propozycja kasyna, choć odrzucona przez okupanta niemieckiego, wcale nie była absurdalna; na początku w getcie toczyło się najnormalniejsze życie, włącznie z ogromnie rozwiniętym handlem. Doskonale pamiętam, choć byłem tylko chłopczykiem, jak dorośli jeździli do getta, aby wymieniać waluty lub handlować biżuterią.

Konferencja w Wannsee odbyła się dopiero 20 stycznia 1942 r. Powstanie w getcie to kwiecień 1943 r. Miliony laików takich jak ja nie znają dat szczegółowych: kiedy zaczęły się represje i jakie; kiedy zaczął się głód i od kiedy dzielni chłopcy przeczucali bochenki chleba ponad murem; kiedy odjechał pierwszy pociąg do Auschwitz; kiedy niezwykły i bohaterski

Krystyna Janda
Pierwsza Polka w kolimacji



ce zaręczy krytyce i kłopoty

Korczak wyjechał, towarzysząc swoim podopiecznym, aby zginąć razem z nimi...

Wszyscy mamy utrwalaony obraz getta jako miejsca najkoszmarniejszego, ale wcale tak nie było na początku okupacji.

Pisząc ten list, pomyślałem, że warto by było, aby właśnie Pani Doktor, mając

swoją warsztat, linki i archiwum, napisała choćby artykuł „Ewolucja warszawskiego getta”, a może i małą książeczkę. A na razie skrót skrótów mógłby się u Was ukazać jako postscriptum wywiadu.

Poza tym moim zdaniem każda relacja o gettach okupacyjnych powinna zaczynać się od przypomnienia, że dopiero okupanci niemieccy wprowadzili pierwsze getta na terenach Polski, poczynając od 1939 r.

Z poważaniem i z poważaniem
dla Pani Dr Ewy Kurek
Jan Stecki
prof. dr hab., emeryt

Odpowiedź dr Ewy Kurek

Szanowny Panie Profesorze, przede wszystkim serdecznie dziękuję za mądrą i twórczą krytykę. Na swoje usprawiedliwienie, jeśli chodzi o daty i różne inne problemy, mogę powiedzieć tyle tylko, że wywiad dziennikarski rządzi się swoimi prawami, które wyznacza prowadzący go dziennikarz. Ja odpowiadałam jedynie na zadawane mi pytania. Dlatego nie w mojej mocy było syntetyczne przedstawienie bardzo ważnych problemów, o których Pan Profesor pisze. W moich książkach natomiast, jeśli chodzi o getta w Polsce, wprowadzam bardzo ostrą cezurę: lata 1939–1942, gdy jak pan pisze, „w getcie toczyło się najnormalniejsze życie”, oraz np. dla Warszawy okresu po 22 lipca 1942 r., gdy nadszedł czas zagłady. [„Poza granicą solidarności. Stosunki polsko-żydowskie 1939–1945”, Lublin 2008, s. 136–205]. W moich książkach przywołuję również nie tylko wspomnianą przez Pana Profesora konferencję w Wannsee z początku roku 1942, lecz także ważną naradę w Berlinie z 21 września 1939 r., na której Niemcy wytyczyli sobie kolejne etapy działań prowadzących do zagłady polskich Żydów, zastrzegając, że „zaplanowane łącznie posunięcia (a więc ostateczny cel) muszą być utrzymane w ścisłej tajemnicy” [„Dzieci żydowskie w klasztorach”, Lublin 2017, s. 22]. Jeśli zaś chodzi o publikację mojego artykułu w „Do Rzeczy”, jeśli Redakcja uzna Pański postulat za celowy, gotowa jestem przygotować go pod proponowanym przez Pana Profesora, świetnym zresztą, tytułem „Ewolucja warszawskiego getta 1939–1943”.

Z poważaniem
Ewa Kurek



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Waldemar Łysiak,
Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cieniewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika
Ćosić (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn,
Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Tzmiel, Gabriel Michalik,
Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz,
Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz
P. Terlikowski, Błażej Torajski, Matthew Tymmand, Paweł Wawrzynski, Szwach
Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puz,**
Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk (także SuperExpress), **Mateusz**
Maranowski (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Marcin Berkowski,**
Jacek Nadratowski, Anna Sobieszka-Wojtowicz, Włodzisław Zakrzewski
Fotoodbicia: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,**
Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa,**
Mirosław Owczarek

Okładka: **Grzegorz Banaszak/REPORTER, Fotolia; oprac. graf.: JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza);

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 90 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1 prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowe Trójpzymierze

Jedną z zalet studiowania historii jest odkrywanie – często po wielu latach – jak silne są tendencje do sojuszy, które istniały już wiele lat temu. Brytyjczycy zawsze żyli dobrze z Portugalią. Irlandczycy znajdowali oparcie przeciw Anglii we Francji. Ameryka mimo waśni tradycyjnie dogaduje się z Wielką Brytanią. Armenia zawsze szuka ochrony w ramionach Rosji. A Polacy zazwyczaj miewają wspólne interesy z Węgrami.

Na podobnej zasadzie po 136 latach odradza się Trójpzymierze – sojusz Włoch, Austrii, Węgier i przynajmniej części sił politycznych w Niemczech. To pierwsze Trójpzymierze zawarto w 1882 r. Szanse na powrót do starej konstelacji stworzyła wygrana koalicji konserwatywnej w Austrii i obozu tożsamościowców we Włoszech, którzy dołączyli do idei weterana konserwatywnej rewolucji Viktora Orbána. Wiele wskazuje, że do tego teamu dołączy Słowenia z premierem Janezem Janšą.

Akces do wspólnego frontu antyimigracyjnego zgłasza też Horst Seehofer – lider współrządzącej w Niemczech CSU. Ten ostatni oka-

zał się ostatnio tak silny, że zmusił Angelę Merkel do szukania dróg do zaostrzenia kontroli na granicach.

Liderzy nowej grupy nie mają zahamowań przed stawianiem na nowo spraw, które wydawały się zamrożone w okowach politycznej poprawności. Viktor Orbán nie tylko nie błaga na kolanach Europejskiej Partii Ludowej, by go nie wyrzuciła ze swego składu, lecz także ostrzega, że jeśli EPP nie zwróci się ku chrześcijańskim korzeniom, to należy powołać jakąś nową formację przed wyborami do europarlamentu. Orbán nie ma też zahamowań, by wskazywać na NGO jako aktywnych szmuglerów imigrantów do Europy. Równie zdecydowani są liderzy Włoch. Matteo Salvini, szef włoskiego MSW, nie wahał się nie wpuścić statku z imigrantami do włoskich portów, a gdy prezydent Macron skrytykował tę decyzję, premier Conte odwołał swoją wizytę w Paryżu. Trzeba było gestych przeprosin Macrona, by do wizyty doszło. Była to wyraźna demonstracja, że Rzym nie pozwoli na wtrącanie się obcych do suwerennych decyzji Włoch.

Dla Polski ten nowy alians ma zalety i wady. Zalety to wzmocnie-

nie obozu otwarcie kontestującego wszechwładzę Brukseli i w pełni popierającego polski sprzeciw wobec odgórnie wyznaczanych kwot rozdziału imigrantów. Orbán otwarcie kwestionuje też projekt nowego budżetu unijnego, który uderzy w interesy wschodu Unii.

Wady są takie, że cała grupa Trójpzymierza nie ma problemów we współpracy z Putinem. A kanclerz Sebastian Kurz demonstracyjnie trzyma dystans nie tylko wobec Polski, lecz także Czech oraz Słowacji. Fakty są jednak faktami. Nowy blok zmieni architekturę Europy na najbliższe lata.

Obserwacja, jak dawne alianse odtwarzają się w nowych dekoracjach, to także sygnał dla nas. Tak jak dla państw środka Europy historycznym punktem odniesienia jest tradycja imperium habsburskiego, tak i dla wschodniej Europy prędzej czy później punktem odniesienia okazać się może tradycja kooperacji dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, którą połączył kiedyś lęk przed Teutonami i przed Moskwą.

Naprawdę warto uczyć się historii. ©©



FOT. MICHAŁ KOŚC/FORUM

PRZYBYWA ZWOLENNIKÓW MORAWIECKIEGO

W czerwcu aż 49 proc. ankietowanych Polaków pozytywnie oceniało premiera Mateusza Morawieckiego. Niezadowolonych z tego, że krajem kieruje Morawiecki, było 28 proc., a 23 proc. badanych nie miało zdania – wynika z najnowszego sondażu CBOS. Z badania wynika również, że 38 proc. Polaków deklaruje się jako zwolennicy obecnego rządu, a 24 proc. jako jego przeciwnicy. Obojętnych jest 33 proc. pytanym. (jap) ©©

MUNDIAL OKIEM JASTRZĘBIA

Odi et futbol amo

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Schodzę więc z murawy. Jest 60. minuta meczu, a ja ostentacyjnie schodzę z murawy pubu restauracji Brooklyn w Warszawie i idę sobie na spacer pustymi ulicami. W nastroju jestem raczej nitrogliceryną. Nie jest to żadna kryptoreklama tego pubu, bo pizze mają tu za tłuste, a kelnerki bynajmniej, bynajmniej, ale to inny temat. Tutaj jest pisane o sprawach mundialu w Rosji 2018, więc ważne są fakty. A fakty są takie, że tu właśnie z kumplami oglądałem mecz Polska – Senegal, a właściwie już nie oglądałem, bo przecież napisałem przed chwilą, że wyszedłem. Bo – jak

Boga kocham – ja już nie mogłem. I jeszcze mi przy wychodzeniu jakiś koleś wbija szpilę: „Prawdziwy kibic zostaje do końca” i trochę ma rację,

a trochę wcale że nie. Ja nic nie odpowiadam, bo za mocno mam w tym momencie zaciśnięte zębopięści. Bo przecież ten chłopak wierny nie wie, że wychodząc, uchroniłem rzutnik kolorowy, drogi, od gwałtownej śmierci, że wychodząc, powstrzymałem burzę latających krzesel, której wir zaczął się we mnie kręcić, że nie pozwoliłem słowom Bogusława Lindy wydobyć się z mojego gardła z nazbyt głośną ekspozycją, zresztą przy mnie siedziała piękna kobieta (spokojnie, Izuniu, to żona przyjaciela, a on był obok niej, naprawdę nie ma się co denerwować). Dzięki mojemu wyjściu tłum w pubie sobie doobojrzy mecz, a ja nie będę miał nowych kłopotów z policją, co też jest jednak jakąś wartością.

Ech... A tyle miałem w sobie wiary, tyle miałem w sobie radości, tyle miałem w sobie nadziei. Tak sobie ostrzyłem serce na ten mecz. Bo przecież po 12 latach jesteśmy z powrotem na mistrzostwach świata, a drużynę mamy złożoną z gwiazd, bo przecież Lewandowski, Błaszczykowski, Piszczek, Krychowiak, Grosicki, Szczęsny... Pazdana dodać czy nie? Na sto procent byłem przekonany, podobnie jak 50 mln Polaków oglądających według Jacka Kurskiego mecz na żywo przed telewizorami, że wygramy, że będą i piękne zwycięstwo, i piękne widowisko. Że co? Że Jacek Kurski podał jednak trochę niższe dane? A to przepraszam, ale tego mu przecież życzymy.

Wróćmy jednak do mundialu. Przecież ja nie miałbym żalu, gdyby nasi przegrali mecz. Trudno, zdarza się, taki jest sport. Nie miałbym żalu, gdyby grali. Ale przecież oni przyjechali z tego Soczi do tej Moskwy na lans chyba. Normalnie spacerki po

trawie, piłka im na boisku wadziła. Jeden do drugiego nie potrafił celnie podać, a już w okręgówce to np. umieją takie sztuczki. A gdy pokazywali zbliżenie naszych, to złośliwie pomyślało się mi (naprawdę samo mi się pomyślało), że ten jeden nasz to nam do kamery teraz w czasie meczu powie, dzięki czemu on nie ma łupieżu. Ech...

Po meczu z Senegalem, czyli już w trakcie, byłem więc na naszych bardzo zły, bardzo byłem rozczarowany, smutny i wściekły, bo oni nie walczyli wcale, no normalnie nic. O to miałem żal. Nie o przegraną po bitwie, bo żadnej bitwy nie było.

Tutaj Państwu zdradzę pewną tajemnicę, tylko proszę, żeby zostało między nami, żeby nie rozgadać. Otóż z powodów wydawniczych (skład, drukarnia etc.) ja ten tekst piszę przed meczem o wszystko – Polska – Kolumbia. Co wcale nie świadczy o jego nieaktualności. Przeciwnie – dzięki temu ten tekst jest ponadczasowy i tak zostanie zapamiętany. Przecież obojętnie co, to przecież my, kibice, zawsze będziemy z naszymi. Taki nasz los i już. Niestety, tak to wygląda, rady na to nie ma. Nasi wygrywają, my w euforii z nimi, nasi przegrywają, my w smutku i złości z nimi, chociaż udajemy przez chwilę, że wcale nie z nimi, ale jednak z nimi. Nic tu się nie da zmienić. Przecież każdy kibic zna od pierwszych wybitych zębów mlecznych Pieśń 85 po łacinie rzymskiego poety Katullusa, który można sparafrazować jako „Odi et futbol amo” na pamięć, czyli „Kocham piłkę i nienawidzę” i jej krótkie tłumaczenie: „Kocham i nienawidzę. Zapytasz być może: Jakże to się dzieje? Nie wiem, lecz czuję, że tak jest, i nad tym boleję”. Krótko mówiąc, najpierw umrze Słońce, potem nasza wiara. ©©



Jak Polacy spędzą wakacje?

Urlop Polaków trwa zazwyczaj od 8 do 13 dni, a najpopularniejszym celem wakacyjnych wyjazdów naszych rodaków jest morze, gdzie planuje wyjechać aż 43 proc. naszych rodaków.

Z badania grupy KRUK wynika, że średnio na osobę wydamy w tym roku na urlop 1677 zł. Co czwarty Polak (28 proc.) spędzi wakacje w domu. Spośród tych, którzy zdecydują się wyjechać, 36 proc. wybierze odpoczynek w Polsce, a na wypad do innego kraju Europy wybierze się 13 proc. z nas.

Polacy planują spędzić wakacje z rodziną (40 proc.) lub partnerem (30 proc.). Większość naszych rodaków finansuje swoje wakacje przede wszystkim z oszczędności i bieżących zarobków. 11 proc. z nas zapożycza się przed wyjazdem.

Z kolei z raportu fińskiej firmy Ferratum wynika, że Polacy na podróżę wydadzą 40,1 proc. miesięcznego budżetu. Więcej na wakacje przeznaczą Niemcy (50,8 proc.), Bułgarzy (46 proc.) oraz Finowie (41 proc.). © (jap)



FOT. FOTOLIA

AGENCJA S&P: DOBRA OCENA DLA POLSKI

„Uważamy, że prężną gospodarkę Polski wspiera reżim płynnego kursu walutowego oraz niezależna i wiarygodna polityka Narodowego Banku Polskiego” – napisali w opublikowanym 21 czerwca raporcie analitycy agencji Standard & Poor's. Jednocześnie zwrócili oni uwagę na to, że polska gospodarka „nie posiada wyraźnych nierównowag, bilansuje to wyższa podatność na zmienność kursu walutowego oraz potencjalne szoki zewnętrzne”.

Analitycy S&P podtrzymali w najnowszym raporcie prognozy dynamiki PKB Polski na lata 2018–2020 na poziomie, odpowiednio, 4,5 proc., 3,5 proc. i 3,0 proc. rocznie. Agencja ostrzegła jednak przed udziałem państwa w sektorze bankowym i zwróciła uwagę, że: „Osłabienie niezależności i autorytetu Trybunału Konstytucyjnego oraz innych ciał sądowniczych może ciężać wzrostowi gospodarczemu w długim terminie”. (jap) ©

APPLE PAY WRESZCIE W POLSCE

Od 19 czerwca właściciele mobilnych urządzeń marki Apple mogą już chodzić na zakupy, nie zabierając ze sobą gotówki czy karty płatniczej. Płacić można bowiem, zbliżając telefon lub zegarek do czytnika kart zbliżeniowych. Usługę Apple Pay oferują obecnie BZ WBK, BGŻ BNP Paribas, Alior Bank, Getin Bank, Raiffeisen Bank i Nest Bank. Możliwość płacenia smartfonami i smartwatchami już wcześniej mieli użytkownicy urządzeń z systemem Android. Google Pay obsługują już m.in. Alior Bank, BGŻ BNP Paribas, Bank Zachodni WBK, Citi Handlowy, Eurobank, Getin Bank, ING, mBank, Nest Bank czy Raiffeisen Polbank. (jap) ©

REKLAMA

XVIII FESTIWAL TEATRU POLSKIEGO RADIA
I TEATRU TELEWIZJI POLSKIEJ

DWA TEATRY - Sopot 2018

29 CZERWCA - 2 LIPCA

POLSKIE RADIO

TVP TELEWIZJA POLSKA



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Polityka obok ludzi

Ciekawostka z najnowszej edycji rocznego badania Eurobarometr. W każdym z państw należących do Unii pytano m.in. o dwa największe – zdaniem ankietowanego obywatela – problemy, stojące przed jego krajem. Polacy na pierwszym miejscu umieścili służbę zdrowia i bezpieczeństwo socjalne – co-
kolwiek pod tym wieloznacznym

rankingach wygrywało, dziś mamy problem dokładnie odwrotny, braku chętnych do pracy i wynikającego z tego napływu imigrantów. W czym zresztą problem dostrzega tylko 8 proc. ankietowanych, można rzec – na razie.

Wszystkie pozostałe sprawy – wysokie opodatkowanie, środowisko naturalne, edukacja – miały zaledwie po kilka procent wskazań. Badanie w ogóle nie wykazało, żeby Polacy uważali za jakiś istotny problem „zagrożenie praworządności”, „łamanie konstytucji” czy „rozmontowywanie państwa prawa”. Ale nie wynika też z niego zainteresowanie dla walki z korupcją i w ogóle prześiępczością, niewiele osób uznaje za istotny problem mieszkaniowy i mało kto kłopotce się o ogólną sytuację ekonomiczną.

Oczywiście, żeby wyciągać z takich badań daleko idące wnioski, trzeba by je kilka razy

powtórzyć i znacząco uzupełnić. Sądzę jednak, że pokazuje ono coś charakterystycznego: odczucia Polaków rozmiągają się z przekonaniem polityków, że to oni narzucają tematy debaty publicznej. Ważne jest to, co ludziom doskwiera – a nie to, co im panie i panowie z mediów jako ważne podają. I z tym, czego wyborcy oczekują, rozmiągają się w tej chwili zarówno władza, jak i opozycja. Ta pierwsza, wymyślając kolejne opłaty i daniny, na czele z nieszczęsną podwyżką ceny benzyny, w imię mglistych obietnic rozwoju; ta druga zaś zamykając się w matriksie, w którym znowu „gęgacze” walczyć muszą z „cichymi” o wolność słowa i zgromadzeń.

Czyż nie tu właśnie jest odpowiedź na zadawane co i raz pytanie, dlaczego Polacy tak mało angażują się w życie publiczne, tak nielicznie stawają przy urnach wyborczych i okazują tyle zniechęcenia politykom? ©©

Ważne jest to, co ludziom doskwiera – a nie to, co im panie i panowie z mediów jako ważne podają

pojęciem rozumieć – a na kolejnych wzrost cen i kosztów życia oraz emerytury. Z pozostałych kwestii zaledwie 14 proc. wskazało na dług publiczny, a 10 na bezrobocie – chyba z przyzwyczajenia, bo choć przez ćwierć wieku zawsze w tego typu



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Aaaby aferę znaleźć...

Jeśli nie idzie, to nie idzie. Od kilku miesięcy działacze Platformy rozpaczliwie próbują znaleźć „ośmiorniczkę Morawieckiego”. Powodzi im się z tym tropieniem „afer Morawieckiego” jak, za przeproszeniem, paniencie lekkich obyczajów porą deszczową, ale próbują.

I tak „wykryli” grubą aferę z księdzem, od którego Morawieccy mieli wyłudzać kasę. Raz-dwa i okazało się, że ów bohater platformerskiej konferencji prasowej jest fiksztem przekonany, że ludzie premiera chcą go zabić, używając

do tego drona. Wiarygodność: mniej niż zero.

A jeśli już o wiarygodności mowa, to niedługo po tym „Gazeta Wyborcza” „ujawniła” – jak twierdziła – list prezesa upadłej firmy GetBack Konrada K. do premiera Morawieckiego, w której to szef szemranej spółki miał zabiegać o pomoc rządu. Rychło jednak się okazało, że był to list biznesmena nie do Morawieckiego, a Kaczyńskiego, dziennikarze „śledczy” poprzekreślali fakty, a działania rządu i państwowych służb w tej sprawie okazały

się transparentne i zgodne z prawem, bo aferałek pomocy żadnej nie dostał.

Iwreszcie poseł Brejza wrzucił zdjęcie, na którym Morawiecki odbiera statuetkę, a sama impreza miała być pod patronatem firmy windykacyjnej GetBack. Zdaniem posła Brejzy – „to obciąża premiera”. Szacunek, Panie Pośle – nikomu jeszcze do tej pory nie udało się aż tak zaorać własnej partii. Patrząc na listy spotkań polityków PO, imprez, w których uczestniczyli ludzie dziś z zarzutami prokuratorskimi, Brejza załatwił swoje ugrupowanie na cacy. ©©



Przywódcy V4 zdecydowali, że nie pojadą na nieformalny szczyt do Brukseli. W ich spotkaniu udział wziął kanclerz Austrii FOT. AP/EAST NEWS

Bojkot szczytu o imigracji?

Przywódcy kilku krajów Unii Europejskiej zaplanowali spotkanie dotyczące spraw nielegalnej imigracji.

Szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker tłumaczył, że ten nieformalny szczyt przeznaczony jest dla krajów, które są zainteresowane rozwiązaniem kryzysu wywołanego przyjmowaniem do Europy nielegalnych imigrantów.

Udział w spotkaniu (które odbyć miało się 24 czerwca – już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy”) zapowiedziały Niemcy, Austria, Włochy, Francja, Grecja, Bułgaria i Hiszpania.

Wiadomo, że na organizacji szczytu najbardziej zależało Angeli Merkel. Kanclerz Niemiec została bowiem postawiona pod ścianą przez jej koalicjanta. CSU zażądało bowiem, by do końca czerwca wypracowane zostało

rozwiązanie w sprawie unijnej polityki migracyjnej. Szef CSU i jednocześnie minister spraw wewnętrznych Horst Seehofer zapowiedział, że w innym wypadku Niemcy będą musiały zakazać wjazdu imigrantom. Na to Merkel zgodzić się nie

chce i dyplomatycznie odpowiadała, że tę kwestię trzeba rozstrzygnąć na forum krajów unijnych.

Czy to się uda? Można mieć wątpliwości. Bo jeszcze przed nieformalnym szczytem spotkali się liderzy państw Grupy

Wyszehradzkiej. W spotkaniu tym wyjątkowo wziął także udział kanclerz Austrii Sebastian Kurz, który – tak jak kraje V4 – jest przeciwny niekontrolowanemu przyjmowaniu migrantów do Europy.

Na konferencji prasowej po szczycie V4 premierzy Mateusz Morawiecki i Viktor Orbán poinformowali, że żaden z przedstawicieli krajów Grupy Wyszehradzkiej nie pojedzie na spotkanie w Brukseli. – Po bardzo uważnej analizie dokumentu, który przysłany został przez Komisję Europejską w kontekście niedzielnego spotkania zwołanego ad hoc, doszliśmy do przekonania wspólnie, że jest to coś w rodzaju odgrzewanych procedur, propozycji z przeszłości, które nie są dla nas zrozumiałe. W ogromnej większości nie są do zaakceptowania – powiedział Mateusz Morawiecki. ©©

Łukasz Zboralski

REKLAMA

ABSOLUTNA PRECYZJA

CITIZEN nie spuszcza z tonu, szczególnie jeśli chodzi o niezawodne technologie, a kolejnym dowodem na to jest model AT8154-82L z kalibrem H800. Światło zasila mechanizm za pomocą modułu Eco-Drive, dzięki czemu nie wymagana jest wymiana baterii. Zegarek jest synchronizowany za pomocą fal radiowych, które automatycznie, raz na dobę, korygują wskazanie czasu do wzorca wyznaczanego przez zegar atomowy – z dokładnością 1 sekundy na milion lat. Automatycznie też aktualizowana jest data – zmieniana wedle potrzeby np. z 30 dnia miesiąca na 1 bez konieczności manualnego dostrajania. Model wykonano z opatentowanego przez CITIZEN materiału Super Titanium™ będącego wynikiem specjalnych procesów przetwarzania i utwardzania super lekkiego i niezmiernie wytrzymałego tytanu. Miasta wokół tarczy symbolizują 26 stref czasowych, które bardzo łatwo zmienić podczas podróży – gwarantując niebywałą precyzję gdziekolwiek jesteś.



citizen.pl

Radio Controlled
AT8154-82L (2770 zł)



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Stukanie w klawiaturę

Dawno temu, w głębokich latach 80., komputery były w Polsce rzadkością (i oczywiście pod względem możliwości stały bez porównania niżej niż współczesne smartwatche). Jako dziecko jeździłem wówczas do małego ośrodka wczasowego, którego kierownik – pocziwy jego-ność – komputer sobie kupił. Programy komputerowe – na przykład proste gry – wgrywało się w tamtych czasach z kasety, ewentualnie wstukiwało z klawiatury, przepisyując z pism komputerowych.

Polska, wobec narastających różnic między Stanami Zjednoczonymi a Europą, chciałaby być pomostem między oboma brzegami Atlantyku

Pan kierownik nie mógł jednak pojąć prostej kwestii: że póki w jakiś sposób programu komputerowi nie zaimplementuje, ten komputer niczego mu nie pokaże. Siadał więc przed swoim ZX Spectrum, wpisywał na klawiaturze – dajmy na to „Kaczor Donald” – i oczekiwał, że na ekranie pokaże mu się – bo ja wiem? – obrazek Kaczora Donalda, film o Kaczorze Donaldzie, może jakaś gra z Kaczorem Donaldem. Oczywiście ekran pozostawał ciemny. Poza napisem „Kaczor Donald”, rzecz jasna.

Przypomniała mi się ta sytuacja sprzed wielu lat, gdy

w ostatnim czasie kilkakrotnie usłyszałem deklaracje ze strony przedstawicieli rządu, że Polska, wobec narastających różnic między Stanami Zjednoczonymi a Europą, chciałaby być pomostem między oboma brzegami Atlantyku.

To bardzo piękna, szlachetna myśl i bardzo miło, a także korzystnie byłoby, gdyby Polska taką funkcję pełniła. Tyle że jak dotąd przypominamy pod tym względem owego kierownika ośrodka wczasowego, który siadał przed swoim komputerem, wpisywał słowa „Kaczor Donald” i czekał, że coś się stanie. A nic się nie działo. Polscy politycy gdzieś się pojawiają, mówią, że chcemy być pomostem, łącznikiem, pośrednikiem i... nic. Tak jakby nie rozumieli, że od samego gadania nie staniemy się nawet wątplą kładką, a co dopiero pomostem.

Choć nie, to nie tylko gadanie. To także działania. Na przykład w ubiegłym tygodniu, gdy kanclerz Merkel zadeklarowała, że wraz z prezydentem Macronem chce tworzyć wspólny budżet strefy euro, prezydium polskiego Sejmu z marszałkiem Kuchcińskim na czele odwołało wspólne posiedzenie z prezydium Bundestagu, które miało się odbyć w zamku Hambach (Nadrenia-Palatynat). Powodem miały być „ważne sprawy wewnętrzne”. Jakże? Nie wiadomo.

Może odsypianie kaca po meczu z Senegalem. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Piłka i polityka

Czy się to komuś podoba, czy nie, przez najbliższy miesiąc Twitter będzie się kręcić wokół piłki. A ponieważ od zawsze był on skrzywiony w kierunku polityki, pora na prawdziwe perełki ze styku obu światów. „Już mecz otwarcia #Mundial2018 Rosja-Arabia Saudyjska to zgrzyt dla demokratów. Jakby tego było mało, mistrzostwa można oglądać wyłącznie w reżimowej TVP, a jeśli Polakom wygrać się uda, to ucieszy się Duda. Komu (i jak) w takim razie kibicować?” – zastanawiało się OKO.press.

Z odpowiedzią przynajmniej na jeden dylemat przyszedł Maciej Bajkowski. „Strefa kibica w Miasteczku Wolności pod Sejmem zaprasza – Logo kurwizji zakleiliśmy, żeby w oczka nie raziło :)” – poradził bezkompromisowy demokrat. Nie wszyscy dali się jednak porwać gorączce mundialu. „Razem z Rafałem Trzaskowskim i Mają Zaborowską pozdrawiamy z #KongresKobiet” – napisała Kamila Gasiuk-Piłowicz, zamieszczając roześmiane selfie. „W życiu nie zagłosowałbym na mężczyznę, który w dniu czterech meczów MŚ w piłce nożnej idzie na Kongres Kobiet” – odpisał Adam Tyminski. Gdybyśmy mieli mistrzostwa w boksie, to byłby nokaut.

Były jednak pozytywne akcenty, np. przegrana Niemiec z Meksykiem. „Co w tym takiego fajnego, że przegrali nasi sojusznicy i przyjaciele, a wygrali jacyś latynoscy producenci narkotyków, z kraju, który trudno znaleźć na mapie?” – rzucił prowokacyjnie prof. Stanisław Żerko. „Wszystko” – odpowiedział mu Stanisław Jancecki.

A teraz krótki przegląd komentarzy po meczu Polska – Senegal. „Co to k... było?” – Beata Biel. „Nie wiem, co napisać” – Magdalena Ogórek. „Przykro. Zwyczajnie przykro” – Karolina Hytrek-Prosiecka. „Czarny wtorek” – Krzysztof Karnowski. „Wygląda na to, że polityka wróci na agendę szybciej, niż się spodziewałem :)” – Michał Kolanko.

Najprzotniej wypowiedział się jednak znany z malkontentstwa docent Jerzy Gontarz: „Polska piłka jest jak polscy polityczni patrioci: Między-morza, Trójmorza, Niemiec wuj, Żyd muj, mundur, guzik, a potem przychodzi Senegal i sprząta”. Kiedy czytają państwo tę rubrykę, być może pokonaliśmy już Kolumbię 3:0. Tak też na koniec powiew optymizmu od Natalii Radulskiej. „Okolo soboty znowu zaczną mieć nadzieję. To jest polski gen autodestrukcji, jak nic”. ©©

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
„KOBIETY DESPOTÓW”
„NIECHCIANI GENERAŁOWIE”

+

Cena: 146 zł
Oszczędność: 123 zł



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 0f50452470

WSZYSTKO ŹŁE

Aktor Kacper Kuszewski, szerzej znany przede wszystkim z serialu „M jak miłość”, postanowił pożegnać się z telenowelą. Przy okazji też opowiedział jednemu z plotkarskich portali, jak ciężkie warunki pracy panowały na planie. – Dzień pracy ekipy trwa 12 godzin, często zdjęcia są w sobotę, a nawet zdarza się, że w niedzielę, więc te sześć dni po 12 godzin [...]. Zdjęcia mamy często poza Warszawą, trzeba liczyć jeszcze spakowanie się czy charakteryzację, ale też dojazd na plan, skąd niektórzy muszą jeszcze wrócić do domu – żali się aktor. – Tempo pracy jest tak duże, że czasami okazuje się, że mamy nagranych tyle odcinków na zapas, że producent decyduje, że teraz będzie miesiąc przerwy dla wszystkich albo nawet pięć tygodni. Ekipa dowiaduje się z dwu-, trzytygodniowym wyprzedzeniem, że nikt za miesiąc nie pracuje i nikt nic nie zarobi. Aktorzy mają poczucie, że nie mogą narzekać i nie mogą walczyć o swoje prawa, bo są zatrudnieni na taki rodzaj umów, że można im podziękować i zatrudnić kogoś innego, kto nie będzie marudził. No więc nikt nie marudzi, tylko wszyscy zaciskają zęby i pracują. Od wielu lat zastanawiam się, jak to jest możliwe i jak to może być legalne – opowiada. Ciekawe, że warunki pracy zaczęły Kuszewskiemu ciążyć, kiedy pożegnał się z serialem. Doceniamy odwagę i nonkonformizm. Takich bohaterów nam trzeba!

NOWOCZESNY PATRIOTYZM À LA JANDA

Krystyna Janda swoim zwyczajem postanowiła wypowiedzieć się na temat, o którym nie ma bladego pojęcia. I nie, tym razem nie chodzi o politykę. Chodzi o piłkę nożną! Otóż pani Krystyna uważa, że lepiej byłoby, gdyby polska drużyna narodowa nie odnosiła zbyt dużych sukcesów na trwających właśnie mistrzostwach świata. A najlepiej żadnych sukcesów, bo z tego wynikają potem same problemy. – Zwycięstwo jest dla mądrych, gdybyśmy zwyciężyli, to nie dałoby się wytrzymać już dalej w tej euforii zwycięstwa – stwierdziła w TVN24. – Mamy absolutną świadomość, jaką piłka nożna ma siłę i jaki ma wpływ na narody i społeczeństwa. Jednak polscy kibice przy byle sukcesie dostają zupełnie irracjonalnego obłąd i manii wielkości – stwierdziła w TVN24. A przecież powinni się wstydzić. I przeprosić, najlepiej z góry. Dobrze,

że mamy Krystynę Jandę, która pokazuje nam, czym są mania wielkości i irracjonalny obłąd. W każdym udzielonym wywiadzie.

BYĆ KOBIETĄ, BYĆ KOBIETĄ

Aktor Borys Szyc postanowił zwierzyć się magazynowi „Twój Styl”. W wywiadzie mówi dużo o swoich stanach emocjonalnych, o tym, że jest nadwrażliwy, że ma naturę kobietą i że stał właśnie wziętą się u niego problem z alkoholem. – Mam w sobie dużo z kobiety. Kobiety mnie wychowały. Ta często towarzysząca kobietom sinusoida uczuć była mi bardzo bliska. I nadal jest. Paradoksalnie charakteryzuje też alkoholików. Po latach, gdy na terapii zmierzyłem się z tą chorobą, zrozumiałem, kim naprawdę jestem. Świat nienawidzi próżni. W puste miejsca, które masz w sobie, alkohol idealnie się wlewa. U mnie lał się w pustkę po ojcu, w chęć bycia bardziej męskim, niż jestem – opowiada ze szczegółami. – Walczyłem między sobą kobietą i sobą mężczyzną. Znalezienie złotego środka to klucz do wyleczenia, poukładania sobie życia. I zaznania spokoju, szczęścia. Kobieta we mnie pomagała mi, ale i przeszkadzała, miałem dysonans poznawczy. Teraz już nie – mówi. Jeśli dobrze rozumiemy, to Szyc, aby udowodnić światu, jak bardzo wyszedł na prostą, zafundował sobie psychoterapię na łamach magazynu dla pań. To dopiero jest dysonans poznawczy!

MAM TALENT?

Celebrytka Edyta Herbuś poinformowała, że udaje się na spotkanie ze zdolną młodzieżą wesprzeć konkurs talentów w jednej z polskich gmin. Przy tej okazji postanowiła zamieścić wpis, mający być motywacją dla młodych ludzi. „Nie myśl, że jeśli nie urodziłeś się w wielkim mieście, to nie masz szans na swoje spełnienie. To nieprawda. Liczy się to, do czego rwie się twoje serce i czy masz odwagę, aby za tym głosem podążać... Człowiek swoją kreatywność ujawnia światu, kiedy spotykają go ograniczenia. Uwierz i działaj! Zawsze jest sposób. Obudź swoją kreatywność. O tym właśnie będzie nasze spotkanie” – czytamy. Zastanawiamy się, po kiego groma zapraszać na młodzieżowy konkurs talentów akurat Edytę Herbuś. Może jako dowód na to, że bez talentu też da się jakoś żyć? ©©



FOT. PAVEŁ GROMADA



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, przypał. Jak wiecie, mamy zaprzyjaźniony feminolesbijski leśny kolektyw, który zamieszkuje w sezonie letnim lasy w granicach administracyjnych Krakowa, iż trochę natura, a trochę wielki ośrodek.

Co roku mniej więcej o tej porze odwiedzamy frendziary, iż jest sezon na runo leśne, dzięki któremu jesteśmy w stanie na wege poziomie dotrzeć do końca miesiąca, iż latem prowizje za sprzedaż pakietów internet + telefon są zdecydowanie niższe. Wymienialiśmy się więc barterowo: jagody, poziomki i maliny w zamian za dodatkowe gigabajty Internetu, iż las lasem, a seriale jakoś trzeba oglądać.

Niestety, wygląda na to, iż to koniec naszych wymian barterowych. Frendziary bowiem doszły do wniosku, iż runo za bardzo kojarzy się z runami, a jak wiadomo, runy to nazizm, a nawet fashysm. Dlatego też od tego roku

przerzucają się na wymianę na innych zasadach: gigabajty za nic, iż im się po prostu należą.

Gdzie możemy złożyć skargę na Telewizję Polską i jednego z komentatorów, który podczas meczu Polska – Senegal, w czasie kiedy ten kraj tracił bramkę, zawołał „Jezus, Maria”?

Oglądając mundial, zasłaniamy nie tylko logo TVP, lecz także cały ekran

To jasne, iż takie słowa mogły paść tylko w telewizji tenkrajowej. Przykro nam, iż mógł je usłyszeć ktoś ateistododatni, osoby islamopozytywne lub judeododatnie. Telewizja powinna być neutralna światopoglądowo!!!

W dodatku takie słowa nie szanują piłkarzy z Senegalu, którzy są w większości islamododatni. Jak oni musieli się poczuć, kiedy ktoś im powiedział o tej jawnej dyskryminacji?

Inna sprawa, iż pokazuje to zarazem, jak dużo w tym kraju jeszcze pozostaje do zrobienia, jeśli chodzi o edukację obywatelską. W chwilach stresu i zagrożenia przeciętny Dariusz, tzn. Janusz, wzywa opatrności boskiej, a nie odwołuje się ani do Unii, ani do konstytucji, ani do Karty praw podstawowych. Mamy jeszcze naprawdę wiele do nadgonienia.

Zwróćcie w ogóle uwagę, iż podczas tego całego mundialu jako eksperci w studiu telewizji PUBLICZNEJ pojawiają się sami biali, przeważnie starsi i heteroseksualni mężczyźni.

Kurrr... bo jush nie mamy na to słów. Czy naprawdę każdy obszar naszego życia musi być zdominowany przez białych około czterdziestolatków? Taki to problem zaprosić do studia przedstawicieli mniejszości etnicznych, seksualnych, kogoś transgenderowego, może ze dwie osobolesbiki? Mundial stereotypowo jest rozrywką adresowaną do osób waginoujemnych. Co zaś robi telewizja z tym stereotypem? Zwalcza go, co leży w interesie społecznym? Nie. Ona go jeszcze wzmacnia.

Dlatego tesh oglądając mundial (of kors oglądamy go pod kątem socjologicznym, kulturowym i psychologicznym, nie dla prymitywnych sportowych emocji, lol), zasłaniamy nie tylko logo TVP, lecz także cały ekran – właśnie iżby podkreślić nasze niezadowolenie z promowanej na antenie dyskryminacji i seksizmu. ©©



To, co najważniejsze. Truskawki się kończą. Gdyby nie dyktatura PiS, na pewno skończyłyby się później. A i z innymi owocami może być w tym roku kłopot. Owoce strasznie nie lubią łamania konstytucji.

Z cyklu „Jak powstają teorie spiskowe”. Tego samego wieczoru, gdy odwołano wspólne posiedzenie prezydium Sejmu i Bundestagu, po mieście gruchnęła wieść, że to przez specjalną radę odbywającą się u Kaczora-Dyktatora. Radę, która miała Przynieść Coś Ważnego. No więc tłumaczymy. Narada była, ale nie wielka, tylko dwuosobowa: Kaczor-Dyktator i premier Mateusz. Owszem, mówiono o rzeczach ważnych. Na przykład o tym, że od tej pory, jeśli Europa będzie do nas pukać, to odpowiadamy, że nikogo nie ma w domu.

Dwa dni później ziszczył się czarny sen Guyów, Fransów i innych europansów. Oprócz Polski jeszcze cztery inne kraje poinformowały Europę na szczycie Wyszehradu, że chwilowo nie ma nas w domu. To znaczy czwórka V4 plus Austria. Bo pukać to my, a nie nas. Znaczą chodzą nam o pukanie do drzwi oczywiście. Włosi będą zaś pukać z całkiem innej strony.

Ciekawe wyniki przyniosła nasza sonda, w której odpytywaliśmy przyszłe jedynki list PiS do europarlamentu, jak się z tym czują. Jedynki gwałtownie zaprzeczały, a większość nawet twierdziła, że Kaczor-Dyktator z nimi w ogóle o takiej propozycji nie rozmawiał. Tyle lat w polityce, a tacy naiwni. Przecież właśnie to, że nie rozmawiał, najdobitniej dowodzi prawdziwości tych propozycji.

W ogóle jeden z ministrów opowiadał nam, jak wygląda taka procedura przedstawiania propozycji na Nowogrodzkiej: ministerialnych, wyborczych i innych. Delikwent wzywany jest na krótkie spotkanie w cztery oczy. Następnie słyszy, że partia długo rozważała za i przeciw, i że jest taka propozycja partii, no że on właśnie musi być tym kandydatem albo ministrem lub wickiem. Ale oczywiście on się może z partią nie zgodzić. Zgadnijcie, ilu odmawia, patrząc głęboko w oczy Kaczora-Dyktatora.

Tymczasem w partii karierę robi nowe słowo – „batożyć”. Posłowie PiS używają go, by oddać to, co się dzieje po powrocie Kaczora-Dyktatora ze szpitala. „Prezes wrócił do pracy i batoży” – opowiadają cichutko i z przejęciem. Ciekawa rzecz, najbardziej błyszczą się oczy mówiącym to posłankom.

Jednocześnie premier Mateusz urządza sobie z Kaczorem-Dyktatorem wyścigi „Kto jest bardziej okrutny”. Ministrowie, którzy chcieli obejrzeć w domu mecz Polski z Senegalem, musieli wcześniej wyprosić specjalne zezwolenie na opuszczenie miejsca pracy już o godz. 16. Niektórzy zamiast do domu pojechali oglądać mecz w łożu Narodowej Strefy Kibica na Narodowym. Kwieciński Jerzy, Adamczyk Andrzej, grupka wicków i Zalewska Anna.

Premier Mateusz skończył 50 lat. Z tej okazji życzymy mu sukcesów w życiu zawodowym i osobistym. Jeśli chodzi o prezent... Cóż, premier bardzo lubi czytać książki. Naszym prezentem jest więc to, że w żadnej ze swoich książek jeszcze go nie obsmarowaliśmy. Z naciskiem na „jeszcze”, więc jest to prezent o krótkiej przydatności do spożycia.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie

Zżalem żegnamy ministra rolnictwa Jurgielą Krzysztofą, bo był jedynym znanym nam ministrem, który na wywiady przychodził z teczką, w której miał napisane odpowiedzi na pytania, i kiedy pytania padały, to otwierał teczkę i niespiesznie te odpowiedzi czytał. Po odejściu Krwawego Antoniego, Szyszki Jana oraz Jurgielą Krzysztofą autorytatywnie stwierdzamy: prawdziwych oryginałów w rządzie już nie ma.

Najbardziej oczywiście ubawiła nas fraza, że Jurgiel odchodzi „ze względów osobistych”. Co to są „względy osobiste”? Ponieważ nie wszyscy znają żargon polityki, tłumaczymy: „Poproszono mnie osobiście, żebym już dał sobie spokój”.

Rozpuściliśmy wici w temacie nowego ministra rolnictwa, którym został Jan Krzysztof Ardanowski. Wiewiórki z PiS mówią o nim, że jest uparty, pracowity i pije mniej od Jurgielą. Podejrzewamy, że jedno może być z drugim jakoś związane.

Wiewiórki martwią się też tym, że nowy minister Ardanowski bywa dość krewki, więc w sytuacji kryzysowej może mu się wypsnąć na gorąco jakieś mocne zdanko, które potem trzeba będzie pół roku odkręcać w internecie. Czekamy z niecierpliwością. Wtedy będziemy mogli ogłosić, że w rządzie znów jest jakiś oryginał.

Tymczasem skończył się rok szkolny. Jako wzorowi uczniowie oczekiwaliśmy z tej okazji prezentu od MEN w postaci cukierków. Niestety, krówki zamówione jeszcze w czasach reżimu PO-PSL już się skończyły, więc teraz resort zamawia michałki w zakładach Śnieżka. Jeśli chodzi o popitkę, to resort promuje markę Polanica-Zdrój.

Zuwagą odnotowaliśmy ostatnią wypowiedź liberalno-społecznego Ryśka Petru, który zapowiedział, że jego nowa partia zajmie miejsce po Nowoczesnej. Jeśli się weźmie pod uwagę to, że miejsce Nowoczesnej obecnie znajduje się pod progiem wyborczym do Sejmu, tak, zaiste tak, nowa partia Ryśka zajmie właśnie to miejsce.

Tymczasem w Warszawie. Andrzej Celiński kandydatem SLD na prezydenta miasta. Ponieważ to postać

nieco zapomniana, będziemy przypominać jego największe dokonania. „Byłem bardzo ściśle związany z Mazowieckim i Geremkiem, tak ściśle, że gdy wyłaniały się między nami jakieś różnice zdań, dzwoniłem do Warszawy z pytaniem o ich stanowisko w konkretnej sprawie

Rząd PiS powinien rozważyć budowę więzień rodzinnych

i w zasadzie byłem gotowy, wbrew sobie, postąpić zgodnie z ich sugestiami. Tyle że po zapoznaniu się z ich racjami. Inaczej mówiąc, w Gdańsku pełniłem rolę »połączonego« Mazowieckiego i Geremka” – chwalił się Celiński, wspominając początki III RP.

Równie ciekawe osiągnięcia miał Celiński jako minister kultury w rządzie SLD. Kazał skasować z nazwy Ministerstwa Kultury słowa „i Dziedzictwa Narodowego”, gdyż źle mu się kojarzyły. Przy okazji skasował też Instytut Dziedzictwa Narodowego. Nam

też się dziedzictwo bardzo źle kojarzy. Jako ludzie z nizin społecznych bardzo boimy się dziedzica.

Tymczasem w Gdańsku. Żli ludzie opowiadają, że Paweł Adamowicz chce się jednak wycofać z ponownego kandydowania na prezydenta, bo wyliczył sobie, że i tak musiałby rządzić z PiS-owską radą miasta, więc na cholerę mu takie życie. Słusznie. Zaoszczędzone na kampanii pieniądze lepiej wydać na coś pożytecznego. Na przykład na mieszkanie.

Tymczasem w Szczecinie. Renata G., żona lokalnego barona PeŁo Staszka G., usłyszała w prokuraturze zarzut prania brudnych pieniędzy. Ale to nie koniec.

W sprawie Staszka zamieszani są również jego pasierb oraz jego teściowie. Rząd PiS, przykładający dużą wagę do polityki prorodzinnej, bez wątpienia powinien rozważyć budowę więzień rodzinnych. Zwłaszcza że, jak słyszeliśmy, obecni członkowie klanu to nie ostatni członkowie rodziny

Staszka, którzy wkrótce ujrzą oblicze prokuratora.

Jest jeszcze gorzej. Zdobyliśmy wiedzę, że PeŁo już nie będzie z Gawłowskiego robiła symbolu PiS-owskich prześladowań. Nie tylko dlatego, że nawet zaprzyjaźnione onety rozpisywały się, że w mieszkaniu Staszka załęgły się córki Koryntu. Głównie dlatego, że wstrętnei prokuratorzy zdobyli nowe dowody wystarczające na postawienie mu kolejnych zarzutów.

Tymczasem w gospodarce. Polska staje się handlową potęgą szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał. Świadczy o tym sprawa przemytu do naszego kraju rekordowej ilości koki, którą właśnie rozkminiają służby i prokuratura. Gwarantujemy, będzie o tym głośno.

propos nielegalnych substancji. Trwa proces tzw. dilerów gwiazd, niejakiego Cezarego G. Rozmaite gwiazdeczki tłumaczą w sądzie, że Czarek przywoził im nie kokę, lecz wodę. Problem w tym, że oskarżony twierdzi, że nie tylko. ©©

REKLAMA

PARTNERZY KONCERTU PGNiG LOTTO

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

**KONCERT GALOWY
TEATR POLSKI WARSZAWA
10 GRUDNIA 2018**



Rafał A. Ziemkiewicz

Chociaż sondaże wciąż przyznają mu drugą kadencję, to Andrzej Duda powinien szybko wymyślić swoją prezydenturę na nowo. Zmierza bowiem prostą drogą nie tylko do przegranej, lecz także do kompromitacji

Pogubiony prezydent

Sygnałem alarmowym powinny być reakcje na 15 ogłoszonych przez prezydenta pytań, które chce zadać obywatelom w referendum konstytucyjnym. Nikt, włącznie z najżyczliwszymi mu komentatorami, nie znalazł dla tego zestawu słowa uznania. Nikt też nie uznał za możliwe, żeby referendum w tym kształcie, jakiego domaga się prezydent, przyciągnęło do urn więcej wyborców niż nieszczęsne pożegnalne referendum jego poprzednika, z którego obóz polityczny Andrzeja Dudy kpił wówczas niemiłosiernie.

Jedynymi obrońcami prezydenckiej inicjatywy pozostali jego pracownicy, ale i oni nie potrafią wykrzesać w sobie entuzjazmu. Prezydencki minister Andrzej Dera próbował wyjaśniać w radiowym wywiadzie, że pytania są krytykowane, bo ich nie zrozumiano. Czyż taka linia obrony sama w sobie nie jest ogłoszeniem klęski? Jeśli pytania okazały się niezrozumiałe dla aktywnych uczestników debaty publicznej, jak mają trafić do szerokich rzesz prostych Polaków? A przecież muszą oni nie tylko zrozumieć, o co prezydent ich pyta, lecz także uznać, że pyta o sprawy na tyle ważne, by warto było dla nich fatygować się do punktu wyborczego. Do ważności referendum potrzeba przecież ponad 8 mln głosujących!

Postępowanie prezydenta jest do tego stopnia niezrozumiałe, że niektórzy dopatrują się w nim politycznej gry. Prezydent ma jakoby wiedzieć już, że Senat i tak referendum nie zarządzi, i chce pokazać się Polakom jako przywódca, który chciał im zagwarantować konstytucyjnie świadczenia socjalne i emerytury, ale rządząca partia mu nie pozwoliła. Ta hipoteza nie tylko nie pasuje do dotychczasowego stylu Andrzeja Dudy, lecz także jest nielogiczna. Tak słabe, niejasne i przede wszystkim zbyt liczne pytania dają właśnie Senatowi dogodny pretekst, aby odmówić prezydentowi ku jego, a nie partii rządzącej, konfuzji.

Problemem jest nie tyle to, że prezydent fatalnie rozgrywa swój pomysł referendum konstytucyjnego – od początku ryzykowny, lecz przy umiejętnym podejściu mogący przynieść polityczny zysk – lecz także że najwyraźniej jest to jego pomysł jedyny. Można odnieść wrażenie, że nie chce dostrzec, iż zabrnął w ślepy zaułek, i w tym zaułku szuka ucieczki przed przerastającymi go innymi problemami.

Dlaczego tak się dzieje? Co idzie źle Andrzejowi Dudzie i czy da się jeszcze jego prezydenturę uratować?

MIEĆ SŁUSZNOŚĆ I PRZEGRĄĆ

Wskazując na konieczność zmian, prezydent miał rację, konstytucja rzeczywiście jest buble. W trzech czwartych stanowi zbiór frazesów i gwarancji dla „praw”, których gwarantowanie nie jest w ogóle jej rolą. Tam zaś, gdzie państwo konstytucji potrzebuje, mamy w istocie przeniesienie zapisów „małej konstytucji” z 1992 r., swoistego „traktatu rozejmowego”, który w obliczu wspólnego zagrożenia lustracyjnymi zapędami prawicy zakończył tzw. wojnę na górze pomiędzy prezydentem Lechem Wałęsą a środowiskiem ówczesnej Unii Demokratycznej wspieranej przez postkomunistów.

Rozejmy pisze się tak, aby pozostać na zajmowanych pozycjach, zachować jak najkorzystniejsze przyczółki do przewidywanych dalszych działań. Dlatego zmuszeni chwilowo do współdziałania przywódcy „solidarnościowej” strony Okrągłego Stołu nie tylko ułożyli ustawę konstytucyjną wbrew wszelkiej ustrojowej logice i gdzie tylko się dało, użyli sformułowań niejasnych i podatnych na „falandyzowanie” (szczególnie tam, gdzie mowa o wpływie prezydenta na „jego” – to jest w owym czasie ludzi Wałęsy – resorty). W kluczowych dla państwa sprawach postanowili „kompromisowo” pozostawić te rozstrzygnięcia ustawom – a każda ze stron była przekonana, że w następnym Sejmie to ona będzie mieć większość.

Gdy zaś nieoczekiwanie dla nich obie zostały odsunięte przez wyborców na rzecz postkomunistów, ci ostatni bynajmniej nie byli zainteresowani rozplątywaniem powstałego w ten sposób ustrojowego cudactwa. Dziwacznej konstrukcji z prezydentem wybieranym przez obywateli, ale pozbawionym kompetencji, za to mogący wszystko sejmowej większości zablokować i na niejasnych zasadach mający swoje „prezydenckie” resorty, ale nie na wyłączność – i jeszcze z ukrytym w systemie „tylnym siedzeniem” za premierem dla tego, kto kontroluje sejmową większość, nie musząc przy tym sprawować żadnej funkcji. Przeciwnie, priorytetem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i zwasalizowanego przezeń w międzyczasie salonu było uczynienie stanem trwałym ogólnej niemożności – owego

„imposybilizmu”, będącego najlepszą gwarancją uzyskanych w Magdalence przywilejów i swobody „dojenia” beznadziejnego państwa.

PiS, który „imposybilizm” ostro krytykował w opozycji, u władzy też najwyraźniej uznał ustrojowy chaos i nieodkrycie za wygodne. W tej sytuacji ogłoszenie przez Andrzeja Dudę zamiaru przeprowadzenia referendum w sprawie zmiany konstytucji wydawało się początkiem ryzykownej, ale zupełnie sensownej kampanii politycznej. Zanościło się na to, że prezydent będzie konsekwentnie występował jako rzecznik uporządkowania państwa. Że w sposób jasny i zrozumiały dla każdego wykaże w kilku punktach, na czym zasadza się „ogólna niemożność” wytworzona przez konstytucję z 1997 r., a jego stronnicy będą w mediach stale uszczegóławiać, jak np. legła ona u podstaw kryzysu z Trybunałem Konstytucyjnym i jakie znaczenie dla patologii partyniactwa miało umieszczenie w konstytucji gwarancji proporcjonalności wyborów.

Gdyby prezydent wykazał się energią i miał przygotowaną narrację, mógł w ten sposób wykreować się na przywódcę ponadpartyjnego, a do pewnego stopnia – odchodząc od sporu ideologicznego w dotykającą każdego Polaka praktykę funkcjonowania „państwa z dykty” – także ponadplemiennego. Zwłaszcza że jego ruch zmuszałby opozycję totalną do występowania w obronie konstytucyjnego bubla w jeszcze wyższych diapazonach abstrakcji, niż to czyni obecnie, a partię rządzącą ustawiłby na pozycji li tylko partii, broniącej swoich sitwowych przywilejów.

Sięganie w ten sposób po pozycję trybuna ludowego niosło za sobą oczywiście wielkie ryzyko przegranej – Polaków bardzo trudno ściągnąć do referendalnych urn. Nie udało się to nawet w wymyślnym kiedyś przez Solidarność referendum „uwłaszczeniowym”, mimo iż zadane pytanie sprowadzało się do „czy chcesz dostać coś za nic” (prezydent powinien przypomnieć to sobie, jeśli ludzi się, że frekwencję może zapewnić proponowanie w pytaniach populistycznych zapisów o gwarancjach socjalnych). Ryzyko mogło się jednak opłacić nawet przy przegranej.

Jednak podjąć takie ryzyko i nie starać się o nic, nie występować z żadną prostą narracją – po co, dlaczego i w czym imieniu – tylko topić niechciane przez nikogo poza nim samym referendum w kazuistycznym bełkocie. Wezwać do

ustrojowej rewolucji – bo przecież tym jest zakwestionowanie obowiązującej konstytucji – i samemu nie ruszyć się z miejsca, nie zrobić literalnie nic, poza kilkoma niszowymi, zbojkotowanymi przez polityków i media konferencjami, nie przygotować nawet marnej strony internetowej promującej ideę referendum? A w końcu urodzić listę 15 pytań nieskładających się w nic sensownego i niedających, jakkolwiek by na nie odpowiadać, rozstrzygnięcia w kwestiach podstawowych?

Rozczarowanie to słowo zdecydowanie za słabe. Czyżby Andrzej Duda rzeczywiście był takim idealistą, by uwierzyć, że miliony obywateli mogą zastąpić konstytucjonalistów w rozstrzyganiu szczegółowych zapisów i że w ogóle będą tym zainteresowane? Czyżby jego referendum nie było pomysłem politycznym, ale tylko próbą intelektualnego wzbogacenia polityki pozostawionej przez prezydenta innym?

KROK W TĘ, KROK WE W TĘ

Potraktowanie przez prezydenta własnego sztandarowego pomysłu nasuwa najgorsze podejrzenia: albo Andrzej Duda nie umie odegrać samodzielnej roli w polskiej polityce i być liderem, do czego predestynują go uzyskany w wyborach wynik i wciąż wysokie wskaźniki zaufania – albo wręcz tego nie chce.

Jeśli nie chce – to dlaczego zdecydował się wejść w konflikt z własnym obozem politycznym? Nie było przecież nic prostszego niż konsekwentnie pozostać na drodze, na którą wszedł, przyjmując pośpieszne ślubowanie spornych sędziów Trybunału, zanim ten zdążył się zebrać i ocenić ich wybór. Andrzej Duda mógł zadowolić się „żyrandolem” i przespać kadencję podobnie jak jego poprzednik, ograniczając się do przypinania odznaczeń i przywracania pamięci o rocznicach i bohaterach rugowanych z polskiej świadomości przez elity ustanowione w Magdalence.

Wbrew popularnej wśród komentatorów opinii wcale nie musiało to odbierać mu szans na reelekcję. Wyniki wyborów i sondaże wskazują, że Polacy lepiej oceniali prezydentów mających opinię niemieszających się do polityki niż tych, którzy wchodzili w jawne, publiczne konflikty z partiami i sejmową większością. Dla dużej części społeczeństwa sens urzędowania głowy państwa pozostaje niejasny i to skłania je do traktowania



wyborów prezydenckich trochę w kategoriach konkursu piękności, głosowania na człowieka, który ma nas „godnie reprezentować” w bardziej wizerunkowym niż politycznym sensie. Bardzo możliwe, że mimo wszystkich obelg i szyderstw opozycji z „Adrianą”, „notariusza” etc. taka postawa dałaby Andrzejowi Dudzie 10 lat niekłopotliwej synekury.

Prezydent zszedł jednak z tej drogi, wetując przygotowaną przez PiS pośpiesznie i w atmosferze wojennej historii „reformę” wymiaru sprawiedliwości. Miał ku temu niewątpliwie merytoryczne podstawy, ale w ten sposób stał się w oczach żelaznego elektoratu PiS zdrajcą i agentem wrogich sił. W tych radykalnych opiniach o sobie utwierdził „frakcję rewolucyjną” PiS, blokując symboliczne rozliczenia z PRL ustawą „degradacyjną”. Ustawa i tak zapewne by się nie ostała przed sądami, jeśli nie krajowymi, to na pewno europejskimi, ale zawetowanie jej – zamiast np. odesłania do Trybunału Konstytucyjnego – było gestem, który autentycznie rozwścieczył i tak już wrogich prezydentowi radykalnych PiS-owców, tolerujących go tylko jako mniejsze zło i coraz bardziej otwierając artykułujących postulat, aby w następnych wyborach Jarosław Kaczyński namaścił innego kandydata. W kręgu wyznawców Antoniego Macierewicza otwarcie sformułowano zresztą narrację, w której i Kaczyński nie jest bez winy. Według ich teorii uczynienie kandydatem na prezydenta z ramienia PiS człowieka wskazanego przez WSi,



Propozycje prezydenta nie prowadzą do żadnych poważnych zmian, które nowa konstytucja powinna zawierać. FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

czyli właśnie Dudy, miało bowiem być warunkiem, pod którym wszechpotężny Układ pozwolił prezesowi PiS wygrać wybory i objąć częściową władzę.

Prezydent mógł sobie pozwolić na to, by rozczarować „żelazny elektorat”, ale skoro to zrobił, należało oczekiwać, że zechce przy tej okazji powiększyć swe wpływy poza tą częścią wyborców, którzy mniej lub bardziej ochoczo chcą głosować na PiS. Do pewnego stopnia to nastąpiło – zaistniał w szerokiej świadomości jako element stabilizujący układ polityczny i gwarant bezpieczeństwa, ktoś, kto może powstrzymać radykalne i nieprzemyślane zapędy, do których PiS ma skłonność. Jednak własna wersja reformy sądów, zaproponowana przez prezydenta, nie poszła na tyle daleko, aby przestał on być postrzegany jako część obozu PiS. Sprawiała raczej wrażenie, że jedynym, co skłoniło prezydenta do weta, było sięganie po nadmierne wpływy przez ministra sprawiedliwości – a więc spór frakcyjny.

Prezydenckie weta niechętni mu interpretowali jako małostkową, emocjonalną reakcję na powszechne w czołowych mediach szyderstwa z rzekomej niesamodzielności, której symbolem stała się postać Adriana, kabaretowego alter ego prezydenta w „Uchu Prezesa”. Jerzy Targalski sformułował nawet tezę, że wprowadzenie tej postaci do popularnego programu satyrycznego było skutecznym sposobem zmanipulowania prezydenta przez „profilery”, psychologów działających na rzecz WSi. Tak

daleko idąca spiskowa teoria została przez większość wyśmiana, ale podejrzanie, że Andrzej Duda chciał emocjonalnie pokazać, iż „Adrianem” nie jest, zaznaczył się w debacie publicznej wyraźnie. I trzeba powiedzieć, że późniejsza niekonsekwencja postępowania prezydenta sprzyja ugruntowaniu takiego poglądu. Można bowiem odnieść wrażenie, że osiągnąwszy tak mało znaczący wizerunkowy cel, prezydent spoczął na laurach i stracił zapał do samodzielności.

Czyżby to z kolei było skutkiem zajądłości ataków ze strony PiS-owskich radykałów? W kolejnej chwili wzmożenia, po „wizerunkowym Pearl Harbor”, które urządził Polsce Izrael w związku z nieoczekiwanym przyjęciem przez Sejm nowelizacji ustawy o IPN, prezydent stracił okazję zablokowania kolejnego nieprzemyślanego pomysłu PiS. Można sobie oczywiście wyobrazić, jaką furię ściągnąłby na siebie, gdyby to zrobił, zwłaszcza w okresie najgorętszych emocji wywołanych oburzeniem, że Izrael i Żydzi amerykańscy dyktują Polsce, jakie jej wolno ustanawiać prawa. Patrząc jednak z perspektywy czasu, jak fatalne skutki przyniosła demonstracyjnie szybko podpisana przez prezydenta nowelizacja, trudno nie zwątpić w słuszność tej decyzji.

Z drugiej strony – skoro prezydent zdecydował się iść na tę wojnę ramieniem z rządem, należało ją potem prowadzić. Akurat w czasie, gdy prezydent występował w imieniu Polski na spotkaniu Rady Bezpieczeństwa ONZ, doszło do szczególnie drastycznych aktów przemocy w okupowanej przez Izrael Strefie Gazy – rozstrzelania z daleka, przez snajperów, podobnie jak działo się to na kijowskim Majdanie – demonstrantów uzbrojonych jedynie w kamienie, także nieletnich i kobiet. Gdyby prezydent Polski zdecydował się wykorzystać okazję do zaznaczenia, iż świat nie powinien przyjmować w ocenie takich metod utrzymywania porządku dwóch miar: stosunków z Izraelem i diasporą żydowską i tak by to nie pogorszyło, bo bardziej już pogorszyć ich się nie da. I choć wywołałoby to zapewne furię amerykańskiego protektora – to przynajmniej pokazałoby i jemu, i nastawionym antyizraelsko, choć nieobnoszącym się z tym, sojusznikom zachodnioeuropejskim, że zaatakowani brutalnie Polacy bywają zdolni do czegoś więcej niż cierpliwe znoszenie ciosów.

Być może nie warto teoretyzować – żaden z polskich polityków nie wydaje się dziś zdolny, by coś takiego pokazać. Tak czy owak epizod polskiego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa pozostał kolejną do niczego niewykorzystaną okazją, a włączenie się przez prezydenta podczas podróży do USA w spór o pomnik katyński w Jersey City zamiast oczekiwanych wizerunkowych korzyści obniżyło rangę głowy państwa do rangi miejscowego burmistrza. Fakt zaś, że polski prezydent dowartościował kogoś takiego, nie wymusiwszy na nim nawet godnych tego miana przeprosin za znieważenie marszałka polskiego Senatu i inne akty rasowej nienawiści do Polaków, był czymś więcej niż wpadką.

ZŁUDNE NADZIEJE?

Prezydent wydaje się żywić złudzenia, że może nadać swej prezydenturze znaczenie, nie wchodząc jednocześnie w poważne spory, szczególnie z Jarosławem Kaczyńskim. Wydaje się sądzić, że zasadnicze dla państwa sprawy można rozwiązać i naprawić bez polityki, w drodze akademickich dyskusji, i jeszcze na dodatek wciągnąć do udziału w nich miliony obywateli. Jeśli Andrzej Duda chce dotrzeć do wyborców centrowych, niegłosujących na PiS, ale i niepoddających się obsesyjnej, plemiennej nienawiści do niego – to nie widać, by miał jakikolwiek plan, a nawet by choćby próbował rozemnieć, jakimi inicjatywami z jakimi mniej więcej grupami wyborców mógłby się kontaktować i czym je pozyskać trwalej niż osobistym urokiem, którego mu niewątpliwie nie brakuje, ale który do reelekcji może nie wystarczyć.

A może prezydent wcale nie chce reelekcji? Taka plotka jest powtarzana, szczególnie w kręgach PiS, dość często, ze wskazaniem na przyczyny osobiste. Jednak i ona słabo przystaje do faktów. Prezydent, i to trzeba mu liczyć na plus, nie spoczywa jednak na laurach. Coś chce osiągnąć, jeśli nie dla siebie, to dla Polski – wydaje się tylko, że nie ma ani determinacji, ani pomysłu jak. Cokolwiek to jest, prezydent ma coraz mniej czasu, żeby zdecydować się na jakieś bardziej stanowcze i konsekwentne działanie, dopóki z braku liczących się kontrkandydatów wciąż cieszy się wysoką popularnością. Jeśli zacznie się ona kruszyć, wtedy na przełamanie stereotypu pocziwego ciamajdy, który coraz mocniej do niego przywiera, będzie już za późno.



Piotr Semka

Z artykułu Rafała A. Ziemkiewicza „Kwadratura Rosji i Niemiec” („Do Rzeczy” nr 24/2018) wyziera teza, której nie sposób zaakceptować – Polska albo będzie państwem klienckim Rosji, albo wasalem Niemiec

Jest jakimś diabelskim przywilejem Rosji to, że co rusz inni martwią się, jak ją włączyć w krąg cywilizowanych i pokojowych narodów. W Niemczech politycy SPD, wyręczając Rosję, martwią się, czy rura bałtycka bez przeszkód rozpocznie pompowanie ropy; włoscy politycy od lewa do prawa martwią się, czy sankcje unijne nie zaszkodzą Rosji, a w Polsce co rusz ktoś na narodowej prawicy martwi się, jak znaleźć jakieś realistyczne modus vivendi z naszym wschodnim sąsiadem.

Dokładnie w ten nurt martwienia się o Rosję i za Rosję wpisuje się okładkowy tekst Rafała A. Ziemkiewicza w „Do Rzeczy” z 11 czerwca.

Formalnie autor podkreśla, że sama Rosja niewiele go obchodzi. Głosi, że ma na widoku zupełnie coś innego – Polska musi mieć alternatywę. Nasz kraj, mając złe stosunki z Rosją, odbiera sobie możliwość gry dyplomatycznej w razie złych relacji z Niemcami czy, szerzej, z Unią Europejską. Jako pozytywny wzorzec wskazuje Viktora Orbána, który nawiązał z Władimirem Putinem całkiem niezłe relacje, co daje mu znacznie mocniejszą pozycję do prowadzenia gry z unijnymi graczami.

Brzmi to wszystko efektywnie, ale gdy przyjrzeć się bliżej logice tych wywodów, wyłazą na jaw słabo trzymające szwy w tej atrakcyjnej publicystycznej konstrukcji.

DLACZEGO Z ROSJĄ SIĘ NIE UDAJE?

„Jak ma wyglądać normalna, niehisteryczna polityka Polski wobec Niemiec i Rosji?” – pyta we wstępie swego tekstu Ziemkiewicz. Mój redakcyjny kolega, tak wyczulony na słowne chwytły lewicy – sam używa podobnej metody.

Sugeruje, że dotychczasowa polityka naszego kraju wobec Rosji (od jak dawna

polemika
DO RZECZY



Rosja

– mroczny obiekt pożądania



– nie dowiadujemy się) była nienormalna i historyczna, i abstrahuje w ten sposób od podstawowego problemu. Niby kiedy Rosjanie dawali nam w XVIII, XIX i XX w. szanse na „normalność” i „niehistoryczność”? Tak naprawdę tylko w latach 1991–2000, w epoce prezydenta Borysa Jelcyna. A i tak w tym czasie dochodziło do takich incydentów jak awantura o pobicie Rosjan na warszawskim Dworcu Wschodnim. Potem, już w epoce Putina, rozgorzał spór z rządem PiS o jakość polskiej żywności. A potem zderzyliśmy się z rosyjskim agresywnym neoimperializmem – od konfliktu w Gruzji w 2008 r. do aneksji Krymu czy Donbasu w 2014 r.

I czynnik nieprzewidywalności militarnej Rosji jest kwestią podstawową. Władimir Putin ma na swoje rozkazy jedną z trzech największych i najbardziej zaawansowanych technologicznie armii świata obok USA i Chin.

Tyle że Ameryka jest krajem demokratycznym, Chiny nie interweniują politycznie w Europie. A Rosja i owszem. I swoje zdolności bojowe cały czas udoskonala – wciąż wysyłając swoich żołnierzy na rozmaite wojny – od krwawej pacyfikacji Czeczenii w 1999 r. poprzez walki

w Donbasie po interwencję militarną w Syrii.

To właśnie skala militarnej zagrożenia ze strony Rosji czyni ją wyjątkowym i niebezpiecznym sąsiadem Polski. Tymczasem z narracji Rafała A. Ziemkiewicza można odnieść wrażenie, że obawy przed Rosją to efekt neuroz i małostkowych uprzedzeń. Nie, to poczynania Rosji – takie jak polityka aneksji czy próby ingerowania w cudze wybory – są w dzisiejszej Europie mimo wszystko czymś rzadkim i niepokojącym.

Izrael też bywa brutalny i co z tego? – wskazuje Ziemkiewicz. To prawda, ale my nie mamy swoich interesów na Bliskim Wschodzie i ważniejsze jest dla nas to, kto jest agresywny w naszym rejonie. A tu drapieżnikiem jest Rosja.

„Orbán może traktować Rosję jak partnera takiego ja inni, a my nie możemy?” – spyta ktoś. Nie, nie możemy, bo mamy inne położenie geostrategiczne. Żyjemy na terenach, które rosyjscy, potem sowieccy, a wreszcie znów rosyjscy wojskowi nazywają korytarzem strategicznym na Zachód. Rosjanie od XVIII w. mają ambicje kontrolować politycznie, a często i wojskowo, ten korytarz.

Węgry są krajem nieporównanie mniejszym. W tradycji rosyjskiej wojskowości Nizina Węgierska to drugorzędny kierunek. Rosyjskie wojska zapuściły się na Węgry tylko trzy razy – w 1848 r. w ramach ówczesnej „braterskiej pomocy” dla wypychanych z krainy Madziarów Habsburgów i w latach 1945–1956 w ramach szerszej idei Stalina kontrolowania całej Europy Wschodniej.

Jeśli porównać trzy wieki zainteresowania ze strony Rosji ziemiami polskimi i dwa krótkie incydenty najazdu Moskwy na Panonię, to widać różnice w geostrategicznej pozycji obu państw. Nieprzypadkowo ostatni żołnierz Armii Czerwonej opuścił Węgry już 19 czerwca 1991 r., a z Polski Sowietci wyszli ponad dwa lata później, 17 września 1993 r.

Różne kraje są w różnej sytuacji strategicznej. Włochom, Austriakom, Słowakom, Węgrom Rosja nie kojarzy się z groźbą agresji. Jednak kraje graniczące z imperium Putina – nie tylko Polska, ale i państwa bałtyckie czy Ukraina – muszą liczyć się z najgorszym.

Powiedzenie Lecha Kaczyńskiego „dzisiaj Gruzja, jutro Ukraina, a potem być może i Polska” to nie objaw jakiegoś księżycowego romantyzmu i naiwnego zauroczenia Ukrainą czy nawet Białorusią. To efekt zwykłej ostrożności wynikającej z parusetletniej praktyki politycznej.

Dziwiw się, że Rafał A. Ziemkiewicz, lubiący podkreślać swoje przywiązanie do tradycji politycznej zimnego realizmu, tego nie widzi. Rosja prowadzi na terenie „bliskiej zagranicy” politykę agresywną: w Estonii porwała oficera tamtejszego wywiadu, Polsce odmawia wydania wraku Tu-154, Ukrainę nęka ciągłymi utarczkami na froncie; wobec wybranych krajów Europy Zachodniej odgrywa zaś rolę rzeczowego partnera. Ubiieranie ludzi, którzy wyciągają z tego wniosek, że Rosja nie chce normalizacji relacji, w kostium historyków, „ludzi, którzy bardziej nienawidzą Rosję, niż kochają Polskę” – to użyteczny chwyt, ale nic więcej.

KOMUŚ TRZEBA PODLEGAĆ?

Rafał A. Ziemkiewicz, jak rozumiem, w swoim przekonaniu nawiązując do dzieła Romana Dmowskiego, stawia w swoim tekście bardzo dyskusyjną tezę. „Przy swoim geograficznym położeniu i stosunku sił wobec sąsiadów Polska ma tylko trzy możliwości. Pierwsza: dogadać się z Niemcami przeciw Rosji. Druga: dogadać się z Rosją przeciw Niemcom. ▶

Trzecia: być w konflikcie z obydwojoma, co oznacza popychanie ich do tego, by dogadały się przeciwko nam”.

I znów warto zanalizować, jak Rafał, wrzucając raz jedno słówko tu, raz tam – buduje wizję fałszywego fatalizmu polskiej polityki. Czy nie istnieje trzecia możliwość – staranie się o zachowanie suwerenności wobec obojga dużych partnerów? Bez potrzeby symetrii – z Niemcami łączy nas wspólne członkostwo w NATO. W wizji Ziemkiewicza suwerenność musi od razu oznaczać wejście w konflikt z Moskwą lub z Berlinem.

Z wywodu Ziemkiewicza wyziera wręcz teza, której nie sposób zaakceptować. Nie ma szans na żadną niepodległość. Albo będziemy państwem klienckim Rosji, albo wasalem Niemiec. Wszelkie „wierzanie” to sytuacja, w której sami zapracujemy na alians Berlina i Moskwy na naszą zgubę. Proszę wybaczyć ostre porównania, ale to przypomina filozofię życiową niektórych kobiet: „Albo będę uzależniona od jednego faceta, choćby i bił, albo od drugiego, choć ten wymaga bezwzględного posłuszeństwa. A jak nie zechcę zgąć karku ani przed jednym, ani przed drugim, to skończę na ulicy”.

Ten fatalizm budowany jest, jak wiadać, niezwykle silnie w myśleniu endeckie. Co ciekawe, tezy takie wygłaszane są na jednym tchu z opiniami o potrzebie budowania polskiej siły.

Jak pogodzić jedno z drugim? Nie wiem.

Polska ma prawo uznawać Rosję Putina za zagrożenie, a jednocześnie chcieć budowania partnerskich relacji z Niemcami i Unią Europejską. Nie musi ulegać szantażom typu: „Albo uznanie, że polskie sądy nie mogą być reformowane, albo Europa was się wyprze i staniecie oko w oko z Moskwą”.

Rafał twierdzi, że chaos w Europie skłonił Berlin raczej do „szukania z Warszawą trwałego, opartego na wzajemnym wsparciu swoich interesów modus vivendi”. Ciekawe – znów schemat: „inni chcą dla nas dobrze, ale lekkomyślna Polska jak zawsze odmawia”. Ja raczej widziałem politykę uśmiejchów ze strony Merkel i jednocześnie pogroźki, np. unijnego komisarza Günthera Oettingera z CDU, że kraje łamiące praworządność będą karane cięciami w budżecie unijnym.



Ostatnim momentem do realnego sojuszu Merkel z Jarosławem Kaczyńskim było potraktowanie serio ostrzeżeń lidera PiS, że Polska uzna ponowny wybór Tuska na szefa Rady Europejskiej za akt wrogości. Dobro Tuska pani kanclerz postawiła wyżej niż choćby cichy sojusz z PiS. O jakim więc modus vivendi mowa? O wizytach prezydenta Steinmeiera pouczającego nas, jak szanować prawo?

AMERYKA NIEPEWNA, ROSJA PEWNA?

Jeszcze więcej sprzeciwu musi budzić kolejna teza Rafała A. Ziemkiewicza: „Jeśli Polska nie ma silnych kart, to przyjmuje jedno z dwóch złych rozwiązań: albo uznajemy, że nic się nie da zrobić i poddajmy się całkowicie obcym oczekiwaniom, na dodatek naiwnie wmawiając sobie, że mamy samych przyjaciół, którzy chcą dla nas jak najlepiej, albo upieramy się przy swoim wbrew zasadom uznawany w światowej polityce za oczywiste, według modelu »nie oddam ani guzika i jedyną rzeczą bezcenną jest honor«”. Zostawmy na boku nadużywane już przez Rafała aluzje do września 1939 r. Bardziej niejasne są ironiczne uwagi RAZ o wmawianiu sobie, że mamy wokół samych przyjaciół.

Jeśli odnosi się to do euroentuzjazmu i zapatrzenia na Berlin totalnej opozycji, to tu mamy takie spojrzenie. Jeśli jednak to krytyka uznawania USA za główny czynnik naszego bezpieczeństwa, to wypada mi podjąć polemikę.

Tym bardziej że parę akapitów dalej RAZ pisze: „Wybraliśmy w tej grze rolę wasala, bezwarunkowo przyjmującego punkt widzenia i interesy USA oraz jego szczególnego sojusznika Izraela. Skoro sami zrezygnowaliśmy z własnej polityki bliskowschodniej i własnej polityki ukraińskiej [...] własnej polityki wobec Białorusi, którą uparliśmy się naprowadzić na drogę do antylukaszenkowskiego Majdanu, no to jak możemy oczekiwać, że Rosja będzie nas traktować jako polityczny podmiot”.

Długi ten cytat dobrze ukazuje bardzo niepokojący rys toku myślenia Rafała A. Ziemkiewicza. Widać w nim tezę, że jesteśmy utrzymankiem Waszyngtonu, pacholkiem Izraela i naiwniakiem wdzonym za nos przez Kijów. Wszystko to po to, by ogłosić – jesteśmy niepoważni, więc nic dziwnego, że Rosja nas lekceważy.

No to odpowiadam. Polska uważa Amerykę za jedynego realnego gwaranta swojego bezpieczeństwa nie dlatego, że ma mentalność sentymentalnej pensjonarki. Po prostu ten kraj zgodził się być państwem ramowym grupy bojowej NATO na polskiej ziemi, tak jak Niemcy i Brytyjczycy w krajach Bałtów.

Szybciej jednak można się spodziewać zdecydowanej reakcji USA na atak rosyjski niż determinacji krajów zachodniej Europy. A tylko Waszyngton ma potencjał militarny pozwalający wierzyć, że może wejść z agresorem w konflikt. Po nich są jeszcze Brytyjczycy, Kanadyjczycy, Francuzi, potem długo nic i wreszcie Niemcy ze swoją przybitką Bundeswehrą.

Psycholodzy społeczni z krajów zachodniej Europy sami mówią, że ich społeczeństwa weszły w fazę postheroiczną i nie chcą umierać za wolność nie tylko naszą, ale i własną. Pozostaje Ameryka. Czy jest pewna? Nie. Ale wielokrotnie bardziej budzi zaufanie niż Rosja podejmująca w myśl marzeń RAZ realdialog z Polską.

Rafał kończy sprytnie – pozostawia nadzieję, że „gangster” Putin kiedyś zniknie i wtedy dialog z nowym gospodarzem Kremla będzie możliwy. No cóż – pożyjemy, zobaczymy. Na razie pozostaje nam jednak poleganie na amerykańskiej obecności w Polsce. Rosja nie jawi się teraz jako kraj mający ochotę na dialog z Warszawą. I nie jest to wina Polski, tylko postsowieizmu Putina.

A budowanie prorosyjskiego lobby w Polsce obejmuje na razie postacie bardzo miernego formatu z partii Zmiana. Domyślam się, że Rafał odpowie na to, że gdyby z Rosjanami postarali się serio porozmawiać poważniejsi politycy niż ci z partii Zmiana, relacje pewnie byłyby inne. Obawiam się, że nie byłyby. Rosjanie w relacjach z Polską wolą mieć ludzi uzależnionych od siebie. Na Węgrzech – jak dotychczas – wystarcza im partnerstwo, w Polsce mogłoby być inaczej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Bezpiecznych wakacji w podróży



Rentis
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 309 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 0650452470

Dać medialną szansę rodakom



Z Leszkiem Sosnowskim,
prezesem wydawnictwa
Biały Kruk



rozmawia Wojciech
Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Dlaczego nagle zapadło milczenie w sprawie repolonizacji mediów? – takie pytanie zadaje pan w jednym z artykułów. Kilkanaście dni temu rozmawiałem z wiceministrem Jarosławem Sellinem, który powiedział, że rzeczywiście nie jest to brane pod uwagę...

LESZEK SOSNOWSKI: Niektórzy członkowie rządu bardzo obawiają się kwestii repolonizacji czy dekoncentracji mediów, ponieważ nie wiedzą, jak sobie poradzić z tym problemem. W artykule we „Wpisie” [miesięcznik społeczno-polityczny – przyp. red.] zwróciłem uwagę, że powinno się rozróżniać repolonizację mediów od repolonizacji rynku mediowego. To nie to samo. Gdy mówi się o repolonizacji, powszechnie uważa się, że chodzi o pozbawienie zagranicznych, głównie niemieckich, koncernów tego, co posiadają w Polsce, i moim zdaniem to też należałoby zrobić, ale przede wszystkim trzeba zrepolonizować rynek, czyli powinny na nim pojawić się nowe, polskie i propolskie silne media. To ma obowiązek stymulować państwo, które nawet powołało w tym celu stosowne służby. Jak się wywiązują ze swoich zadań – każdy widzi. Obserwujemy na rynku nieprawdopodobny przechyl w stronę niemiecką oraz lewacką, generalnie antypolską. Nasze media stanowią zaledwie jego niewielki ułamek. Nie ma mowy o pluralizmie na tym rynku. I tę przewagę trzeba zniwelować. Nie ma przy tym konieczności odwoływania się do pomocy publicznej, ale trzeba po prostu pomóc, głównie na starcie, w kredytowaniu nowych polskich, patriotycznych inwestycji na rynku mediów.

„Pozbawić niemieckie koncerny” – to brzmi niepokojąco, jak chęć ingerencji w prawo własności...

Nie tyle odebrać, ile ograniczyć lub zlikwidować oraz stworzyć nowe, polskie i ciekawe publikatory.

„My” to znaczy kto? Polscy przedsiębiorcy, polski rząd?

Przedwcześniej jechałem pociągami i czytałem, dla orientacji właśnie w rynku mediów, pismo „Uroda”,

które jest jednym z wiodących, jeśli chodzi o ściąganie pieniędzy z reklam. Własność: szwajcarski koncern Edipresse. Czytam z pozoru sympatyczny wywiad z jakąś panią doktor, która cały czas przekonuje, że genderyzacja życia jest niezbędna, że to zbawienie dla ludzkości. Dalej czytam, że pani Weronika Rosati, podobno znakomita aktorka, działająca w Hollywood, a urodzona w Warszawie, jest szczęśliwa, iż może w Los Angeles wychowywać swoje dziecko, bo wie, że nie wyróżnie ono na Polaka, tylko na kosmopolitę. Wydawałoby się, że to rozmówki bez znaczenia, ale właśnie w taki sposób lansuje się określone poglądy, wartościuje się ludzi, kreuje pewne prądy, mody. I tego rodzaju czasopisma, proniemieckie, kosmopolityczne, lewicowo-liberalne mają na rynku olbrzymią przewagę. Ja mówię o tym, że trzeba tę przewagę zlikwidować. Rząd ma w tym pomóc, a nie sam tworzyć media.

Wróćmy do mojego pytania: Kto miałby to zrobić i jak? Obserwuję rynek medialny i nie bardzo widzę na nim polskich inwestorów, zwłaszcza związanych z prawą stroną, którzy byłiby zainteresowani inwestowaniem w polskie media, tworzeniem nowych.

Jednak tu powinna zadziałać inspirująca rola państwa.

Czyli powinny, pana zdaniem, powstać nowe państwowe media?

Dlaczego państwowe? Wystarczy pomoc państwa np. w formie ułatwień w kredytowaniu rodzimych inicjatyw medialnych. Jeśli pójdzie pan do banku i zażąda miliona złotych kredytu, to będzie pan musiał posiadać jakieś zabezpieczenia oraz biznesplan, nad którym pochyla się analitycy i zastanawia się, na ile pański pomysł ma szansę zafunkcjonować. Moim zadaniem najprostszą formą pomocy byłby jakiś rodzaj funduszu inwestycyjnego dla polskich przedsiębiorstw mediowych. Chodzi o to, by dać szansę tym, którzy kasy nie mają, ale mają pomysły i know-how. Oczywiście na 10 nowych projektów dwa albo trzy upadną, ale wiele się rozwinie i stanie się konkurencją dla zagranicznych podmiotów. Przede wszystkim trzeba dać szansę rodakom w terenie. Tymczasem mam wrażenie, że cały czas koncentrujemy się na Warszawie, na tych paru podmiotach, które funkcjonują w stolicy.

Jestem z Poznania i – szczerze mówiąc – widzę zarówno straszną merytoryczną „nędzę” funkcjonujących w Wielkopolsce gazetek, jak i brak zainteresowania lokalnych przedsiębiorców otwieraniem mediów. A jeśli już, to po to, by sprzedać je z zyskiem dużemu koncernowi. To jednak rynek powoduje, że mało jest na nim mediów polskich pod względem własnościowym.

A może to było spowodowane przez nieudolność, brak wiedzy i talentu? To, że jakiś podmiot upada, nie znaczy zaraz, że nie ma już miejsca na nową gazetę, telewizję, portal czy radio. To może oznaczać, że produkt oferowany odbiorcom był po prostu nudny, a nuda zabija wszystko, nawet najpiękniejszą ideę. Jednak dziennikarski potencjał w Polsce jest duży: jest wielu młodych ludzi, którzy chcieliby spróbować swoich sił w tym zawodzie, jest cała rzesza ludzi, których zagraniczni właściciele zwolnili kiedyś z mediów regionalnych. Ci ludzie mają potencjał, który można wykorzystać. Jednak dotychczas do różnych inwestycji mediowych w Polsce brali się przeważnie hochsztaplerzy, którzy nie

mediowego i polityki informacyjnej rządu, która rzeczywiście de facto nie istnieje. W każdym ministerstwie, w kancelariach premiera i Prezydenta są biura prasowe, które moim zdaniem składają się głównie z nicponiów pobierających spore pensje, niewykonyjących natomiast żadnej pracy informacyjnej, zwłaszcza w stosunku do zagranicy. Proszę spojrzeć na taki organ jak „Deutsche Welle”: w 30 językach na cały świat bez przerwy produkują ciekawe dziennikarskie materiały, z których korzystają inne media, politycy, naukowcy. Jest to instytucja w całości nastawiona na propagowanie Niemiec, finansowana przez rząd niemiecki i jakoś nikt nie protestuje. W Polsce też działa, i to ostro. Czy nie powinniśmy przygotować czegoś podobnego? Niech to będą materiały nie w 30 językach, ale chociaż w trzech-czterech. Informacje, wyjaśnienia, komentarze, wywiady z osobistościami itp. wysyłane do mediów na całym świecie, do ważnych osób, na uczelnie itd.

Obserwujemy na rynku mediowym nieprawdopodobny przechył w stronę niemiecką oraz lewacką, generalnie antypolską. Nasze media stanowią jego niewielki ułamek. Nie ma mowy o pluralizmie. I tę przewagę trzeba zlikwidować

mieli pojęcia, jak to się robi, i chcieli tylko wydoić jakiegoś naiwnego inwestora. Potem znikali. Rozmawiamy tu bardzo skrótowo, ale każdy projekt mediowy trzeba rozpatrywać nie tylko w kontekście wydawnictwa, lecz także dystrybucji i reklamy – tam jest też bardzo dużo do naprawienia. Rynek reklamy dysponuje miliardami złotych – prawie wszystkie trafiają do zagranicznych podmiotów, które w Polsce mają szczególnie bogate żniwa.

Jeszcze przed wygranymi przez PiS wyborami w 2015 r. część ekspertów i polityków Zjednoczonej Prawicy ostrzegała, że Polska znajdzie się w centrum międzynarodowej wojny informacyjnej i że konieczne jest zbudowanie własnej, silnej medialnej narracji. Mijają trzy lata, wojna informacyjna jest, przegrywamy ją na każdym polu, rząd sobie z narracją nie radzi...

Zgadzam się tu z panem całkowicie, jednak rozróżniałbym kwestie rynku

Trzy lata temu prezes TVP Jacek Kurski zapowiadał stworzenie anglojęzycznego kanału telewizji – Poland 24. Do dziś on nie powstał.

To jest właśnie bardzo dziwne. Słyszałem o powodach formalnych, legislacyjnych. Jeśli pan przeczyta ustawę o radiofonii i telewizji, to zobaczy pan jednak, że jest tam wyraźnie zapisane, iż telewizja i radio publiczne są misyjne m.in. dlatego, że nadają programy o tematyce polskiej również w obcych językach. Może angielski nie jest już obcy... Odnoszę wrażenie, że u nas, wśród sfer rządowych, zdomowała się taka prawidłowość: jeśli się trafi ktoś, jakiś ekspert, najlepiej taki, który powie, że czegoś „się nie da”, to cała reszta zadowolona ze zrozumieniem pokiwa głowami – bo ma problem z głową. A problemów nie brakuje. Tyle tylko, że historia uczy, iż na dłuższą metę zwyciężają ci, którzy nie znają pojęcia „nie da się”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Warzecha

Na razie temat dekoncentracji mediów ucichł, ale może to być cisza pozorna. Ze strony polityków PiS nie padło twarde zapewnienie, że nie powróci

Powrót tematu dekoncentracji mediów byłby ogromnym dodatkowym obciążeniem dyplomatycznym dla rządu, który i tak zмага się z dwoma innymi poważnymi problemami: kwestią ustaw o IPN i sądowych. Przede wszystkim jednak niosłoby ze sobą potencjalne zagrożenie dla wolności słowa.

Kiedy niedawno premier Mateusz Morawiecki skarżył się, że 80 proc. mediów jest nieprzychylnych rządowi, zostało to odebrane – w kontekście ewentualnej dekoncentracji – jako rodzaj groźby skierowanej do redakcji, które ośmielają się rządowi nie kadzić. Te 80 proc. – gdyby podliczyć rzetelnie odbiorców różnego rodzaju mediów, wliczając państwowe – wydaje się mocno przesadzone. Warto jednak pamiętać, że wśród mediów krytycznych wobec władzy są również te niebędące własnością niemiecką, demonizowaną przez część polityków obozu władzy, a zwłaszcza przez jej zwolenników, a nawet niebędące w ogóle własnością zagraniczną. Już samo to każe postawić pytanie, czy pomiędzy niepolską własnością medium a jego polityczną afiliacją faktycznie istnieje związek.

SŁABE WZORCE

Potrzeba przeprowadzenia dekoncentracji jest uzasadniana przede wszystkim na dwa sposoby. Bardziej ogólny, po który często sięgają członkowie rządu, to stwierdzenie, że musimy doszłusować do „europejskiego standardu”. W najważniejszych krajach UE, jeśli obce podmioty nie mogą otwierać dowolnej działalności medialnej, to właśnie ze względu na ograniczenia dotyczące koncentracji, którym podlegają na tych samych zasadach zarówno firmy rodzime, jak i obce. Kraje UE nie mogą wprowadzać ograniczeń dla firm wewnątrz Unii, bo byłoby to sprzeczne z zasadą swobody przepływu kapi-



Media w ryzach?

tału, jedną z podstawowych zasad UE. Pierwotne uzasadnienia „repolonizacji” jako uderzenia w „niemieckie” media nie uwzględniały tego czynnika.

Zdarza się natomiast, że pojawiają się opory nieformalne. Taki los spotkał polskiego wydawcę pisma „Sport”, wychodzącego w Niemczech. To mało znana historia względnego sukcesu, pokazująca, że Polak może wydawać u naszych zachodnich sąsiadów popularną gazetę (sprzedaż sięgała ponad 100 tys. egzemplarzy), ale natknął się na innego rodzaju problemy. „Sport” miał mianowicie kłopot z dystrybucją oraz ze zdobywaniem reklam. Był to cichy bojkot polskiego wydawcy.

Tyle że kwestia własności mediów w krajach, wskazywanych jako wzór dla Polski, wcale nie jest przejrzysta. W 2017 r. Reporterzy bez Granic opublikowali raport francuskiej ekspertki od ekonomii mediów, Julii Cagé, z którego wynikało, że struktura właścicielska w przypadku 51 proc. mediów drukowanych i internetowych we Francji to skomplikowana, niejasna i prawdopodobnie celowo zapętlona siatka interesów, związanych z firmami z sektora finansów i ubezpieczeń. Dla porównania: jedynie 18 proc. mediów tego typu jest w rękach klasycznych firm

medialnych. Tak naprawdę nie wiadomo więc, czyje interesy biznesowe – a może nie tylko biznesowe – poszczególne media reprezentują. A wszystko to przy regulacjach, ograniczających udział firm spoza UE w mediach francuskich.

Między krajami Europy Zachodniej – gdyby uznać, że chcemy mieć podobne prawo – a Polską jest jednak zasadnicza różnica. Na Zachodzie bariery ustawowe lub wynikające po prostu z siły rodzimego kapitału (tak jak to jest w Niemczech) zapobiegły wejściu na rynek medialny obcych firm, podczas gdy u nas przepiszy musiałyby wywrócić do góry nogami od dawna istniejący ład. To znacznie trudniejsze i wiąże się z ogromnymi konfliktami, wykraczającymi poza dziedzinę mediów. Wystarczy przypomnieć, że TVN jest własnością amerykańską, a nasze relacje z Waszyngtonem i tak są lekko napięte. Uderzenie w amerykańską własność medialną – co akurat moglibyśmy zrobić, bo tu nie krępują nas reguły UE – nie pomogłoby na pewno w ich utrzymaniu na dobrym poziomie.

POLSKI INTERES

Drugie uzasadnienie, pojawiające się na ogół w wypowiedziach politycznych



zmierzenia i bardzo ocennej, a więc podatnej na emocjonalną retorykę i manipulację, zgodną z bieżącą polityczną potrzebą. Co to bowiem są „obce”, a co „polskie interesy”? Można by się zapewne zgodzić, że istnieje kilka najbardziej podstawowych, powszechnie akceptowanych punktów: członkostwo w NATO, utrzymanie demokratycznego ustroju (ale nie ma już zgody co do tego, co to ma dokładnie oznaczać), utrzymanie Polski po stronie szeroko pojętego Zachodu... Co jeszcze?

A przecież częścią demokratycznej gry jest, że różni aktorzy tejże definiują odmiennie polskie interesy i mają do tego prawo. Ba, nawet w przypadku tych kilku przytoczonych wyżej punktów, może poza pierwszym, dość jednoznacznym, możliwe są różne interpretacje i obecnej sytuacji, i sposobów realizacji celów. Debata i spór mogą dotyczyć nawet bardzo kontrowersyjnych zagadnień. Można np. być zdania, że sprowadzenie do Polski imigrantów, zwanych dla niepoznaki uchodźcami, jest niezgodne z naszym interesem, ale trzeba dopuścić, że ktoś ma w tej sprawie inne zdanie i ma prawo je publicznie wyrażać. Trudno zatem uznać, że medium, które wytrwale opowiada się za przyjmowaniem imigrantów, należy w jakiś sposób spacyfikować, bo jest „przeciwko polskiemu interesowi”.

W tym miejscu docieramy do kluczowego rozróżnienia, które w wypowiedziach części przedstawicieli obozu rządzącego wydaje się zacierać: linia polityczna partii sprawującej władzę nie jest tożsama z obiektywnym interesem państwa. Nie wolno, zwłaszcza w stosunku do mediów, czynić takiego utożsamienia, bo dojdziemy do wniosku, że kto atakuje politykę partii rządzącej, ten zarazem atakuje polskie interesy i podważa polską rację stanu. Od tego już tylko mały krok do cenzurowania każdego, kto skrytykuje rząd.

Przypomnijmy sobie sytuację z lat 2007–2015. Czy patrząc z pozycji ówczesnej władzy, należałoby uznać, że sprzyjające wtedy opozycji gazety, radio i telewizja (jedna, bo więcej nie było), krytykując politykę PO, naruszały polskie interesy? To oczywiście retoryczne pytanie.

Bardzo nieprzyjemnie wyglądające wzmoczenie mogliśmy obserwować w marcu tego roku, gdy dziennikarze Onetu – Andrzej Stankiewicz i Andrzej Gajcy – opublikowali informacje o napię-

ciu w stosunkach Polski z USA i o tym, że w najbliższym czasie niemożliwe mają być spotkania polskich i amerykańskich polityków na najwyższym szczeblu. Te wiadomości potwierdziły się w kolejnych dniach, ale na dziennikarzy posypały się – także ze strony polityków PiS – gromy i obelgi. Głównie za przestrzelony tytuł tekstu, w którym mowa była o sankcjach. I właśnie ta sytuacja była często przytaczana przez zwolenników dekoncentracji (czyli repolonizacji) jako dowód na to, że „niemieckie” media w Polsce realizują niemieckie interesy.

Co ciekawe, to właśnie politycy PiS twierdzą, że obecny ład medialny gwarantuje należyty pluralizm: po jednej stronie media otwarcie sprzyjające władzy, po drugiej – otwarcie ją zwalczające. Nawet jeśli nie jesteśmy zwolennikami takiego układu, zwłaszcza jeśli chodzi o rolę mediów publicznych, to nie sposób tu nie dostrzec niekonsekwencji. Jeżeli bowiem taki właśnie układ ma gwarantować pluralizm medialny, to jak interpretować sygnały o chęci uderzenia w drugą stronę medialnego frontu?

PROPAGANDOWE TUBY

Do tej pory nikt spośród zwolenników dekoncentracji nie odpowiedział na kluczowe pytanie: Kto w Polsce miałby je kupić, gdyby zagraniczni właściciele zostali zmuszeni do sprzedaży części swoich aktywów? Nie ma prywatnych koncernów, chętnych i gotowych do wyłożenia pieniędzy idących w dziesiątki albo i setki milionów. Musiałyby to być zatem prawdopodobnie spółki Skarbu Państwa. A to z kolei oznaczałoby nieuchronnie próby uczynienia ze „zrepolonizowanych” mediów tub propagandowych rządu – tego lub innego. Czy tego sobie życzymy?

Ograniczenie grupowania mediów w jednym ręku, w tym przez zagraniczne podmioty, nie musi być złym rozwiązaniem. Czym innym byłoby jednak wprowadzenie takiej zasady przy założeniu, że obowiązuje ona dopiero od wejścia w życie odpowiedniej regulacji i nie dotyczy mediów już funkcjonujących, a czym innym są złowrogo brzmiące pokrzykiwania o tym, że robi się porządek z „antypolskimi” lub „polskojęzycznymi mediami”. Od tego już tylko krok do prawdziwego zagrożenia wolności słowa.

harcowników oraz zwolenników partii rządzącej, dotyka faktycznej, jak się wydaje, istoty sprawy, pobrzmiewającej również w słowach premiera. Brzmi ono: media będące własnością obecnego kapitału z zasady nie sprzyjają polskim interesom. To skrajnie niepokojący sposób rozumowania.

Zbitka „obce media realizują obce interesy” zakorzeniła się w debacie publicznej niemal jak dogmat. Tymczasem nikt nigdy nie przedstawił analizy pokazującej, jak realizacja obcych interesów przez te media miałyby w praktyce wyglądać. Tam, gdzie mielibyśmy do czynienia z rodzajem agentury – działaniem na zlecenie obcego wywiadu lub próbami wzbudzenia w Polsce niepokojów np. na tle narodowościowym – powinny wkroczyć do akcji odpowiednie służby, a nie ustawa dekoncentracyjna. Od tego m.in. jest ABW. W innych przypadkach, jeśli domniemane działanie na rzecz obcego interesu ma być podstawą do daleko idących działań w dziedzinie własności mediów, można by oczekiwać, że inicjatorzy tychże przedstawią obszernie dowody na poparcie swojej tezy. Nic takiego jednak dotychczas nie nastąpiło. Nie zobaczyliśmy żadnego raportu pokazującego czarno na białym, że „Newsweek”, „Fakt”, TVN, Interia czy inne medium, będące zagraniczną własnością, „realizuje obce interesy”.

Być może dlatego, że tego typu uzasadnienia dotyczą sfery trudnej do

KAMILA BARANOWSKA: SLD idzie do wyborów samorządowych pod własnym szyldem i ze wsparciem mniejszych inicjatyw lewicowych. Dlaczego nie z Platformą i Nowoczesną?

WŁODZIMIERZ CZARZASTY: Z tego samego powodu, dla którego z Platformą nie idą wszystkie inne ugrupowania poza Nowoczesną. Platforma nie ma żadnych zdolności koalicyjnych, Grzegorz Schetyna nie chce i nie potrafi tworzyć sojuszy, jest niewiarygodny. Koniec ze ściemą, że Platforma chce budować jakąś koalicję, się jednoczyć. Jedyną partią, z którą jest w stanie się dogadać, jest Nowoczesna. To zresztą specyficzna forma współpracy, polegająca na stopniowym wchłanianiu Nowoczesnej przez Platformę. Albo na umieszczaniu na wspólnych listach samych ludzi PO, bo na szczeblu lokalnym, w powiatach, Nowoczesna po prostu nie istnieje. Nikt poza Nowoczesną na takie warunki współpracy nie chciał iść. Proszę zwrócić uwagę, że PSL

raz, że jesteśmy jedyną prawdziwą opozycją, a jak ktoś nie jest z nami, to jest z PiS-em. Na lewicy jest sporo podmiotów i nam udało się zintegrować większość z nich. I to jest sukces.

Jednym z elementów sukcesu PiS było to, że Kaczyński dogadał się z Gowinem i Ziobrą. Nie jest tak, że tylko zjednoczona opozycja może wygrać ze Zjednoczoną Prawicą?

Trzy lata temu w wyborach parlamentarnych Platforma miała identyczne hasło – przekonywała, że każdy głos oddany nie na nich jest głosem straconym. Jakie są tego efekty? Rządzi PiS. I dziś znów Platforma mówi to samo – że kto nie głosuje na Platformę, ten wspiera PiS. Co się działo, gdy Inicjatywa Polska Nowackiej i Partia Razem poparły Jana Śpiewaka jako kandydata na prezydenta Warszawy? Okazało się, że Nowacka i Zandberg to zdrajcy, przez których Trzaskowski

nie oddadzą głosu na Platformę. Jedni niszczą państwo na naszych oczach, drudzy niszczyli je i doprowadzili do tego, że rządzi PiS. Mamy prawo do walki i do innej wizji Warszawy, innej wizji Polski. A ci, co powtarzają w kółko, że każdy, kto ma szansę wziąć jakąś część sceny politycznej, jest zły, bo odbierając głosy Platformie, pomaga PiS, są zwykłymi propagandzistami partyjnymi służącymi złej sprawie. Platforma jako główna siła opozycyjna powinna być przede wszystkim odpowiedzialna.

A konkretnie?

Jeżeli będą dwa bloki i PiS weźmie 35 proc., PO – 30 proc., a Kukiz – 9 proc., to Polską będzie rządził Kaczyński z grajkiem. Gdzie tu jest odpowiedzialność?



Z Włodzimierzem Czarzastym, przewodniczącym SLD
rozmawia Kamila Baranowska

Schetyna nie umie budować sojuszy

idzie do wyborów samorządowych osobno, nie chce mieć z Platformą nic wspólnego. Oddzielnie idzie Partia Razem, oddzielnie idą Zieloni, ruchy miejskie, które – jak słyszeliśmy jeszcze niedawno – miały wspierać Platformę, idą oddzielnie i wreszcie my wraz z 21 naszymi partnerami, a docelowo pewnie będzie ich ok. 50, też idziemy oddzielnie.

No dobrze, a dlaczego w waszej lewicowej koalicji nie ma ani Barbary Nowackiej, ani Partii Razem?

Chcielibyśmy współpracować z Partią Razem, złożyliśmy im propozycję współpracy, ale dostaliśmy odpowiedź odmowną. Trudno. Nie będziemy jednak, jak Platforma, opowiadać te-

może nie wygrać. Zarówno oni, PSL, który też ma swojego kandydata, jak i SLD, bo też wystawiamy swojego, jesteśmy zdrajcami – dlatego że nie chcemy robić tego, co chciałby Schetyna. To jakiś absurd. Nie dam się wplątać w taki szantaż, w tę nieprawdziwą i głupią, choć dość powszechną w kręgach sympatyzujących z PO, teorię. Nie zgadzam się na podział Polski na dwa bloki: PiS-owski i platformiani, bez żadnej alternatywy.

Ten podział jest faktem, podobnie jak to, że Platforma jest największą partią opozycyjną. Nie ma sensu obrażać się na rzeczywistość.

Są ludzie, którzy nigdy nie będą głosować na PiS, jak i tacy, którzy nigdy



FOT. KRZYSZTOF KAMIEŃSKI/REPORTER

Opozycja potrzebuje lidera myślowego szeroko i długofalowo, a nie tylko przez pryzmat własnej pozycji w partii. Takiego, który inicjowałby ważne dyskusje o tym, jak rozwiązać problem służby zdrowia, górników, osób niepełnosprawnych itd. Ze Schetyną takich rozmów nie ma.

Bo wybrał model opozycji totalnej.

Mnie się marzy opozycja mądra, a nie totalna.

Ostatnio mogliśmy usłyszeć, że dzięki staraniom PO mają zostać zamrożone fundusze dla Polski do czasu, aż PiS straci władzę...

My jako SLD nigdy nie przyłożymy ręki do tego, żeby Polsce zostały zabrane jakieś pieniądze, dlatego że te pieniądze nie są zabierane PiS, tylko są zabierane Polkom i Polakom. Jak dobrze pójdzie, to PiS za rok nie będzie już rządził, a jeżeli doprowadzimy do tego, że zostanie nam zabrane 20 czy 30 proc. środków, które moglibyśmy dostać, to będzie to wielka strata dla Polski, Polek i Polaków.

Wy macie ostatnio inną taktykę. Zamiast negować wszystko, co PiS robi, próbujecie go przelicytować. Sprytnie.

Nasze hasło brzmi: damy Polakom to, co dał PiS, i oddamy to, co zabrał. Popieramy programy socjalne PiS, bo sami je też wprowadzaliśmy, ale oddamy Polakom praworządność, poczucie godności, szacunek do sądów i sędziów, dobre relacje z Unią. Nie będę negował programu „500+”, obniżenia wieku emerytalnego, podwyższenia stawki godzinowej czy minimalnej emerytury, bo sam te postulaty popieram.

Jak to się stało, że PiS z taką łatwością odebrał lewicy tematykę społeczną? Gdzie był wtedy SLD?

Nie odebrał, lecz po prostu lepiej nagłośnił swoje pomysły. I tu popełnił błąd. Gdybym miał jednak rozpatrywać wszystkie błędy, które w historii popełnił SLD, tobym się pociął żyłką. A sprawy socjalne nie są sprawami partyjnymi. Jeśli państwo ma pieniądze, to powinno dbać o to, by ludziom żyło się lepiej. Po prostu.

Można pójść dalej i zapytać, po co w takim razie głosować na SLD, skoro to PiS wprowadza lewicowe postulaty w życie.

Każdy człowiek oprócz żołądka ma też serce. Sprawy socjalne są ważne, ale równie ważny jest też system wartości. A to, co wyrabia PiS, dla wielu osób jest nie do przyjęcia. Dlatego obiecuje, że oddamy i naprawimy to, co PiS zawłaszczył i zepsuł. To są kwestie praworządności, łamania konstytucji, przestrzegania reguł demokracji. Zresztą w sprawach socjalnych też jeszcze jest wiele do zrobienia i mamy na to swoje pomysły. Nie starczyłoby miejsca, gdybym je wszystkie zaczął teraz wymienić.

A macie pomysł na przekonanie do siebie młodego wyborcy, bo dziś SLD to partia głównie starszego elektoratu.

Jeżeli postulujemy likwidację umów śmieciowych czy wprowadzamy in vitro na poziomie samorządowym tam, gdzie rządzą nasi ludzie, to robimy to właśnie z myślą o młodych

ludziach. Mamy też własny program mieszkaniowy, w którym mieszkania będą kosztować w granicach 600 zł miesięcznie. Będziemy starać się przetrwać do siebie młode pokolenie, choć mam świadomość, że przegraliśmy tu inną bardzo ważną walkę, i wiem, że to jest trudne do odrobienia. Chodzi o pamięć historyczną. Zresztą w tej chwili też nie cała lewica chce się tym interesować. My jako SLD mówimy, że będziemy walczyć o godność ludzi, którzy byli zawodowo czynni do 1990 r., i że nie ma stulecia niepodległości bez 45-lecia PRL. Barbara Nowacka czy Adrian Zandberg się od tego odcinają. Nie powinniśmy oddawać tego pola prawicy. Dlatego wśród naszych sześciu priorytetów polityka historyczna jest na pierwszym miejscu. Potem są sprawy socjalne, świeckie państwo, Unia Europejska, obrona konstytucji i szeroko rozumiane prawa obywatelskie.

Na jaki wynik pan liczy w wyborach do sejmików?

Jak najlepszy. Za długo jestem w polityce, żeby dać się namówić na takie deklaracje. Koleżanki i koledzy muszą się starać, nie być aroganccy i zrobić jak najlepsze wyniki. Minimum to odtworzenie obecnego stanu posiadania. Dzisiaj jesteśmy drudzy, tuż za Platformą, jeśli idzie o liczbę prezydentów i wiceprezydentów w kraju. Nie damy sobie tego odebrać.

Na razie PiS mimo najróżniejszych kryzysów trzyma się mocno.

Jeżeli opozycja będzie prowadziła rozsądną politykę, nie będzie uważała, że jest najmądrzejsza na świecie, i nie będzie głosiła nieprawdziwych haseł, że kto nie z nami, ten za PiS-em, to PiS przegra. Jeśli ludzie będą mogli głosować na bloki związane ze swoimi poglądami, a nie wyłącznie mieć wybór między dwoma partiami, to PiS przegra. To będą bardzo ciekawe wybory. I nieoczywiste. W wielu miejscach PSL i SLD będą mogły odebrać głosy PiS-owi. Platforma nie ma na to szans. I to jest następny argument, żeby iść oddzielnie, a atakować PiS wspólnie.

Poza walką o swój elektorat trzeba zabiegać o tych, którzy nie chodzą na wybory, i o tych, którzy do tej pory głosowali na PiS. I dlatego tworzymy własny komitet, do którego zapraszamy wszystkie lewicowe inicjatywy i ugrupowania.



Wojciech Wybranowski

Na ramionach Pawła Chruszcza, głogowskiego radnego, którego powieszono pod koniec maja, stwierdzono zagadkowe obrażenia – ustaliło „Do Rzeczy”. Kilka dni przed śmiercią samorządowiec skarżył się znajomym: „Teraz mnie załatwią”

Na cmentarzu komunalnym przy ul. Lechickiej w Głogowie na grobie Pawła Chruszcza palą się znicze, pojawiają się świeże wiązanki kwiatów – od mieszkańców, od fanów miejscowej drużyny Chrobry Głogów, której popularny samorządowiec także był kibicem, od przyjaciół.

– To był bardzo twardy facet. Odważny. Kochał rodzinę, niepełnosprawny synek był całym jego życiem. Miał plany na przyszłość, na karierę polityczną. Nie wierzę, by sam mógł się zabić – mówi „Do Rzeczy” Michał Frąckowiak, były głogowski radny, przyjaciel Pawła Chruszcza.

Zwłoki radnego znaleziono powieszono na słupie energetycznym 31 maja późnym wieczorem. Opinia biegłych jest jednoznaczna: przyczyną zgonu było powieszenie. To jednak jest jedyna pewna rzecz w tej sprawie. Wydarzenia, które poprzedziły śmierć Pawła Chruszcza, jak i te, które rozegrały się już po znalezieniu jego ciała, budzą spore wątpliwości. Prokuratura Okręgowa w Legnicy prowadzi śledztwo w sprawie możliwości: zabójstwa, podżegania do samobójstwa, pomocy przy samobójstwie i samobójstwa. Żadnej wersji nie wyklucza.

Wyniki naszego dziennikarskiego śledztwa w Głogowie każą szukać odpowiedzi na wiele niepokojących pytań.

KTOŚ BYŁ Z CHRUSZCZEM?

42-letni Paweł Chruszcz po wyborach zaczął tropić afery. Większość jego odkryć znajdowała potwierdzenie w dokumentach i zeznaniach świadków. Sprawy, które badał Chruszcz, kilkanaście dni temu opisał „Dziennik Gazeta Prawna”.

Nasi informatorzy, z którymi spotkał się w Głogowie, kreślą sylwetkę samorządowca jako odważnego, ambitnego człowieka, którego trudności tylko nakręcały. Miał dalekosiężne plany.

– Był silny psychicznie, lubił wyzwania. Niedawno kontaktował się ze mną w sprawie wyborów samorządowych, chciał startować do rady powiatu, myślał o zarządzie powiatu – opowiada nam Andrzej Radomski, miejscowy przedsiębiorca, były skarbnik powiatu głogowskiego. Radomski pomagał ekonomicznymi analizami w sprawach,

jeszcze w poniedziałek i we wtorek opowiadał znajomym. – Przy zwłokach mojego brata w jego samochodzie nie znaleziono ani wędek, ani jego karty wędkarskiej – mówi Sylwester Chruszcz, poseł koła Wolni i Solidarni.

Jeszcze we wtorek głogowski samorządowiec dzwonił do swojego kolegi Bartłomieja Szwieca. Mówił mu, że jest na rybach, opowiadał, że następnego dnia też się wybiera powędkować.

– Pytał, czy nie chciałbym dołączyć, mówił, że są na łódkach. Uderzyło mnie, że cały czas używał liczby mnogiej, ale



które Chruszcz badał. – Jednak kilka ostatnich dni przed śmiercią sprawiał wrażenie zastraszonego, jakby ktoś albo coś miało na niego silny negatywny wpływ. Zdarzyło mu się powiedzieć np. „Teraz mnie załatwią” – dodaje nasz rozmówca.

Pawła Chruszcza ostatni raz żywego widziano w środę rano. Wyszedł z domu, prawdopodobnie miał jechać na ryby, o których kilkakrotnie wcześniej

jednocześnie nie powiedział, kto z nim jest – opowiada „Do Rzeczy” Bartłomiej Szwiec. – Dziwne było to, że chciał wiedzieć, czy mógłbym go zabrać, chociaż sam miał samochód, a ja nie mam auta. Dopiero później dotarło do mnie, że mógł między wierszami dawać do zrozumienia, że dzieje się coś niedobrego i chce, żeby ktoś przyjechał.

W środę, dzień przed śmiercią, Chruszcz zadzwonił do innego z kole-

gów. – Ten nasz znajomy też odniósł wrażenie, że Paweł nie jest sam – podkreśla Szwiec.

Czy Pawłowi Chruszczowi przed śmiercią ktoś towarzyszył? A jeśli tak – kim był i dlaczego po znalezieniu zwłok nie skontaktował się ani z rodziną, ani ze śledczymi? „Do Rzeczy” spytało prokuraturę, czy udało się jej pozyskać informacje o logowaniach do bramek BTS telefonu komórkowego zmarłego i innych osób.

– Sprawdzamy wszystkie napływające informacje celem ustalenia, czy

Nasi rozmówcy uważają, że zachowania głogowskich policjantów nie były profesjonalne. Poszukiwania miały być przerwane na noc. A już po znalezieniu ciała Chruszcza funkcjonariusze podeszli do sprawy tak, jakby z góry zakładali, że było to typowe samobójstwo.

– Brat Pawła, Sylwester, zaniósł na policję telefon zmarłego wraz z kodem PIN, mówiąc, że warto sprawdzić, że może coś w nim znajdą istotnego. Proszę sobie wyobrazić, że funkcjonariusz odmówił, twierdząc, że przez RODO nie może – sarka przyjaciel rodziny

ślałem, że jest na rybach. Ale 50 metrów dalej stał słup energetyczny, na którym ktoś wisiał. Podeszedłem bliżej, patrzę – Paweł. Miał plamy krwi na spodniach, na rękach – mówi nasz informator, kibic „Chrobrego”, który znalazł ciało.

Dotarliśmy do ludzi, którzy widzieli ciało radnego tuż przed sekcją zwłok. Mówią nam, że w pobliżu ramion mężczyzny stwierdzili obrażenia, których nie miał jeszcze w środę, kiedy ostatni raz widziała go rodzina. Chodzi o trzy okrągłe ślady o średnicy ok. 2 cm każdy. Ustaliliśmy też, że informacja o tych obrażeniach znalazła się w materiałach prokuratury. Mowa jest tam o otarciach na ciele, a także iż na wysokości ramion, na wysokości tzw. pagonów, zauważono „jakby odcisnięte i naruszające tkankę skóry” ślady wielkości 2 zł – dwa po jednej stronie i jeden po drugiej.

– Dokonano oględzin miejsca zdarzenia oraz ciała. Stan zwłok został dokładnie opisany przez biegłego w protokole przed przystąpieniem do sekcji. To wszystko, co mogę powiedzieć w tym zakresie – informuje nas prokurator Harasimiuk. Przyznaje jednak, że śledczy zabezpieczyli także odzież zmarłego do dalszych badań.

Wcześniej Karolina Baca-Pogorzelska w publikacji „DGP” ujawniła, że pętla liny, na której powieszony był głogowski radny, była podwójnie zaczepiona, co sprawiło wrażenie profesjonalnej roboty. Także została przekazana do dalszych badań.

W Głogowie pojawiła się plotka, jakoby widziano radnego kupującego whisky. Udało nam się potwierdzić, że rzeczywiście w samochodzie Chruszcza znaleziono częściowo opróżnioną butelkę kolorowego trunku. Jego znajomi i rodzina twierdzą, że stronił od alkoholu, a „perfumowanych wódek” w ogóle nie tykał. Tu znów pojawia się więc pytanie o to, czy ktoś towarzyszył Chruszczowi w ostatnich godzinach życia.

Legnicka prokuratura, odpowiadając na pytania „Do Rzeczy”, poinformowała nas, że próbki krwi Pawła Chruszcza na okoliczność ewentualnej obecności substancji toksycznych i uzależniających zostały przesłane do jednego z zakładów medycyny sądowej. Ustaliliśmy jednak, że zrobiono to dopiero 8 czerwca, a więc tydzień po znalezieniu ciała. Zastanawiające jest też to, że kilka godzin po odnalezieniu ciała radnego

mogły mieć wpływ na to tragiczne zdarzenie. Jak już wspominałem, zabezpieczono szereg dowodów „cyfrowych”. Materiały są analizowane – odpowiada prokurator Zbigniew Harasimiuk, szef Prokuratury Okręgowej w Legnicy.

OBRAŻENIA, KREW I BUTELKA

Poszukiwania Pawła Chruszcza rozpoczęto w środę 30 maja, ok. godz. 19, po tym, jak nie odebrał ze szkoły syna.

zmarłego. Podobny problem był z przekazaniem policji e-maili ze skrzynki zmarłego.

Ciało znaleziono dzięki głogowskim kibicom. Do poszukiwań Chruszcza włączyli się – grupą ok. 30 osób – w czwartek rano. Około godz. 13 w Boże Ciało w pobliżu Drogłowic znaleźli go wiszącego na słupie energetycznym.

– Najpierw zobaczyłem jego forda focusa, przy drodze w pobliżu pola. Pomy-



FOT. MICHAŁ WALCZAK/PAP, FACEBOOK

■ jego twitterowe konto zniknęło – a do usunięcia trzeba znać hasło i login.

MALTRETOWANE DZIECI I WYŁUDZENIA

Radny Paweł Chruszcz był popularny wśród wielu mieszkańców Głogowa, ale próbami wyjaśniania pewnych spraw narobił sobie wrogów. Czym się zajmował? Co najmniej trzema sprawami, które mają związek z funkcjonowaniem w Głogowie niepublicznej placówki Zielone Przedszkole należącej do wpływowego biznesmena Jarosława Radko, pozostającego w dobrych kontaktach z SLD-owskim prezydentem Głogowa Rafałem Rokaszewiczem. Na początku marca jedna z matek alarmowała, że w przedszkolu – uczęszczał do niego także Mikołaj, niepełnosprawny syn Chruszcza – mogło dochodzić do znęcania się nad dziećmi.

– Miałam niepokojące sygnały, więc zrobiłam z moim Kubą eksperyment. Dałam mu taśmę i powiedziałam: Pokaż, co z nią w przedszkolu robicie. Zakleił mi usta, przykleił taśmą ręce i nogi do stołu – opowiada „Do Rzeczy” Anna Zdziechowicz. – Paweł zajął się sprawą, bo bał się, że Mikołaj też może być ofiarą przemocy.

Chruszcz zainteresował sprawą dolnośląskie kuratorium oświaty i ministerstwo. W toku śledztwa ustalono, że jedna z opiekunek przywiązywała dzieci do krzesła, kneblowała taśmą, do rąk przywiązywała obciążniki. Z anonimowej ankiety przeprowadzonej przez kuratorium wśród rodziców dzieci – do której wyników dotarliśmy – wynika, że jeszcze co najmniej troje dzieci mogło być maltretowanych w podobny sposób. Przedszkolanka usłyszała już zarzuty prokuratorskie.

Do Chruszcza zgłosiła się także kobieta, była terapeutka pracująca wcześniej w przedszkolu, i poinformowała, że w placówce fałszowano podpisy ekspertów-terapeutów pod orzeczeniami o „potrzebie wczesnego wspomagania rozwoju dziecka”, by pozyskać dodatkowe dotacje – to nawet kilka tysięcy złotych na dziecko. – Pracowałam tam do stycznia 2016 r. jako logopeda – opowiada nam Magdalena Zawko. – Dwa tygodnie po odejściu z pracy życzliwa mi osoba wrzuciła mi do skrzynki protokoły z opiniami, pod którymi widniały rzekomo moje podpisy. Zawiadomiłam prokuraturę.

Sprawę bardzo szybko zamieciono pod dywan, i to w bulwersujący sposób.

„Do Rzeczy” dotarło do materiałów z akt głogowskiej policji. Wynika z nich, że 13 czerwca 2016 r. prowadzący dochodzenie funkcjonariusz wydał decyzję o wystąpieniu o opinię biegłego w sprawie fałszowania podpisu. Jednak nie czekając na nią, osiem dni później – 21 czerwca – umorzył postępowanie. Analiza biegłych, w której stwierdzono, że podpis pani Zawko pod „opinią” nie należy do niej, trafiła do śledczych dopiero w listopadzie 2016 r.

Po interwencjach Chruszcza prokuratura musiała wznowić śledztwo. Od kilku tygodni prowadzone jest ponownie.

– We wtorek o godz. 13 widzieliśmy się z Pawłem, był mocno zdolowany, jakiś przerażony. Nie był to człowiek, który mógłby się sam zabić. Chyba że ktoś groźbami zastraszył go aż do takiego stopnia – zastanawia się Magda Zawko.

KONTROWERSYJNA „PRYWATYZACJA”

To jednak inna sprawa ściągnięta na głowę Pawła Chruszcza prawdziwą burzę. Radny wykrył bowiem, że prezydent Rafael Rokaszewicz sprzedał

Rzeczy” Andrzej Radomski, ekonomista, były skarbnik powiatu głogowskiego.

Wysokość rocznej raty za nieruchomości wynosi 188 tys. zł. A gdy Jarosław Radko nieruchomość od miasta tylko dzierżawił, płacił rocznie więcej – ok. 278 tys. zł.

Z analiz, które przygotowali współpracownicy Chruszcza, wynika, że na całej transakcji miasto może stracić w latach 2017–2021 ok. 453 tys. zł. Sprawą właśnie zajęło się Centralne Biuro Antykorupcyjne.

W minionym tygodniu prezydent Rafael Rokaszewicz podczas sesji rady miasta przekonywał, że cała transakcja była zgodna z prawem. Okazało się jednak, że nabywca wcześniej chciał już budynek kupić, ale za każdym razem okazywał się niewiarygodny finansowo.

W kwietniu podczas sesji rady miejskiej Chruszcz publicznie zadał Rokaszewiczowi pytania o kontrowersyjną transakcję. Jedyną odpowiedzią, jaką dostał, był donos, który prezydent złożył do prokuratury, twierdząc, iż został przez radnego obrażony jako funkcjonariusz publiczny.

TRUJĄCY ARSEN

Chruszcz wszedł też na wojenną ścieżkę z potężnym KGHM. Alarmował, że koncern odpowiada za znaczne przekroczenie norm stężenia toksycznego arsenu w powietrzu w Głogowie, co może być przyczyną chorób noworodków. Miał rację – badania Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska we Wrocławiu potwierdziły, że norma była przekroczona wielokrotnie.

Radnego interesowało też, czy na terenie jednego z nieczynnych już przedsiębiorstw na obrzeżach Wrocławia – dawniej Fabryce Domów – nie urządzono nielegalnego składowiska arsenu przed wywiezieniem go gdzieś dalej. Tej sprawy już wyjaśnić nie zdążył.

W czwartek PAP poinformowała, powołując się na przecieki ze śledztwa, że istnieje nagranie ze sklepu, w którym Chruszcz kupił linę, na jakiej miał się powiesić.

Znajomi i współpracownicy radnego uważają, że jeśli targnął się na własne życie, to tylko dlatego, że został do tego zmuszony. Ich zdaniem w sprawie dzieją się dziwne rzeczy. W środę z telefonu Bartłomieja Szwieca zniknęły esemesy i mapki, które przed śmiercią wysłał mu Chruszcz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Znajomi i współpracownicy radnego uważają, że jeśli targnął się na własne życie, to tylko dlatego, że został do tego zmuszony

Zielone Przedszkole biznesmenowi za ok. 940 tys. zł bez przetargu, wyłącznie za kwotę operatu szacunkowego, do którego przygotowania – jak wynika z dokumentów, do których dotarło „Do Rzeczy” – wzięto m.in. wartości porównawcze nieruchomości, wśród których znalazły się rozsypujące się budynki przy ul. Portowej w Głogowie. Analizy, które zlecił Chruszcz, wykazały, że za nieruchomość można było uzyskać nawet 2,8 mln zł.

– Przedszkole sprzedano w mojej ocenie, a miałem możliwość przeanalizowania umowy sprzedaży, poniżej jego wartości, w systemie pięciu rocznych rat, stosując przy tym niskie oprocentowanie [1,75 proc. – przyp. red.], które powodowało, że w efekcie miasto w tej całej transakcji ponosiło straty – mówi „Do

Zmieniamy się dla Państwa



Niedziela w samo
południe

POLITYCZNA
kawa

Niedziela 12:00

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 0150452470

Najpierw myślano, że to kolejna wpadka Rafała Trzaskowskiego – z cyklu „nie znam warszawskich dzielnic” czy „po co nam lotnisko, kiedy jest w Berlinie”, tylko znacznie poważniejsza. Potem się okazało, że narracja o unijnych miliardach, które dzięki staraniom PO zostały zamrożone w unijnym budżecie i Polska je dostanie dopiero, gdy Platforma odzyska władzę, to oficjalna opowieść totalnej opozycji na nadchodzące wybory. Oczywiście, ściga ona

W cieniu Europy



Rafał A. Ziemkiewicz

Opowieść PO o wielkiej unijnej kasie, która po ich wyborczej wygranej zostanie odmrożona i spłynie do nas, jest zwyczajnie głupia

na PO kolejne oskarżenia o zdradę stanu, bo narracja, która według samej Platformy głosi: „uprosiliśmy Unię, żeby tej kasy Polsce nie zabierała definitywnie”, w wersji PiS brzmi: „uprosili, żeby tej kasy Polsce nie wypłacać, dopóki nie rządzą”. Takie oskarżenia szkodzą PO w podobnym stopniu, w jakim PiS oskarżenia o „przywracanie średniowiecza”. I nie w zdradzie rzecz, tylko w tym, że historia o zamrożonych funduszach jest kompletną bzdurą.

Mówiąc najkrócej, gdyby ktoś pytał, gdzie są te zamrożone miliardy, powiem: tam, gdzie mieszka ten inwestor z Kataru, co kupił polskie stocznice. Nie ma narzędzi prawnych, które by pozwalały „mrozić” unijne fundusze, poza jasno ustalonymi i takimi samymi dla wszystkich, nazwijmy to, warunkami technicznymi ich wykorzystania. Można oczywiście kombinować i być stronnikiem w ocenie spełnienia tych warunków, ale to co innego. Owszem, w ramach ogólnego rozpychania się i kreowania na europejski superrząd Komisja Europejska zaproponowała, żeby przyznano jej prawo wstrzymywania transferu pieniędzy, jeśli dostrzeże

gdzieś „naruszenia praworządności” – ale doprawdy trudno sobie wyobrazić, by którekolwiek z unijnych państw było gotowe dać komisarzom do ręki tak potężne kompetencje jak możliwości uznaniowego blokowania wspólnej kasy. Tym bardziej że w maju przyszłego roku polityczny triumwirat socjaldemokratów, chadeków i liberałów (to tylko takie nazwy – wszyscy tak samo siedzą w kieszeni wielkich korporacji, nie umieją się przeżegnać i są zakutymi etatystami), dotąd rządzący Unią niepodzielnie, poddany zostanie potężnemu ciśnieniu, kto wie, czy nie wyleci w powietrze i w nowej Komisji Europejskiej nie znajdą się ludzie dla niego groźni.

Zresztą, tak czy owak, nie dotyczy to tego, co zostało obcięte w ramach ogólnej redukcji eurobudżetu i zmiany priorytetów. Tego nie ma i nie będzie, obiecywanie, że po zmianie władzy jednak się znajdzie, jest wyłącznie pomysłem PO na kampanię – starym zresztą jak od pewnego czasu wszystkie jej pomysły. Narracja „jak będziemy rządzić my, to załatwimy kasę z Unii, a jak PiS, to nam utną” wygrała przecież dla Tuska wybory parlamentarne w 2011 r. To były jed-

nak nieco inne czasy. Przede wszystkim ludzie żyli w lęku – niewypowiadany na głos, bo nie wypada się przyznawać, ale mający na ich zachowania przemożny wpływ. Lęku będącym recydywą wszczepionego za PRL strachu przed „ruskimi”, uruchomioną skojarzeniami słowa „Smoleńsk”. Polacy naprawdę bali się, że Kaczyński będzie drażył przyczyny śmierci brata i że okaże się... No, wiadomo, co się mogło okazać, przecież nawet Tusk i jego ministrowie co i raz przejęzyczali się i mówili „zamach”. Głosowanie na PO wynikało więc nie tylko z oskomy na unijną kasę, lecz także z obawy, że Kaczyński „wypowie ruskim wojnę”. Obawy, która dzisiaj po dwóch latach rządów PiS i po kolejnych rocznicowych sensacjach Macierewicza praktycznie już nie istnieje.

Zmieniło się też postrzeganie samej Unii. Siedem lat temu dla przeciętnego Polaka była ona tylko rogiem obfitości. Dzisiaj jest groźna, pełna imigrantów i wpycha nam tych imigrantów na siłę,

robi różne głupoty, wmusza polityczną poprawność... Strategia „totalnych”, zafiksowana na eksponowaniu dobrych stosunków z Unią i oskarżaniu PiS o złe stosunki, nie uwzględniła tej zmiany. Dlatego działa tylko na elity III RP, na które, prawdę mówiąc, nie ma po co działać, bo one i tak z powodów plemiennych będą głosować na PO, póki pozostanie ona największym antypisem, choćby przewodniczącym partii został Giertych, a w oficjalnym programie znalazło się wszystko to, co wprawia „psycholożki, socjolożki, filozofki” i inne „goście” radia TOK FM w codzienne spazmy obrzydzenia i nienawiści.

@

Kogoś mogłoby zdziwić, dlaczego tematem wyborów samorządowych czyni PO Unię Europejską. Tym bardziej że elementarne zasady politycznego marketingu każą odwracać narrację przeciwnika, przeciwdziałać narzucanym przez niego podziałom i kreować własne – a kreowanie się przez PO na partię lepiej widzianą za granicą jest doskonale zgodne z narracją PiS o „partii zewnętrznej”. Oczywiście partia Schetyny próbuje odmiennie ustawić akcenty – PiS przedstawia ją jako delegatów Unii na Polskę, ona siebie samą jako siłę, która zabiega w Unii o kasę. To jednak dla ludzi mało zauważalny szczegół.

Nie dopatrujemy się w tym wszystkim jakiejś przemyślanej strategii. To instynkt. Przez dwa lata tkwienia w opozycji totalnej PO dała się ociosać do roli reprezentanta elit III RP, w których kompleks niższości wobec Zachodu, Europy, jest tak mocny, że śmiało można go uznać za jedną z podstaw ich tożsamości. Dokładnie tak, jak mówił o tym Jerzy Stuhr: że całe życie marzył o tym, żeby go ci z Zachodu uznawali za równego sobie, a teraz się musi wstydzić, bo Polska jest rządzona przez takich ludzi, którzy tę oczywistą lepszość Zachodu kwestionują i wcale się o uznanie za równych nie ubiegają. To poczucie niższości i chęć naśladowania metropolii jest bardzo kompatybilne z charakterystycznym odruchem elit postkolonialnych modernizowania przez naśladownictwo. Stąd na marszach opozycji flagi unijne występują liczniej od biało-czerwonych i stąd właśnie odruch dryfowania ku tematyce europejskiej.

Traktowanej zresztą szalenie płytko, i to jest bodaj największa słabość rodzi-

mych euroentuzjastów. Wizja Unii, jaka wyłania się z ich wypowiedzi i działań, poraża naiwnością. Unia to po prostu takie miejsce, w którym wszystko wiedzą najlepiej i wszystko robią najlepiej. Nawet jeśli dziś mówią coś zupełnie przeciwnego niż dwa lata temu; gorzej jeszcze – nawet gdy mówią dziś to, co dwa lata temu mówili Kaczyński i Orbán, a przywódcy Europy, przy zajądłym aplauzie PO, gromko potępiali. A tak przecież jest z imigrantami.

Opowieści PO o wielkiej kasie, która zostanie odmrożona i spłynie z unijnych lodowców kaskadą, gdy tylko Schetyna ze swymi ludźmi odzyska władzę i „przywróci praworządność”, jest więc zwyczajnie głupia. Nawet dziecko wie, że pieniędzy nie daje się na piękne oczy – abstrahując już od tego, czy Schetyna



FOT. FOTOLIA

albo Trzaskowski takowe posiadają. Coraz większa część Polaków rozumie, że Unia to gra interesów, to spory, to rozmaite wzajemne przysługi. PiS tego nie tłumaczy, przedstawiając ją jako siłę jednolicie ciemną – ale PO też niczego tłumaczyć nawet nie próbuje, malując Wspólnotę na różowo i wmawiając, że jak dobra ciocia marzy o obsypywaniu

nas prezentami, tylko PiS niepotrzebnie nas z nią skłóca.

@

Tymczasem jakakolwiek Unia jest, trzeszczy w szwach i nie widać, by ktokolwiek w Polsce o tym myślał. Wojna celna z Ameryką stała się faktem, wojna celna z Chinami wisi na włosku. Chcemy czy nie, bierzemy w nich udział, choć sami cel ustalać nie możemy. Czy ktoś się jednak zastanowił, czego potrzebujemy, czego powinniśmy się w ramach Unii domagać? Bo skończy się to tak, że uchwalając retorsje i ochronę europejskiego rynku, uchwali je Unia tak, aby chroniły najsilniejsze europejskie gospodarki. Nawet nie z imperialnych zapędów, do których skądinąd ma skłonności, tylko po prostu dlatego, że te słabsze nie określiły swoich oczekiwań i potrzeb.

Przerażająca jest naprawdę beczyność Polaków w takich sprawach jak nowe przepisy dotyczące Internetu. To potencjalnie znacznie ważniejsza sprawa niż dopłaty rolnicze. Jednak lobby rolnicze w Polsce istnieje i o dopłatach się mówi – też zresztą głupio, nie dostrzegając, że przyjęty w Unii kurs na stopniowe zmniejszanie dopłat, by przerzucać pieniądze na innowacyjność, może być właśnie dla naszych rolników, jako mniej od tych dopłat uzależnionych, wielką szansą – że zamiast głupio się przy nich upierać, należy podchwycić trend i zadać raczej w ramach rekompensaty zwiększenia konkurencyjności na wewnętrznym europejskim rynku.

Natomiast Internet, mam wrażenie, to w oczach rządzących wciąż taki rodzaj gorszej i głupszej telewizji, w której małolactwo ogląda sobie przy piwku pornosy i plotkuje się na nieistotne tematy.

Słyszałem ostatnio od osoby, której nie mam powodu nie ufać, że ważny polityk PiS oznajmił jej, iż cały ten Internet nie ma politycznego znaczenia, bo nastroje społeczne kreuje telewizja, i to telewizja jest w partyjnej strategii najważniejsza...

Ciekawe, bo gdyby naprawdę tak było, PiS za nic by do władzy nie doszedł. Jednak, niestety, jakoś tak jest, że politycy po dojściu do władzy nie nabierają rozumu, tylko wręcz przeciwnie. Nie raz już to widziałem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz P. Terlikowski

Kościół w Polsce właśnie wszedł na drogę głębokiej zmiany. Jeśli będzie postępować tak dalej, to doprowadzi do głębokiej decentralizacji, a kto wie, czy nie do rozbicia dotychczasowej jedności. I aż zaskakuje, że nawet biskupi zdają się nie mieć tego świadomości

Na ten dokument nie tylko w Polsce, lecz także w wielu miejscach na świecie czekano bardzo długo. Biskupi z kraju, który wydał św. Jana Pawła II i którego hierarchowie podczas dwóch rzymskich synodów z pasją bronili nierozzerwalności małżeństwa oraz dotychczasowego nauczania Kościoła, a później zapowiedzieli oficjalnie, że nie odejdą nawet na krok od linii „Familiaris consortio”, mieli dać nową siłę tym katolikom na świecie, którzy próbują zachować dotychczasowe nauczanie w kwestii Komunii Świętej dla rozwodników w nowych związkach. Tak się jednak nie stało. Dokument polskich biskupów bowiem, choć nie jest liberalny i nie wprowadza żadnych zmian, w ogóle nie zajmuje się kwestią, która dzieli katolików na świecie i sprawia, że poszczególne konferencje episkopatów (a niekiedy wręcz poszczególne diecezje) zajmują sprzeczne ze sobą stanowiska i wchodzą w ostry nieraz spór.

Oczywiście w „Wytycznych pastoralnych do adhortacji »Amoris laetitia«” znajdziemy sformułowania dotyczące osób rozwiedzionych w nowych związkach, a także wezwania do rozeznawania ich sytuacji, ale w niczym nie zmienia to faktu, że nie wiadomo, czy Episkopat Polski zakłada, że Komunia Święta (w wyjątkowych, radykalnych, rzadkich, a może zupełnie standardowych sytuacjach) może im być udzielona czy nie. Nie wiadomo, jakie rady mają polscy biskupi dla duchownych, którzy stykają się już w konfesjonalach z pytaniem wiernych wracających z Niemiec, czy tu także mogą przystępować do Eucharystii. Problemu nie ma, nikt go nie rozeznaje, udajemy, że nas on nie dotyczy, bo my przecież zachowujemy hermeneutykę ciągłości, która zwalnia nas z uczest-



Zdecentralizować Kościół w Polsce?

nictwa w dyskusji czy wydania jasnych wskazówek.

BRAK JEDNOŚCI

Nie, nie wynika to z braku świadomości tego problemu. Wystarczy porozmawiać z hierarchami, żeby wiedzieć, że są oni świadomi tego, co się dzieje w Kościele w Polsce i na świecie. Kilkanaście dni temu rozmawiałem prywatnie z pewnym polskim hierarchą i opowiadałem o objawieniach w Akita, gdzie Matka Boża zapowiadała, że przyjdzie taki czas w Kościele, gdy biskup wystąpi przeciwko biskupowi, kardynał przeciw kardynałowi, a prawdziwa wiara będzie prześladowana. – To mamy to teraz – smutno uśmiechnął się biskup. Jeśli więc nie ma stanowiska, to powód jest prosty: biskupi nie byli go w stanie wypracować, nie ma wśród nich już jedności w kwestii Komunii Świętej dla rozwodników.

Doskonale ukazuje to zresztą historia powstawania dokumentu, o którym mowa. Początkowo biskupi przygotowali bardzo jednoznaczny dokument, w którym odwoływano się do „Familiaris consortio” św. Jana Pawła II, analizowano warunki, pod którymi osoby rozwiedzione w nowych związkach mogą przystąpić do Eucharystii (wstrzeźliwość seksualna w nowym związku, którego z powodu jakichś innych dóbr nie można przerwać), a także zapewniano o wierności św. Janowi Pawłowi II. Treść tego dokumentu przeciekała nawet do włoskich mediów i wywołała entuzjazm tradycyjnie nastawionych wiernych oraz duchownych. Trwał on jednak krótko, ponieważ kilkanaście godzin po przecieku rzecznik prasowy Konferencji Episkopatu Polski odciął się od dokumentu, a nieoficjalnie wiadomo, że stało się to na wyraźne polecenie nuncjusza, który miał – to wszystko wiadomo jedynie nieoficjalnie – zasugerować, że taki dokument byłby



o wielkim szacunku dla „Amoris laetitia” i wierności nowej linii. I dopiero ten dokument znalazł wsparcie wystarczającej większości episkopatu i akceptację nuncjusza apostolskiego.

UCIECZKA DO PRZODU I POCZĄTEK ZMIANY

Można oczywiście powiedzieć, że w pewnym sensie decyzja taka jest wyrazem mądrości i próby przeczekania tego, co się dzieje na Zachodzie (ale też na Filipinach czy w krajach latynoskich) wokół nauczania o małżeństwie i rodzinie. Amerykańscy biskupi zrobili coś podobnego i nie mogąc ustalić wspólnego stanowiska (a tam podziały są o wiele głębsze, a przede wszystkim jawne), oznajmili, że „Amoris laetitia” jest tak głęboka, że oni potrzebują jeszcze więcej czasu na jej zrozumienie i proszą o kolejne lata na studium oraz analizę adhortacji. Co to oznacza? W największym stopniu to samo, co nasz dokument, czyli sugestia, że my to jednak poczekamy, bo nie chcemy wchodzić w polemikę z obecnie obowiązującą linią, ale też nie bardzo wierzymy, by ona przetrwała. Jest jednak jedna różnica. Otóż tak się składa, że wypowiedzi amerykańskich biskupów nie zawierają w sobie jednego elementu, doktrynalnej zgody na to, by decentralizacja obejmowała już nie tylko konferencje episkopatu, lecz także diecezje. Polski dokument zaś już go w sobie ma.

Nie, nie jest to sformułowane wprost, ale gdy biskupi odnoszą się do sytuacji osób rozwiedzionych w nowych związkach, wprost wskazują, że „instrukcje wykonawcze” do „Wytycznych pastoralnych do adhortacji »Amoris Laetitia«” powinny zostać opracowane na poziomie diecezji czy metropolii, ale nie całej Polski. Oczywiście może być tak, że będą one wspólne dla wszystkich, że nagle podział, który widać było podczas dwóch lat debaty nad „Amoris laetitia”, zniknie i wszyscy się zgodzą co do wspólnych wskazówek, ale... wcale tak być nie musi. Już teraz między trzema autorami poszczególnych wersji dokumentu dostrzegalne były poważne różnice, nie widać więc powodu, by miały one zniknąć. A jest to tym bardziej prawdopodobne, że powoli odchodzi z aktywnego życia kościelnego pokolenie biskupów bardziej tradycyjnie nastawionych. Arcybiskup Henryk Hoser już jest na emeryturze, a jego skierowanie do pracy wokół Medjugorje odsuwa go od spraw polskich,

bp Ignacy Dec na emeryturę przejdzie w przyszłym roku, podobnie jak metropolita gdański Sławoj Leszek Głódź. Nie musi to wcale oznaczać, że nowi biskupi będą bardziej liberalni, ale... biorąc pod uwagę linię tego pontyfikatu, może tak się stać. Może być też tak, co jeszcze bardziej prawdopodobne, że dla nowych nominatów, których często powołuje się z klucza duszpasterskiego, dylematy moralne czy doktrynalne w ogóle nie będą problemem, ponieważ będą oni skupieni na... duszpasterstwie, ewangelizacji, którą oddzielił – zgodnie z duchem papieża Franciszka – od kwestii doktrynalnych.

DOKTRYNA NA POZIOMIE DIECEZJI

Efektom może być sytuacja, znana z Włoch czy ze Stanów Zjednoczonych, gdzie w jednej diecezji czy metropolii rozwodnicy w ponownych związkach zostaną dopuszczeni do Eucharystii, a w innej nie. Niemożliwe? Jeśli niemożliwe to jest we Włoszech, to dlaczego miałyby nie być możliwe w Polsce? Dokument Episkopatu, choć nie wprost, dopuszcza taką sytuację, a kolejne nominacje biskupie czy wyraźnie widoczna rezerwa papieskich współpracowników wobec Kościoła w Polsce mogą przyspieszać ten proces.

Co istotne, nie jest on, i to także już widać, ograniczony tylko do kwestii związanych z recepcją „Amoris laetitia”, lecz także do coraz mocniej rozpalającej wiernych i duchownych kwestii ruchu charyzmatycznego, nurtu uzdrowieniowego w Kościele w Polsce. On także zostaje powoli (co akurat naturalne) zepchnięty do poziomu diecezji i w efekcie jedne diecezje stają się coraz bardziej charyzmatyczne, a w innych (choćby w archidiecezji katowickiej) możliwości tego nurtu stale się kurczą. W jednych miejscach biskupi bronią charyzmatyków jak niepodległości, a w innych odmawiają im możliwości głoszenia. Jeszcze gdzie indziej zaś, niczego nie zakazując, wprowadzają tyle ograniczeń, że zaproszenie kapłana czy świeckiego kaznodziei staje się niemal niemożliwe. I ten proces też zdaje się nabierać tempa.

Wiele wskazuje więc na to, że za kilka lat, gdy nastąpi wymiana pokoleniowa w polskim Kościele, będzie on o wiele bardziej podzielony oraz zdecentralizowany, i że po wielu latach ukrywania podziałów staną się one o wiele bardziej jawne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

aktem niechęci do nauczania Franciszka. Pierwsza wersja, wtedy już niekoniecznie wspierana przez wszystkich, przepadła więc bez wieści.

Autor dokumentu próbował go jeszcze ratować, ale... nie udało się, a zatem powołano innego biskupa, który zajął się przygotowaniem nowej wersji. W niej znalazły się zaś liberalne pomysły. Nie, nie te najbardziej liberalne, choćby z Niemiec, ale jednak dopuszczające – pod pewnymi niejasno sformułowanymi warunkami – osoby rozwiedzione w nowych związkach do Eucharystii. Biskupi szeroko konsultowali ten projekt, ale... choć nie brakowało hierarchów, którzy zaczęli go wspierać, to nigdy nie znalazł on wystarczającego wsparcia, a dla części – nie tylko starszych biskupów – był on aktem zdrady. Ostatecznie więc dokument napisał jeszcze kto inny, starannie omijając niewygodne tematy, a jedynie składając zapewnienie



Radosław Wojtas

Jeszcze zanim kadra Nawałki wybiegła na rosyjskie boiska, atmosfera euforii stwarzana w Polsce przez kibiców stała się dla niektórych trudna do wytrzymania

Gdy większość polskich kibiców po samobójczej bramce Thiago Cionka łapała się za głowy, zaczął się realizować scenariusz, na który nad Wisłą niektórzy jednak liczyli. Scenariusz doskonale w ostatnich dekadach znany kibicom polskiej reprezentacji: mecz otwarcia, mecz o wszystko, mecz o honor. A potem pakowanie walizek, powrót do kraju, kwaśne miny piłkarzy i śpiew najwierniejszych kibiców, że nic się nie stało.

Dobra gra na ostatnich mistrzostwach Europy, bramkostrzelność Lewandowskiego, dyspozycja Pazdana dawały nadzieję, że tym razem może być inaczej. Scenariusz, w którym Polska dochodzi do finału i go wygrywa (choć mało realny), jawił się niektórym jako najgorszy koszmar. Wśród nich prym wiodła Krystyna Janda. Aktorka tak często ostatnio powtarzająca, że źle się czuje w Polsce, do listy osób, zachowań i zdarzeń przeskakujących jej w kraju dorzuciła kibiców. A konkretnie ich euforię.

PRZEGRAJMY MUNDIAL I RATUJMY DELFINY

„Mówię o polskich kibicach, którzy przy byle sukcesie dostają jakiegoś irracjonalnego obłądu i manii wielkości, ja tego nie mogę słuchać” – powiedziała Krystyna Janda w „Drugim śniadaniu mistrzów” na antenie TVN24. Atmosfera w kraju była dla aktorki trudna do zniesienia jeszcze przed pierwszym meczem Biało-Czerwonych na mundialu, ale nie tak straszna, jak mogłaby być, gdyby Polacy okazali się czarnym koniem turnieju. „W skrócie nazywam to: zwycięstwo jest dla mądrych. Myślę, że gdybyśmy zwyciężyli, to nie dałoby się wytrzymać już dalej w tej euforii zwycięstwa” – stwierdziła Janda.

Socjolog dr Tomasz Herudziński za- uważa, że trudno czynić zarzuty kibicom za emocjonalne zachowania, bo emocje są esencją futbolu. – Byłoby rzeczą dziw-



na, gdyby kibice siedzieli i bez emocji oglądali spektakl piłkarski. Zjawisko kibicowania związane jest z poczuciem przynależności do określonej wspólnoty i chęcią jej manifestowania. W przypadku meczów reprezentacji Polski odnosimy się do wspólnoty narodowej. Demonstrujemy symbole i wartości, które cechują Polaków, jednocześnie odróżniając ich od innych, co jest podstawą tożsamości narodowej – mówi „Do Rzeczy” dr Herudziński.

Skąd niechęć do kibiców i reprezentacji własnego kraju? – Być może jest to niechęć tylko do danej dyscypliny sportu i grupy kibiców, ale jeżeli pokusilibyśmy się o nieco głębszą interpretację, to można traktować ją jako uogólnioną niechęć do wspólnoty narodowej, wartości i symboli, które ta grupa uważa za ważne – wyjaśnia socjolog SGGW w Warszawie.

Zdecydowanie Krystynie Jandzie odpowiedział Jan Tomaszewski na antenie TVP Info. „To, że nasza drużyna, moi młodszy koledzy, zakwalifikowali się na mistrzostwa świata, to jest już ogromna promocja kraju” – mówił i dodawał, że kibice z państw, które na mundial nie

pojechali, zazdroszczą nam udziału w mistrzostwach. A także radził: „Każdy Polak powinien być z tego dumny. Jeśli nie, może się nie podoba, żyjemy w demokratycznym kraju, można wyjechać, gdzie się chce”.

Aktorka już raz uciekała z kraju. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” mówiła, że pewnego dnia zauważyła, że żyje wśród „dziwnych Polaków”, a sądziła, że ludzie „tak myślący” stanowią wyłącznie margines. I kiedy zauważyła, że jest ich jednak dość sporo, zawiodła się „tym zakleszczeniem, tą sytuacją polityczną, medialną, tą ziejącą nienawiścią, bezradnością. Tymi rządzącymi nami ciemniakami, bezradnością, upokorzeniem, [...] że aż uciekałam na Madagaskar” – mówiła „GW” Janda. A wcześniej, recytując w radiu wiersz Jarosława Marka Rymkiewicza, stwierdziła: „Ja się czuję, jakby ktoś na mnie srał po prostu cały czas. To jest coś okropnego”.

W rozmowie o futbolu w TVN-owskim studiu Janda dostrzegła jeszcze jedno zagrożenie niesione przez sport, który odwraca uwagę Polaków od rzeczy naprawdę istotnych: „Jak jadę pociągami



nów młodych fanów, dla których nasi piłkarze to prawdziwi bohaterowie i wzór do naśladowania!? – pyta oburzona Rusin na Facebooku. Jak można się relaksować w delfinariu, wiedząc to, co cywilizowany świat wie już od dawna!? Delfinaria to miejsce powolnej śmierci, w strasznych cierpieniach, jednych z najpiękniejszych, najdelikatniejszych i najrozumniejszych ssaków na Ziemi! – uzasadnia.

FAJNI WSPIERAJĄ NIEMCÓW

W Polsce niechęć do reprezentacji staje się dla niektórych manifestem politycznym. – Zakładając, że jednym z kluczowych sposobów definiowania narodu jest określenie go jako wspólnoty politycznej, to osoba nieakceptująca aktualnego rządu i jego polityki może czuć niechęć do tak rozumianego narodu. Ma to miejsce w sytuacji, gdy ktoś marginalizuje wymiar społeczny i kulturowy tej wspólnoty – wyjaśnia dr Tomasz Herudziński.

„Komu kibicować, gdy w Polsce łama-na jest konstytucja?” – stawia pytanie w tytule, a w treści artykułu udziela odpowiedzi antypisowski serwis OKO.press. I zaznacza, że oczywiście mimo sytuacji politycznej można trzymać kciuki za Białą-Czerwoną, ale to trochę obciach. „Zaciskać zęby i włączać TVP. Wywiesić na balkonie flagę Polski, dodać obok flagę UE (po namyśle). Patrzeć na uśmiechniętą twarz Andrzeja Dudy, pić tyskie [...] Oglądać mecz z prawicowym wujkiem i po bramce dla Polski całować jego piwne wąsy. Wstydzisz się. Pić tyskie”.

Za to kibicować naszym zachodnim sąsiadom to według OKO.press „Kochać praworządność, bronić państwa prawa. Zapomnieć o Holocauście. [...] Pić pszeniczne paulanery. Krytykować 500 plus (rozdawnictwo! za moje podatki!), mieć przypinkę z Tuskiem, nie myśleć o zaborach, uwielbiać Wrocław (nasz Berlin!). Lubić sprzątać, segregować śmieci. Robić grilla”.

Czy polscy kibice rzeczywiście są jacyś inni? Przemysław Babiarczyk, dziennikarz i komentator sportowy, zaznacza, że oczywiście występują różnice kulturowe, ale nie wyróżniamy się jakoś szczególnie na tle innych narodowości. – Kibice mają różne style, ale nasi na pewno nie są bardziej fanatyczni od kibiców angielskich, włoskich, niemieckich, serbskich czy amerykańskich. Podczas występów reprezentacji w pewnym sensie wszyscy jesteśmy kibicami, więc jak mówimy o ki-

bicach, to mówimy generalnie o wszystkich Polakach – mówi „Do Rzeczy” Przemysław Babiarczyk.

PRZEZ KIBICÓW ZIEMIA DRŻY

A czy przesadzamy z emocjami? I tak daleko nam do Meksykanów. Ci to dopiero potrafią się cieszyć! Jak donoszą meksykańskie media, kiedy w pierwszym meczu ich reprezentacji na rosyjskim mundialu Hirving Lozano strzelił bramkę i dał prowadzenie z Niemcami, w stolicy Meksyku sejsmografy oszalały. Wskazały lekkie, lokalne trzęsienie ziemi. Jak zakładają sejsmologowie, prawdopodobnie spowodowane przez tłumy skaczących z radości kibiców.

I trudno się dziwić, wszak Meksyk wyszedł na prowadzenie i ostatecznie wygrał spotkanie z obecnymi mistrzami świata. Swoich kibiców ma też jednak np. reprezentacja San Marino, która nigdy nie wygrała żadnego meczu w eliminacjach do mundialu czy Euro. Wielkie wsparcie swoim reprezentantom okazują też Islandczycy. Ich selekcjoner jeszcze do niedawna prowadził gabinet stomatologiczny, bramkarz (obronił na tym mundialu karnego strzelanego przez Messiego, za co rodacy chcą stawiać mu pomnik) był reżyserem filmowym, a jeden z piłkarzy szczerze przyznał, że w mistrzostwach świata co prawda gra, ale meczów nie ogląda, bo... nie interesuje się piłką nożną. Nie przeszkadza to jednak Islandczykom cieszyć się z każdego sukcesu. Na ostatnie Euro kibicować wyjechało ok. 10 proc. ludności liczonego nieco ponad 300 tys. mieszkańców kraju. Gdyby chcieć zachować proporcje – z Polski musiałoby wyjechać na turniej grubo ponad 3 mln kibiców!

A fani Senegalu, z którym przegraliśmy mecz otwarcia? Tam to jest dopiero euforia! Jeszcze przed spotkaniem z Polakami reporter TVN24 z trudem przeprowadzał relację z Senegalu, bo kibice tak skakali, cieszyli się, krzyczeli i szarpali dziennikarza, że na oczach, zapewne zdziwionych, widzów TVN24 jeden z Senegalczyków zaczął ich przeganiać sprzed kamery... okładając po plecach kijem.

– Mówi się, że sport to jest taka bezkrwawa wojna, taka rywalizacja między państwami, w której trup się nie ściele gęsto, chociaż kości trzeszczą. Mamy prawo cieszyć się ze zwycięstw, smuć się z porażek, a póki to robimy, jesteśmy żywi wewnątrz – mówi Przemysław Babiarczyk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

i widzę, jak wsiada ktoś, otwiera gazetę i wyrzuca strony z kulturą od razu do kosza, a tych stron o sporcie jest tak dużo...”. Uczestniczący w rozmowie reżyser teatralny Michał Zadara zwraca uwagę na inny grzech piłkarskich rozgrywek, w dodatku beczelnie wyeksponowany w haśle PZPN „Łączy nas piłka”. „Czy łączenie Polaków jest w ogóle dobre? Na przykład kiedyś była taka recenzja – kiedy płyta o powstaniu warszawskim Lao Che się pojawiła – i że super koncert Lao Che, bo punkowcy i skini razem skandowali hasła. Dla mnie to jest przerażające. Punkowcy i skini się powinni tłuc. [...] Moim zdaniem zgoda jest niedobra”. A tak poza tym to całe te mistrzostwa i piłka nożna w ogóle to zdaniem reżysera zadziwiająca rozrywka. „Siedzą biedni ludzie i oglądają 22 milionerów, jak sobie grają. To jest bardzo dziwne” – ocenił, choć dodał, że filmy z udziałem hollywoodzkich aktorów, również milionerów, ogląda, ale to co innego.

„Polskim milionerem” reprezentującym nas na mundialu dostało się też od Kingi Rusin, bo w Rosji wybrali się do delfinariu. „Jaki to przykład dla milio-



Ze Sławomirem Zapalą,
aktorem, piosenkarzem
rozmawia Łukasz Zboralski



Cenie normalnych ludzi

Sławomir Zapalą i jego żona Magdalena „Kajra”
Kajrowicz-Zapalą FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

ŁUKASZ ZBORALSKI: Koncerty zabukowane do końca roku, rzesze fanów, miliony oglądających na YouTube – spodziewał się pan takiego sukcesu?

SŁAWOMIR ZAPALĄ: Cześć, tu Sławomir. Tak.

A jak właściwie powstał pomysł na gwiazdę rock polo? To zaczęło się od klipu na YouTube? I kiedy okazało się, że to jest coś, co warto kontynuować – gdy zauważyła pana telewizja czy wcześniej?

Muzyka była ze mną od zawsze. Piosenki pisałem już podczas studiów

w PWST, ale to dopiero projekt Sławomir dał mi szansę dotrzeć z nimi do słuchaczy. Pierwszym singlem na rynek ojczyzny była „Megiera” i to ona otworzyła nam wszystkie wrota. Gdyby ta piosenka nie cieszyła się taką popularnością na YouTube zaraz po premierze, to pewnie byśmy nie nakręcili pierwszego teledysku z gwiazdami. Taki był początek.

Idę o zakład, że część ludzi nie czuje, że to trochę kreacja, i biorą pana za najprawdziwszego Sławomira jeżdżącego golfem III. Jest w tym trochę

oszustwa, ale takiego dobrego, bo przecież bawi pan tym ludźmi, daje im radość...

Nasi fani są bardzo inteligentni i sami chcą się bawić w Sławomira. Pamiętam taką fotę z Grzegorzem Markowskim, którą mi skomentowali: „Co to za gość obok Sławomira?”. Często mnie podpuszczają, tworzą memy, promują nas w Azji. Robią to sami z siebie. Pamiętam taki filmik z pewnego liceum, gdzie dyrektor przebrał się za Sławomira i śpiewał przed wszystkimi. To magia rock polo i ona nas niesie.

Operuje pan stereotypami – chłopak z wąsem ze wsi, trochę blisko disco polo, stary golf. Ale wydaje mi się, że nie ma w tym kpiny ze zwykłych ludzi. Raczej pokazuje pan, że można być tym, kim się chce, i że to nie jest obciach...

Wiesz, to jest samochód, którym cały czas jeżdżę. Na ulicach Warszawy zawsze to wzbudza uśmiech u ludzi. To jest dowód na to, że nawet ze skromnej rzeczy, którą mamy, przy użyciu wyobraźni możemy uczynić coś kultowego. Ja znam i lubię proste życie. Cenię normalnych ludzi. To od nich dostałem wsparcie, nie od wielkich wytwórni.

A panu osobiście to są jakoś bliskie klimaty? Pochodzi pan z niewielkiej wsi Konina koło Rabki. Tam wciąż ludzie jeżdżą golfami III?

U nas w Koninie ludzie jeżdżą takimi samochodami, o których w Warszawie mogą pomarzyć. Króluje oczywiście niemiecka motoryzacja, ale ferrari też widuję. Są również samochody użytkowe. Bardzo się cieszę, kiedy widzę piękne, zadbane domy i porządne maszyny. Górale są bardzo pracowici, to i mają. Trzeba odróżnić ubóstwo od działości.

Używa pan także w piosenkach pewnych kalek – na przykład żona ruszająca samochodem z trzeciego biegu – które do tej pory były uznawane co najmniej za niepoprawne politycznie. Bo nie można przecież tak otwarcie mówić, że kobiety częściej niż mężczyźni mają kłopot z prowadzeniem samochodu. Okropny seksizm!

To nie jest kalka, tylko fakt – przynajmniej u mnie. Żona rusza z trójki, tylko i ja i silnik diesla jej to wybaczą. Kto ci powiedział, że czegoś nie można mówić? Każda królowa powinna mieć swojego szofera. Znałem dwie dobrze jeżdżące kobiety. Jedna to była dziewczyna Roberta Kubicy, a druga to pani z taxi, która wiozła nas na lotnisko, jak lecieliśmy na koncerty w USA. Mężczyzna jest z natury związany z maszynami mechanicznymi, olejami i smarami. Lepiej koncentruje się na jednej rzeczy. Kobiety są doskonalsze. Pan Bóg stworzył mężczyznę jako prototyp. Kobieta to dzieło sztuki. A dzieło sztuki powinno pachnieć, błyszczeć i zachwycać, a nie martwić się, kto ma pierwszeństwo na podporządkowanej.

Postać Sławomira, który wrócił z USA do kraju, to też pewien głęboko zakorzeniony w nas, Polakach, kompleks. Jeszcze wciąż się nam wydaje, że jak ktoś coś zrobił za granicą, to u nas już na pewno jest gwiazdą. Bo co? Bo robienie kariery

w Polsce to wciąż mniej niż zdobycie uznania w innym kraju?

Pięknie mnie tego nauczył mój rektor PWST Jerzy Stuhr: „Panie Zapała, jak pan chce robić karierę za granicą, to pan musi być trzy razy lepszy od innych. Dwa razy nie wystarczy. Trzy. Tak jak ja w Italii”. Ja te słowa będę pamiętał do końca życia. Doskonale je rozumiem. Jerzy Stuhr zrobił ogromną karierę we Włoszech. Nie wiem, czy o tym wiesz. Grał u największych włoskich reżyserów.

Rynek zagraniczny jest bardzo trudny. Konkurencja z całego świata, bariera językowa (chodzi mi o akcent) oraz związki zawodowe, które chronią rodzimych artystów. Powinniśmy szczególnie mocno cieszyć się z zagranicznych sukcesów

Golf to dowód na to, że nawet ze skromnej rzeczy, którą mamy, przy użyciu wyobraźni możemy uczynić coś kultowego

sów Polaków. To znaczy, że byli „trzy razy lepsi od reszty świata”.

Wracając do Stanów Zjednoczonych – naprawdę tam pan poznał żonę, która studiowała w tej samej krakowskiej szkole teatralnej co pan? I to jako kelnerkę w restauracji?

Magdałęnę poznałem w szkole teatralnej, ale wtedy nic nie zaiskrzyło. Mijaliśmy się na korytarzach. Mieliśmy zajęcia w dwóch różnych budynkach. To dopiero pobyt w USA nas do siebie zbliżył. Pokażę to kiedyś w filmie, bo to bardzo romantyczna i śmieszna historia.

W tej legendzie Sławomira piosenkarza zaszczepił też pan w mediach, że skończył się on u wielkich tego świata w Watermill Center w Nowym Jorku. Chyba nikt z dziennikarzy nie sprawdził, że to taki dom otwartych spotkań artystycznych... Naprawdę był pan tam na jakichś warsztatach? Z kim?

Śmiesz mnie to, bo wystarczy wejść na stronę Watermill Center i tam są wypisani uczestnicy z każdego roku. Po ukończeniu PWST pracowałem w Warszawie z amerykańskim reżyserem Robertem Wilsonem. Po tej przygodzie w Teatrze Dramatycznym dostałem od niego zaproszenie i stypendium. Docenił mój talent i po raz pierwszy polecałem

do USA. Miałem do dyspozycji dom z basenem, własny samochód i możliwość poznania najzdolniejszych ludzi z całego świata. Reprezentowali bardzo różne dziedziny sztuki. Warsztaty oprócz Wilsona prowadził np. Roger Waters z Pink Floyd. To był dla mnie czas, kiedy urosły mi artystyczne skrzydła.

Można powiedzieć, że jako gwiazda rock polo jest pan właśnie u szczytu sławy – choć kto wie, jak to się jeszcze rozwinie. Ten projekt jednak już trochę trwa, zatem czy z tej perspektywy uważa pan, że trudno jest robić dobrą popkulturę?

Kiedy się zaczyna, to tak. Kiedy ma się już fanów, wtedy jest dużo łatwiej. Bardzo trudno pozostać przy swoim i nie iść na kompromisy, ale to jedyna słuszną drogą. Tak się wygrywa.

Czy bycie gwiazdą rock polo nie utrudnia bycia aktorem teatralnym? Nie boi się pan łatki Sławomira na całe życie? A może scena teatralna już pana nie interesuje?

Im większy sukces osiąga projekt Sławomir, tym ciekawsze propozycje teatralno-filmowe otrzymujemy. Gramy teraz razem z Kajrą w Teatrze Capitol w spektaklu „Skok w bok”. Teatr to luksus, na który sobie z radością pozwalamy. Aktor musi grać w teatrze, żeby być w dobrej formie i gotowości. Ale zdradzę ci sekret – najważniejszą rolę trzeba sobie dać samemu.

Jest pan dziś tak rozchwytywanym artystą – koncerty, programy w telewizji – że nawet trudno się umówić na rozmowę. Kiedy pan odpoczywa? I jak?

To niestety nasza bolączka. W naszym kalendarzu nie ma czegoś takiego jak wakacje. Może uda się w styczniu. Cieszę się, że codziennie mam pracę, ponieważ wiem, ilu jest kolegów, którzy jej nie mają. Nie narzekamy, staramy się odpoczywać w hotelach przed koncertami, spać w busie. Najchętniej wypoczywamy blisko natury. W ciszy i bez ludzi. Kajra lubi pracować w ogrodzie, a ja lubię rąbać drewno, kosić trawę... tak powstała piosenka „Ty, mała, znów zarostaś”.

A ma pan dalszy pomysł na Sławomira? Będzie może jakaś płyta?

Tak. Materiał już mamy, tylko przy tylu koncertach nie ma czasu na wejście do studia. Planujemy jednak wypuścić nowy singiel, jeszcze w tym roku. Sam jestem ciekawy, gdzie nas jeszcze Sławomir poprowadzi... © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Niby-Polska

Eustachego Rylskiego



Krzysztof Masłoń

Zdegustowany dzisiejszą Polską Eustachy Rylski popełnił powieść „Blask”, zareklamowaną przez „Newsweek” jako anty kaczyńska

Prozaik wyjaśnia, że nie jest to książka o prezie PiS, i pisze, „że czynienie go bohaterem powieści byłoby zbyt łatwe. Zostawiam to innym”.

Rzeczywiście, w przeniesionym w przyszłość „Blasku” bohaterem jest niejaki Don. Z wyglądu „niski, krępy, obły, melodyjny, z drugorzędnych »najdrugorzędniejszy«, a przy tym mający „mimo całej swojej bylejakości [...] inteligencki sznyt z nienagannym wychowaniem na czele”.

„Uświadomiłem sobie – opowiada pisarz w wywiadzie dla „Newsweeka” (nr 22/2018) – jak gigantyczny wpływ na rzeczywistość w Polsce ma człowiek niemający z nią żadnego związku. W pełnym z nią rozbracie. Gdy myślimy o różnych autokratkach (bo nie uważam Kaczyńskiego za tyrana), to wywodzili się z ludu i byli z ludem związani. Mieli rodziny, dzieci, pasje, plemienne rytuały. Dochodząc do władzy, pogardzali obywatelami i traktowali ich instrumentalnie, ale zawsze pozostawali jakąś ich emanacją. Kaczyński jest tymczasem przywódcą wyobcowanym”.

A kto poza Donem sprawuje rządy w powieściowej rzeczywistości? Hegemon służb wewnętrznych zwany jest tu szczurem, a „minister spraw wewnętrznych był wiecznie zafrasowanym idiotą”. Kim są sprawujący władzę? „Byli jeden w drugiego z nieporządku, frustracji, toksycznych kompleksów, poczucia nieredukowalnych krzywd, urągających godności despektów, przeświadczenia, że życie zaoferowało im mniej niż to, na co zasługują, i z nienawiści bez dna, więc jakkolwiek patrzeć, byli z piekła”.

Kraj ukazany przez Eustachego Rylskiego to tyrania, może nie do końca zawsze pozostającego w cieniu Dona, ale tyrania ludu, o którym pisarz mniemanie ma jak najgorsze.

WYMIJAMY TEN ESZELON

Rylski krótko po katastrofie smoleńskiej określał ją jako idiotyczną i twierdził, że „Palikot publicznie wyraża to, co większość z nas prywatnie myśli”.

Kiedy zarzuciłem mu wówczas, że robi mało wytłumaczalną wolę, bo popieranie kogoś takiego jak poseł Palikot przeczy deklarowanej przez pisarza postawie konserwatywnej, odpowiedział:

– Ja robię wolę czy może rzeczywistość? Moim zdaniem do 10 kwietnia to, czy ktoś ma poglądy lewicowe, prawicowe, liberalne, centrowe, konserwatywne, nie było ważne. Przyjaźniłem się lub

FOT. MICHAŁ WÓJCIAK/FAST NEWS

znałem z ludźmi o różnych poglądach, jedni popierali braci Kaczyńskich, inni Platformę Obywatelską czy SLD, byli wśród nich zwolennicy Korwin-Mikkego i różni anarchiści, ale to nas nie dzieliło, bo preferencje każdego z nas, jak religia, były sprawą prywatną. W każdym razie nic o takim podziale nie wiem. Dopiero po 10 kwietnia Polska naprawdę się rozpadła na dwoje. I to dosyć beznadziejnie. Widzę dwie równoległe, idące obok siebie w nieskończoność. Są zbyt blisko siebie, by się między nimi zmieścić, i za dalekie, by stanąć na nich okrakiem. Dyskurs o Smoleńsku, prezydencie Kaczyńskim, o niepodległości, podległości, honorze i prostytucji, patriotyzmie i zdradzie, kondominium, naszym kraju, ich kraju zaczyna z tygodnia na tydzień jałowieć. Mija pół roku od katastrofy lotniczej i znowu widzę kilka tysięcy ponurych ludzi osaczających Pałac Prezydencki, kontestujących demokratyczny wybór, dopominających się niepodległości. Słyszę niesprawiedliwe słowa Jarosława Kaczyńskiego. Przeczuwam bezradnego prezydenta, nieczynny rząd, pozapłatywany w intrygi parlament, zdeptaną administrację miasta, czuję smród tego schadenfreude, że jest dobrze, bo nie może być już

gorzej. Widzę dyskutantów gadających do ściany. I światło w tunelu. Ktoś mówi, chrzanić jednych i drugich, wymijamy ten eszelon i idziemy do przodu ku normalnej Polsce. Przedsięwzięcie się pewnie nie uda, ale Palikot, bo o nim mówię, będzie mógł powiedzieć: „Przynajmniej próbowałem”.

NIENAWIDZĄ SIĘ I PRZYJAŹNIĄ ZARAZEM

W tym samym 2010 r. wydał Ryłski powieść „Na grobli”, na którą miłośnicy jego prozy czekali pięć lat, bo tyle minęło od edycji „Warunku”. W tym czasie opublikować jeszcze zdołał cztery opowiadania w tomie „Wyspa”, nie wszystkie zresztą nowe, bo była wśród nich, rzekłbym, aż za dobrze znana „Dziewczynka z hotelu Excelsior”, sfilmowana w 1988 r. przez Antoniego Krauzego.

„Na grobli” niespecjalnie się spodobało, podobnie jak kolejne książki: inicjacyjna powieść „Obok Julii” (2013) i zbiór opowiadań „Szara lotka” (2014). Był jeszcze tom esejów o ulubionych lekturach autora – „Po śniadaniu” (2009), rzecz dla koneserów. Wciąż w pamięci jako najlepsze pozostają dwie łącznie wydane debiutanckie powieści „Stankiewicz” i „Powrót” z 1984 r.

oraz, powstałe już w wolnej Polsce, dwie następne: „Człowiek w cieniu” (2004) i „Warunek” (2005).

Osobiście za arcydzieło uważam „Warunek” właśnie. Jego akcja dzieje się u schyłku 1812 r., podczas odwrotu wojsk Napoleona z Rosji. Bohaterowie powieści – Hoszowski i Rangult – złączeni są, jak się wydaje, niemożliwym do rozwikłania węzłem. Chcą dokończyć pojedynek – zabroniony w Wielkiej Armii – i dążą do walki, nie zważając na wszystko, co się wokół dzieje. Tymczasem odwracają się losy wojny, Wielka Armia ponosi klęskę, a oni są wciąż, nieustannie razem: skazani na siebie. Nienawidzą się i przyjaźnią zarazem. Jakby fatum zawisło nad tymi dwoma mężczyznami: bohaterem przez okoliczności zmuszonym do dezercji i urodzonym dezerterem, którego okoliczności przerosły. A żeby ich losy w finale się rozplątały, spełniony być musi – tytułowy – warunek.

– To książka o polskości – opowiadał mi autor: – Nie o polactwie – uważam to określenie Rafała Żemkiewicza za znakomite – ale o polskości, która jest mi bardzo bliska, żebym nie wiem jak próbował się od niej odzegnać i jak bardzo krytyczny miał do niej stosunek. W „Warunku” jest bardzo

REKLAMA

MUSIC POWER EXPLOSION

13 lipca 2018 Stadion Wrocław

ALPHABETICAL LIST OF DJ HEADLINERS

AFROJACK **DON DIABLO** **STEVE AOKI** **TIËSTO** **ZEDD**

ANNA AGENCY DJ JAY DEKSTAR SEMINAL MUSIC

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL

■ dużo polskości, to powieść szalenie polska, jak chyba mało która w ostatnich 15 latach i jak żadna moja.

W okresie „powarunkowym” Ryłski – co może zaskakiwać – przyznawał się do tradycji romantycznej: – Kiedyś ustawiałem się wobec niej na kontrze. Z czasem to się zmieniło i teraz uważam, że ma ona sens, jest piękna i bywa, że wzruszająca. Z Somosierry możemy być dumni, z naszych kawalerzystów, z polskiego wojska, które gdy Wielka Armia poszła w rozsypkę, było – mimo straszliwych strat – wciąż gotowe do walki. Miało wszystkie sztandary, byli dowódcy, zarządy. Podobno dwie najlepsze jazdy w dziejach świata to była kawaleria polska z czasów Napoleona i nubijska z okresu Cesarstwa Rzymskiego.

FREDROWSKIE OBRACHUNKI

Zapytany o wpisanie się jego prozy w ogóle w polską tradycję literacką pisarz powiedział: – Pojmuję to szerzej, myśląc o polskiej tradycji: ziemiańskiej, żołnierskiej, partyzanckiej, również chłopskiej w tej mierze, w jakiej uzupełniała trzy pierwsze. Jeśli chodzi o literaturę, to Mickiewicz i Sienkiewicz, Słowacki i Norwid, Gombrowicz. Ale, oczywiście, i Chopin, i niektóre pejzaże, święta, rytuały, obrzędy. To wszystko jest polskość bardzo mi bliska. Natomiast niekoniecznie bliscy mi są Polacy.

Za „Człowieka w cieniu” otrzymał Ryłski jedną z ważniejszych w całej swojej biografii pisarskiej nagród: Nagrodę Literacką im. Józefa Mackiewicza. Po latach, gdy prozaik ujawnił swoje poglądy – upierać się będę jednak, że polityczne – po prawej stronie naszej, pożał się Boże, sceny (?) artystyczno-literackiej odezwały się głosy, że nagroda ta powinna zostać Ryłskiemu odebrana. Na szczęście, skończyło się na głupim gadaniu, w końcu uhonorowano go za powieść, a nie za to, co wygadywał w wywiadach prasowych. Nie zapomnę jednak tego, jak podczas uroczystego wręczania mu nagrody kilka osób niemało znaczących w świecie literackim prorokowało, że Mackiewiczowskie laury zaszkodzą Ryłskiemu w przyszłości.

O Nike może zapomnieć – wieszczono, co sprawdziło się o tyle, że wydany rok po „Człowieku w cieniu” „Warunek” przestać musiał na nominacji do tej nagrody, choć był bezkonkurencyjny. Czy pisarz zawiązał się wtedy i takimi woltami jak ta Palikotowa postanowił zyskać (czy odzyskać) zaufanie salonu? Tego nie wiem, chciałbym wierzyć, że kieruje się innymi

motywacjami. A z ważnych nagród dwa lata temu otrzymał Nagrodę Literacką m.st. Warszawy w najważniejszej kategorii – twórca warszawski.

TRZEBA SIĘ PILNOWAĆ

W nowej powieści Eustachego Ryłskiego domniemywany Kaczyński, czyli Don, powiada: „Krucze jest nasze istnienie i najczęściej byle jakie. Od trwogi do trwogi. Ale upływać może w mroku lub blasku. Obiecuję wam blask”. Czy to mało? Poprzednicy Dona zaofiarować mogli jedynie wegetację i zapewnić, że jak naród nie będzie pyszczył, to nie wyłączy mu się ciepłej wody. No i że okradziony zostanie ze wszystkiego, co jeszcze posiada.

A co nas czeka? Tu pisarz roztacza taką wizję: „Armia zaryglowana w koszarach od wewnątrz, ociosana z pieniędzy do poziomu biologicznego przetrwania, pozbawiona dowództwa od batalionu wzwyż, przyzwyczaiła się do tego, że im o niej ciszej, tym dla niej bezpieczniejszej, i zasmakowała w tchórzliwej, defensywnej dyskrekcji, która każdą inną armię wykończyłaby radykalnie niż najuciążliwsza wojna. Z policji została praktycznie drogówka, której aktywność walczyła o lepsze z niekompetencją, a ta – z najpospolitszym draństwem, czegokolwiek się tknęła. O służbach specjalnych, z ich koordynatorem włącznie, nikt nie myślał i chociaż od czasu do czasu dawały o sobie znać czymś równie spektakularnym co bezsensownym, to nikt nie wiedział, komu to służy lub kogo rujnuje. Skurwiona do cna ekonomia, pędzona lawinowym drukiem pieniędzy pod zastaw europejskiej neurastenii, skłonnej ulegać każdemu szantażowi, jeżeli tylko był wystarczająco bezceremonialny, zapewniała elementarne przetrwanie nawet tym obywatelom, którzy byli w nierozstrzygalnym sporze z jakąkolwiek aktywnością zawodową”.

A co się stanie z Kościołem w Polsce? Osiem lat temu powiedział mi Ryłski w wywiadzie tak: „Uważam się za poganina, ale jestem bardzo przywiązany do instytucji Kościoła i nie chciałbym żyć w świecie, w którym byłby on wymieciony z przestrzeni publicznej. Bo wiem, co chrześcijaństwo zrobiło dla ludzkości i jak byśmy wyglądali, gdyby go nie było”.



W „Blasku” wieszczę jednak tak: „Odwieczna opoka narodu w czasach przełomów, między jedną narodową grandą a drugą, skruszała w tempie, jakie powinno zaniepokoić, gdyby to nie było poza jej zasięgiem. Obywatele niereligijni od wieków, dalecy od Boga na co dzień i bliscy mu od święta w sposób, jakiego najłaskawszy Bóg nie zaakceptuje, realizujący swoje metafizyczne iluzje w pogańskich rytuałach, przysposobili kapłanów do swoich wyobrażeń o transcendencji, czyniąc z nich szamanów plemiennej sprawy tak trywialnej, płytkiej, prostackiej, że cały Kościół narodowy wraz z – pożał się Boże – hierarchami został przez podążający w przeciwnym kierunku Rzym ekskomunikowany [! – przyp. K.M.]. Jeżeli jeszcze gdzieś duch Stwórcy zawiadamiał o swojej obecności, to w wyludniających się klasztorach będących obiektem jadowitych sztyryst, chamskich dowcipów, najordynarniejszych podejrzeń na tych wysepkach cierpienia w morzu zadowolonego z siebie rechotu”.

Ale nic to! Zakończenie „Blasku” jest, w zamyśle autorskim, krzepiące. Otóż

nasi obywatele tak się stęsknili za wyścigiem szczurów, wycieńczającą pracą, ciułaniem marnych groszy, że na nowo postanawiają zadziwić Europę. „W końcu dekadę wcześniej – przypomina Ryłski – kontynent im tego talentu do

życia i roboty zazdrościł. Otumanieni przez Dona benefitami w postaci łatwych rent, wczesnych emerytur, grantów bez związku z potrzebami, rekompensat za straty nieponiesione, w pieniądzu niewiele cenniejszym niż papier, na jakim go wydrukowano, poczuli się zbrukani tym prostackim przekupstwem, które tak uzależniło ich od łaskawości dyktatora [a jednak dyktatora! – przyp. K.M.] i własnych wad”.

Pocieszymy się jednak, nawet zima odpuści krajowi, a niebo nad Polską się przetrze. I wtedy będzie już tak pięknie, że pozostanie nam tylko odpowiednio wcześniej wystąpić o kredyt na pochówek. Zdążymy go spłacić do emerytury, bo ta – przy aplauzie Unii Europejskiej – wypłacana będzie po ukończeniu lat 80. W sam raz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nasze hotele - Twoje wakacje

A za
dzieci
nie płacisz!*

*Szczegóły promocji na www.zdrojowahotels.pl

Hotele w najpiękniejszych kurortach™

Kołobrzeg · Świnoujście · Ustronie Morskie · Szklarska Poręba

Rezerwuj bezpośrednio:

+48 91 40 40 400
rezerwacja@zdrojowahotels.pl

www.zdrojowahotels.pl



FOT. MATERIAL PRASOWE



WIEŚLAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Samotny biały żagiel



★★★★★

REŻ. JAMES
MARSH
„NA GŁĘBOKĄ
WODĘ”
WIELKA
BRYTANIA 2018

wyst. Colin Firth,
Rachel Weisz,
David Thewlis

W roku 1968 ludzkość nie narzekała na nudę. Roman Polański ożenił się z Sharon Tate, w wypadku lotniczym zginął Jurij Gagarin, na Broadwayu po raz pierwszy wystawiono musical „Hair”, w Paryżu studenci wznosili barykady, sowieckie i polskie czołgi ratały socjalizm w Czechosłowacji, Amerykanie zaczęli mieć szczerze dość wojny w Wietnamie. Anglicy pasjonowali się zaś ogłoszonym przez „Sunday Times” wyścigiem żeglarskim dookoła świata.

Oprócz zawodowców do udziału w zawodach zgłosił się 36-letni radny z Bridgewater na zaprojektowanym przez siebie trimaranie (który skromnie nazwał „morską przyczepą kempingową”). Wypiarze oszaleli na punkcie Donalda Crowhursta. Dostrzegli w nim nowe

wcielenie nieustraszonego podróżnika – skrzyżowanie zdobywcy Mount Everestu, Edmunda Hillary’ego z badaczem Afryki Davidem Livingstone.

Niedzielny marynarz w okamgnieniu stał się dumą swego miasteczka i hrabstwa. Perspektywa samotnego, dziewięćmiesięcznego rejsu, opłynięcia groźnego przylądka Horn, zmierzenia się z ryczącymi czterdziestkami i ogromem Pacyfiku zaczyna przerażać Crowhursta, lecz wycofać się już nie może. Zainwestował w wyścig zbyt wiele środków (własnych i cudzych) oraz ambicji. Trudno wszak o lepszy test męskości niż podjęcie się misji z gatunku niewykonanych. Zabrawszy na pokład toster – kawałek domu, który ma podtrzymać go na duchu – Anglik ruszył na spotkanie z przeznaczeniem.

Choć wystartował jako ostatni, to ze składanych przez niego meldunków można było wnosić, że płynnie najszybciej z całej stawki.

Amerykanie pewnie zrobiliby z tego opowieść o twardzielu, który się sztormom nie kłaniał. Brytyjczycy mają większy szacunek dla faktów, a w ich świetle Crowhurst wygląda na hazardzistę, który przełożony perspektywą bankructwa stawia wszystko na jedną kartę, ryzykując, że ukochana żona z trojgiem małych dzieci zostanie bez środków do życia. Pół wieku temu honor nie był jeszcze martwym pojęciem, ale filmowcy jakoś nie chcą drążyć tego wątku. Wolą wytykać cynizm ówczesnym mediom i PR-owcom.

Colin Firth nie jest złym aktorem. Bardzo się stara, lecz choćby stawał na rżęsach, zawsze będzie ciągnął za sobą ciężką kotwicę w postaci pana D’Arcy. Prędzej Arkadiusz Milik zostanie królem strzelców mundialu, niż piękniejsza część widowni uwierzy, że bohater z twarzą Firtha może komuś zrobić krzywdę. W dodatku im bliżej końca, tym bardziej filmowcy tracą wiatr w żaglach. A chyba powinno być odwrotnie. Po reżyserze nagrodzonym Oscarem spodziewałem się czegoś więcej niż odkrycia, że słona woda szkodzi męskiemu mózgowi. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „JESTEM TAKA PIĘKNA!”

Amy Schumer to gwiazda amerykańskiej stand-up comedy. Szeroki świat poznał ją dzięki niezłej komedii „Wykolejona” (2015), po której posypały się nowe propozycje telewizyjne, ale z kolei kinowa komedia „Babskie wakacje” okazała się katastrofą. „Jestem taka piękna!” to film oparty na konsekwentnym eksploatowaniu jednego

pomysłu: co bytoby, gdyby miła, acz przeciętnej urody dziewczyna uwierzyła, że jest najpiękniejsza na świecie, i tak też się zachowywała. ©©

Piotr Gociak

• „Jestem taka piękna!”, reż. Abby Kohn, wyst. Amy Schumer, Michelle Williams, Emily Ratajowski, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Na głęboką wodę”, reż. James Marsh, Wielka Brytania 2018
- „Isabelle i mężczyźni”, reż. Claire Denis, Francja 2017
- „Kuba Guzik”, reż. Dennis Gansel, Niemcy 2018
- „Ava”, reż. Léa Mysius, Francja 2017

Oszustwo we krwi

Po pięciu latach, ośmiu miesiącach i 12 dniach spędzonych w pace Debbie Ocean wychodzi na wolność. Danny byłby dumny z siostry, która nie wydając dolara, potrafi zaopatrzyć się w markowe kosmetyki i zamieszkać za friko w wypasionym hotelu. To jednak tylko rozgrzewka. Rezolutne dziewczę zamierza wejść w posiadanie kolii wartiej więcej niż 150 mln dol., która zdobiła niegdyś szyję Liz Taylor. Plan kradzieży brylantowego cacka jest koronkowy, więc Debbie werbuje siedem współniczek („łatwiej to zrobić kobietom, bo faceci za bardzo rzucają się w oczy”). W tle majaczy – typowa dla podgatunku heist criminal – zemsta na typie, który nie przestrze-

ga złodziejskiego kodeksu honorowego.

Autorzy filmu najwyraźniej postanowili odświeżyć formułę „oceanicznego” cyklu w taki sposób, by wszystko pozostało po dawnemu. „Ósemka” próbuje być zarazem nowoczesna i ciut staroświecka, zaskaku-

jąca i do bólu przewidywalna, śmiertelnie poważna i pastiszowa. Niestety, tak się nie da. Szałowe kostiumy i dzieła sztuki zgromadzone w MET cieszą oczy, całości brakuje jednak tempa i poczucia humoru (no, chyba że kogoś śmieszy język niemiecki). Po seansie czułem się oszukany bardziej niż szefowie Cartiera. Liczyłem na profesjonalne kino z feministycznym przechyłem. Ujrzałem nudną paradę celebrytek. ©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. GARY ROSS
„OCEAN'S 8”
USA 2018

wyst. Sandra Bullock,
Cate Blanchett,
Helena Bonham Carter



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „NORTHGARD”

Fanów klasycznych strategii czasu rzeczywistego z pewnością ucieszy wiadomość o pojawieniu się gry, która przypomina skrzyżowanie „Age of Empires” z „Settlersami”, tyle że... osadzonej w mitologii nordyckiej. Właśnie tak wygląda „Northgard”, w którym kierujemy losami ekspedycji

wikingów, podbijającej niegościnną, północną krainę. Ciekawym aspektem rozgrywki, poza budowaniem bazy i dynamicznym systemem walki, jest zapewnienie przetrwania osadnikom, którzy muszą się ukrywać przed trzaskającym mrozem. Dodajmy do tego przyjemną dla oka kreskówkową



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

grafikę, a powrócą wspomnienia dawnych hitów. © **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Shiro Games/Cenega
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

OGIEŃ I LÓD

Zimny Szwed, maszyna do wygrywania, kontra żywiołowy, klóćący się z sędziami Amerykanin. „Lód kontra ogień” – pisali dziennikarze. Twórcy filmu „Borg McEnroe” przekonują, że to wewnątrz Borga od małego drzemał wulkan, a z kolei McEnroe swym ekshibicjonizmem pozbywał się emocji i w środku pozostawał zimnym graczem. Oprócz ładnie pokazanej tenisowej wojny dwóch osobowości (między licznymi retrospekcjami obserwujemy ich występ w turnieju w Wimbledonie, rok 1980), mamy tu kilka innych ciekawych tropów. Na ile gwiazda sportu jest panem własnego życia i kariery, skoro ceduje kolejne decyzje na speców od marketingu i księgowych? Czego potrzeba, żeby być najlepszym na świecie? Delikatnie zaznaczono też kwestię, która mocniej wybrzmiewała w „Jestem najlepsza”: czy tenis (tam pytano o łyżwiarstwo figurowe) to sport dla elity, z którego wypycha się parweniuchy takich jak McEnroe? Udany debiut fabularny szwedzkiego dokumentalisty Janusa Metzsa.



★★★★★
REŻ. JANUS METZ
„BORG MCENROE.
MIĘDZY ODWAGĄ
A SZALEŃSTWEM”
USA 2017,
BEST FILM

wyst. Sverrir Gudnason, Shia LaBeouf,
Stellan Skarsgård

GWIEZDNE WOJNY: REWOLUCJA

„Przebudzenie Mocy” było hołdem złożonym oryginalnej gwiazdnej trylogii „Ostatni Jedi” przynosi rewolucję. Po pierwsze, na dobre żegnamy się z najważniejszymi bohaterami sagi, a dzieje Galaktyki przestają być rodzinną kroniką Skywalkerów. Po drugie – i ważniejsze – scenarzyści zrywają z mitologią Jedi. Już nie specjalny zakon, nie mistrzowie i uczniowie, ale każdy skrzywdzony i poniżony może odkryć w sobie Moc. Teraz bajka zostawia klasowe stereotypy za sobą i gwałtownie się demokratyzuje. „Ostatni Jedi” robi wrażenie filmu nieco chaotycznego i za długiego, dałoby się z niego wykreślić dwie części. Całkiem jakby reżyser spieszył się okrutnie, żeby jak najszybciej pozamykać niektóre wątki i z czystą kartą kręcić kolejne filmy – a ma, przypomnę, odpowiadać za zupełnie nową trylogię, w ogóle niezwiązaną z dziejami rodziny Skywalkerów.



★★★★★
REŻ. RIAN JOHNSON
„GWIEZDNE
WOJNY: OSTATNI
JEDI”
USA 2017,
GALAPAGOS

wyst. Daisy Ridley, John Boyega, Adam Driver, Mark Hamill, Carrie Fisher

© **recenzuje Piotr Gociak**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Drużyna A ratuje Kościół

W latach 80. rekordy powodzenia bił amerykański serial „Drużyna A” o byłych bohaterach wojny wietnamskiej, którzy walcząc o swoje dobre imię, przy okazji pomagają innym wydobywać się z tarapatów. Szczególnie ówczesna dzieciarnia pamięta zapewne charakterystyczne postaci tego „The-A Teamu” na czele z porucznikiem „Bużką” i sierżantem „B.A.”.

Przypomniała mi się tamta ekipa w trakcie lektury najnowszej powieści Marcina Wolskiego „Ostatnie konklawe”. Tutaj też mamy bohatera zbiorowego – sześć osób, które rzucają wyzwanie Księciu Ciemności, tocząc z nim dramatyczne i przeżające zmagania, w których zresztą dwoje z nich ginie. Jednak cel, jaki przed sobą stawiają, godzien jest każdej ceny. Otóż usiłują nie dopuścić do wyboru na konklawe (najbliższym?) na następcę św. Piotra emisariusza piekiel, kard. Alvaro Sallinasa, geniusza zła.

Czegóż tu nie mamy! Demony wstępujące w koty (uwaga: równie często przybierają postacie wron) i wszechobecny zapach siarki, egzorcyzmy i święte kule. A także dzisiejszą warszawkę z wypisywanymi na murach bojowymi hasłami w rodzaju: „Precz z Kaczorem-Dyktatorem” czy „KOD walczy”. A w tym wszystkim obdarzoną profetycznymi zdolnościami liberynkę i jej znajomą z Woronicza, lesbijkę zresztą, pisarza, który swoje już wypił, zakonnik-komandosa i siostrę zakonną, która nie wie, kim jest, bo utraciła pamięć, oraz chyba najważniejszego – księdza, który za zwalczanie Antychrysta... ukarany został przez Kościół utratą większości kapłańskich uprawnień. To właśnie jest ta drużyna, chciałoby się



FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

zrzec – biało-czerwona, ale akurat narodowość bohaterów nie jest w tej powieści najważniejsza.

Zbliża się bowiem Armagedon. Przed konklawe świat nawiedzają kataklizmy i tajemnicze zarazy, a tymczasem kościelni progresiści obok końca celibatu i kapłaństwa kobiet, komunii dla rozwiedzionych i wyświęcania gejów obiecują zdurniałym rzeszom ludzkim, niegdyś wierzącym, a dziś stu procentowo niemal areligijnym, nowe wisienki na torcie katolicyzmu: zakaz nawracania Żydów i muzułmanów oraz ograniczenie kultu chrześcijańskiego do wnętrza świątyń. Zasadne staje się pytanie: Czy ktoś tu jeszcze wierzy w Boga?

„... proszę popatrzeć na to – czytamy – co się stało przez dwa wieki »panowania rozumu«, ile

nieszczęść, krzywdy i zbrodni przyniosło ubóstwienie człowieka i zadeklarowanie śmierci Boga. [...] Żeby to była tylko kwestia pustych kościołów, o wiele straszliwsze są puste dusze. Szermierzom postępu udało się odwrócić porządek świata – zło uczyniono dobrem, powinność wyparła indywidualną przyjemność, a życie stało się igraszką, w której Opatrzność nie ma nic do gadania. Rodzice mogą nas ukatrupić przed narodzeniem, a my sami możemy przyspieszyć swój kres za pomocą eutanazji. Dodajmy jeszcze, że przy ustalaniu »praw podstawowych« normalna większość pod wpływem ogłupiających mediów uległa zboczonemu mniejszościom. Zaiste, Sodoma i Gomora na tle współczesnego świata mogą wydawać się ośrodkami umiarkowania...”

A współwinnym temu stanowi rzeczy jest nie kto inny, a sam Kościół. „Przecież to on – z pasją wywodzi suspensowany za takie właśnie twierdzenia ks. Mariusz – zafundował nam cały ten pasztet, swoją bojaźliwością, ustępstwami, przyjęciem narracji przeciwnika. Kościół, który boi się nawracać na wiarę Chrystusa, Kościół, który wzdraga się przed nazwywaniem rzeczy po imieniu, nie jest w stanie uratować sam siebie, a co dopiero całej ludzkości”.

„Ostatnia krucjata” pod wartką fabułą, w której trup ściele się gęsto, a seks uprawiany jest na okrągło, skrywa zasadnicze problemy związane z widocznym gołym okiem upadkiem rzymskiego Kościoła. Nie zdradzę zakończenia powieści, powiem tylko, że na ingerencję – i to idącą jak najdalej – w tak fatalnie toczący się bieg spraw ziemskich zdecyduje się sam Pan Zastępów. I nastanie coś, czego wielu z nas od dawna już tęsknie wyczekuje: kontrreformacja. ©



★★★★★
MARCIN WOLSKI
„OSTATNIE
KONKLAVE”
ZYSK I S-KA
2018



POCZYTANKI

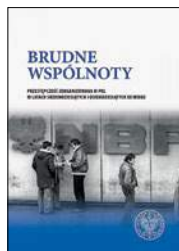
Wszystkie brudy PRL

Od związków milicji i SB ze światem przestępczym PRL po patologię transformacji ustrojowej – prace zebrane w publikacji „Brudne wspólnoty” to fascynujący katalog tematów, które wciąż czekają na swoje głębsze, całościowe opracowania. To próba nakreślenia mapy, której kształt znamy tylko częściowo, trochę z artykułów prasowych, trochę z literatury, a starsi także z osobistych wspomnień. Oczywiście głośno było swego czasu o aferze „Żelazo”, czyli o tym, jak aparat bezpieczeństwa organizował bandyckie skoki w Europie Zachodniej i prywatyzował płynące z nich zyski, pewnie każdy słyszał o perypetiach „Nikosia”, szefa gangu szmuglującego do Polski samochody, który doczekał się w latach 90. statusu celebryty, rzeczywistość była jednak jeszcze bardziej ponura.

Historycy IPN przyglądają się po kolei, jak milicja i SB walczyły z prywatyzatorami próbującymi omijać system, jak przez palce patrzyła na przemytników, a w uwłaszczeniu nomenklatury czy zakładaniu tzw. spółek polonijnych nie tylko nie przeszkadzała, lecz także sama z entuzjazmem włączyła się w ich budowę. Mamy tu negatywne zjawiska znane z innych krajów. Są jednak i patologie specyficznie socjalistyczne. Historia firmy eksport-import, która prosperowała nie tylko dzięki dostarczaniu, lecz także okradaniu zagranicznych paczek z żywnością i ubraniami. Nielegalny handel powszechny, bo przecież każdy Polak wyjeżdżający za granicę zamieniał się w handlarza. Fach cinkciarza, handlarza walutą – niejeden funkcjonariusz przeszedł szlak od łapania i kontrolowania takich delikwentów do kariery, którą sam rozpoczął w tej branży po 1989 r.

PRL jawi się w tych pracach jako kraina powszechnej korupcji i państwo o charakterze mafijnym, w którym przedstawiciele władzy, a przede wszystkim aparat bezpieczeństwa, po prostu ściągają haracz z każdego rodzaju nielegalnej działalności. Ile fortun powstałych w ten sposób stało się fundamentem wolnego rynku w III RP to temat wart osobnych rozważań, na które czekam z niecierpliwością.

W końcu czas, kiedy był to temat tabu, przeminął. Oby na zawsze. ©©



★★★★★
KAROL
NAWROCKI,
DANIEL WICENTY
„BRUDNE
WSPÓLNOTY”
IPN 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Rosyjska aneksja Krymu to początek nowej epoki – zmienianie granic siłą znowu jest możliwe w Europie. Semmler opisuje konflikt i jego społeczne echa, nie pomijając tragedii Tatarów krymskich i trudnych pytań o tożsamość półwyspu.



PAWEŁ SEMMLER
„KRYM.
ZNIKAJĄCY
PÓŁWYSEP”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Pisarka (Pekkanen) łączy siły ze swoim wydawcą (Hendricks) i wspólnie proponują zajmujący thriller psychologiczny w klimacie książek Gillian Flynn czy „Dziewczyny z pociągu”. Zatem: kobieca rywalizacja, zazdrość i zbrodnia.



SARAH
PEKKANEN,
GREER
HENDRICKS
„ŻONA MIĘDZY
NAMI”
ZYSK I S-KA

Zanim pojawili się Kajko i Kokosz, Christa stworzył podobną parę bohaterów. Kajtek i Koko odkrywali kosmos przez 1270 odcinków w „Wieczorze Wybrzeża”. Nowa edycja ukaże się w czterech tomach, pierwszy raz w kolorze.



JANUSZ CHRISTA
„KAJTEK I KOKO
W KOSMOSIE.
ZABŁĄKANA
RAKIETA”
EGMONT

Wznowienie głośnej powieści jednego z najwybitniejszych pisarzy japońskich XX stulecia. Wraz ze wznowieniem „Złotej pagody” Yukio Mishimy dobry początek reaktywacji zasłużonej serii „Współczesna proza światowa”. ©©



JUN'ICHIRO
TANIZAKI
„DZIENNIK
SZALONEGO
STARCA”
PIW

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Katarzyna Nosowska „A ja zem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
2. **Olga Tokarczuk „Bieguni” (Wydawnictwo Literackie)** – wznowienie powieści autorki „Ksiąg Jakubowych” sprzed 11 lat.
3. **Paulina Świsł „Podejrzany” (Akurat)** – nowy kryminał autorki znanej dotąd z książek „Komisarz” i „Prokurator”. A może autora, bo „Świsł” to pseudonim.
4. **Katarzyna Bonda „Czerwony pająk” (Muza)** – ostatni tom kryminalnego cyklu „Cztery żywioły Saszy Załuskiej” rozpoczętego w 2014 r. powieścią „Pochłaniacz”.
5. **Praca zbiorowa „Bądź najlepszy” (Books and Fun)** – „twój kreatywny challenge”, czyli zbiór ćwiczeń dla starszych dzieci rozwijających wyobraźnię.

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 28 maja do 10 czerwca 2018 r.)

Brytyjczyk główną gwiazdą ceremonii otwarcia mundialu w Rosji przy obecnych stosunkach między tymi państwami to scenariusz, który mógł wymyślić i zrealizować tylko Władimir Putin, który jak mało kto potrafi i lubi zagrać na nosie Zachodowi. Już sam występ Robbiego Williamsa w Moskwie był w tych okolicznościach odbierany przez znaczną część Brytyjczyków w kategoriach skandalu, ale gwiazdor i tak postanowił dolać oliwy do ognia, pokazując do kamery środkowy palec. Adresatami gestu raczej nie byli ani organizatorzy ceremonii (zabronili Williamsowi wykonania piosenki „Party Like a Russian”), ani Władimir Putin czy będąca ze Zjednoczonym Królestwem niemal w stanie zimnej wojny Rosja. Adresatem „fucka” byli ci, którzy krytykowali Williamsa za przyjęcie zaproszenia. A tych na Wyspach nie brakowało.



Robbie Williams z rosyjską śpiewaczką operową Aidą Garifulliną. FOT. JAM MEDIA/GETTY IMAGES

Happy Birthday, Mr. Dictator

Nie takim jak Putin największe gwiazdy już grały. W prywatnych koncertach lubował się libijski dyktator Muammar Kaddafi, a i zachodnim muzykom jego dolary nie śmierdziały. Nelly Furtado co prawda zapowiedziała oddanie miliona dolarów, które zainkasowała w 2007 r. za 45-minutowy występ dla

klanu Kaddafich, ale to wyjątek. Między innymi za sprawą WikiLeaks świat dowiedział się, że przed libijskim dyktatorem i jego rodziną na prywatnych koncertach występowali Beyoncé (inkasując 2 mln dol. za wykonanie kilku piosenek), Mariah Carey, Lionel Richie, Usher czy 50 Cent. Działalność w organizacjach broniących

praw człowieka nie przeszkodziła Stingowi w przyjęciu 2 mln funtów za krótki występ w 2010 r. dla córki Islama Karimova, ówczesnego prezydenta Uzbekistanu, oskarżanego o łamanie praw człowieka, porwania, gwałty i zabójstwa. Zaangażowana w prace na rzecz Amnesty International Jennifer Lopez wystąpiła na urodzinowym koncercie dla prezydenta Turkmenistanu – Gurbanguly’ego Berdimuhamedowa (którego również trudno nazwać demokratycznym przywódcą), a oprócz swoich przebojów zaśpiewała „Happy Birthday, Mr. President”.

I to dopiero początek długiej wyliczanki. Robbie Williams ocieplający swym blaskiem Putina to żadna anomalia w show-biznesie. Tyle że ten występ mógł obejrzeć cały świat, a nie wybrańcy z wątpliwą moralnością, ale za to z imponującym saldem kont. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Jazz znów jest sexy

Wygłąda jak samuraj z kosmosu, pracował z Erykah Badu, Snoop Doggiem i Kendrickiem Lamarem. Teraz sprawia, że jazz odkrywa nowa generacja.

U Kamasiego wszystko jest ogromne. Jego debiutancki album „The Epic” zawierał 172 minuty muzyki. W jego nagraniu uczestniczyły 32-osobowa orkiestra i 20-osobowy chór. „Heaven & Earth” jest krótszy o 27 minut, ale równie ambitny. „Niebo” opowiada o wewnętrznym świecie saksofonisty. „Ziemia” o świecie, w którym on siłą rzeczy uczestniczy.

Washington garściami czerpie z jazzowej przeszłości, tworząc odkrywczą mieszankę dla lapto-

powej generacji. Duchowość bierze od Johna i Alice Coltrane’ów, basowe groovy od elektrycznego Milesa, kosmiczne aranżacje od Sun Ra, a orkiestracje od Davida Axelroda. Efektem jest luksusowo brzmiący album mający moc obezwładnia złych duchów. Szczególnie że całość otwiera temat z filmu z Bruce’em Lee „Wściekle pięści”.

Kamasiego wspomagali jego zespół The Next Step oraz studyjny kolektyw The West Coast Get Down odpowiedzialny za większość produkcji elektronicznej sceny Los Angeles. Kilka piosenek śpiewa aksamitnym głosem wspa- niała Patrice Quinn. Krytycy są zaurzeczni, choć wszystko wskazuje na to, że nie powinni. ©©



★★★★★
KAMASI WASHINGTON
„HEAVEN AND EARTH”
YOUNG TURKS



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„ALBO INACZAJ 2”
ALKOPOLIGAMIA

Mariusz Obijalski przetworzył hiphopowe klasyki (m.in. Fisa, Sokoła, Pezeta) w nowoczesny pop. Przerobione teksty zaśpiewali m.in. Natalia Nykiel, Daria Zawiałow, Mrozu i Fismoll. W finale „Chwile ulotne” Paktofoniki wykonują wszyscy razem.



★★★★★
RAY LAMONTAGNE
„PART OF THE LIGHT”
RCA

Weteran współczesnej, amerykańskiej piosenki autorskiej porusza się, na siódmym albumie, na pograniczu psychodelicznego folku i rocka. Nic nowego, ale płyty słucha się z przyjemnością, szczególnie o późnonocnej porze. ©©



POD WĄS

Precz z dyktaturą

IGOR ZALEWSKI

Przepraszam, ale będę się powtarzał. Bo już o tym pisałem i pisać będę. Ale to w szlachetnym celu, jakim jest walka z dyskryminacją.

Kilka dni temu rozmawiać mężczyźni dostawali życzenia od swoich dzieci. Z okazji Dnia Ojca. Co prawda akurat Dnia Ojca nie było, ale Facebook napisał, że jest. A ponieważ nikt albo prawie nikt nie pamięta, kiedy jest, więc wystraszone dzieciaki czym prędzej życzyły.

Tak naprawdę Dzień Ojca przypada 23 czerwca.

I oczywiście w żadnym przedszkolu i żadnej szkole nie będzie akademii ku naszej czci. Nie będzie występów, wierszyków i piosenek. Raz – że nie ma żadnych piosenek o tatuśsiach, dwa – są już wtedy wakacje, trzy – wcześniej podczepiono nas pod Matki. Ich święto obchodzono 26 maja (każdy zna tę datę) z wielką pompą, do której dorzucono malutką pompkę poświęconą ojcom. Na odwal się, żeby odfajkować, odznaczyć i mieć z głowy.

No cóż, prawda jest taka, że nikt nie traktuje nas poważnie. Po części to wina nas samych, a konkretnie i po nazwisku takich żalosnych osobników jak Mateusz Kijowski, którzy mają pieniądze na kolczyki i fryzury, ale nie mają na alimenty dla własnych dzieci. Albo takich pseudoartystów jak niejaki Glaca, który z moją koleżanką z liceum spółdził córkę, ale trud jej wychowania pozostawił wyłącznie matce, dla której

zamiast pieniędzy ma jedynie wyzwiska publikowane w mediach społecznościowych. No, ale to artysta, czyli człowiek, dla którego sztuka jest kamuflażem dla jego egoizmu. W gruncie rzeczy to banalny przypadek, opisany przez Paula Johnsona w pouczającej książce „Intelektualiści”.

Po części trudno, żeby dzieci traktowały nas poważnie, skoro ich ulubione kreskówki konsekwentnie malują portret ojca jako tłustego imbecyla, myślicęgo wyłącznie o tym, jak napchać własny kałdun. Taki jest tata Świnki Pepy i taki – jeszcze straszniejszy – jest ojciec Gumballa ze świetnej serii uwielbianej przez wszystkich 7–10-latków, których znam. Owszem, sam odnajduję siebie w tych animowanych postaciach ojców, ale nieskromnie myślę, że składałem się z czegoś więcej niż nieposkromionego apetytu. W każdym razie postać mądrego ojca, służącego radą i wsparciem, zniknęła z dziecięcego obiegu popkultury, a jako biały mężczyzna w okolicach pięćdziesiątki wyczuwam w tym niewidzialną rękę poprawności politycznej.

A przecież znam wielu, naprawdę wielu ojców, którzy nie tylko ciężko pracują na utrzymanie rodziny, lecz także jeszcze bardzo poważnie traktują swą rodzicielską misję. I ci ludzie zasługują na to, żeby ich święto nie było kompletną fikcją. I na to, żeby mieć własną piosenkę. Albo chociaż wierszyk. ©©



KRÓTKO PO WOLSKU

Kobietony

MARCIN WOLSKI

Od dłuższego czasu ulubionym zajęciem lewactwa jest ochrona praw mniejszości (narodowych, seksualnych itp.). Jest jeden wyjątek, kiedy przedmiotem szczególnej troski jest większość. Stanowią ją kobiety. Przy okazji ich obrońcy jakby nie zauważyli, że epoka heroicznej walki sufrażystek i emancypantek dawno minęła, rzekomo słaba płęć wywalczyła wszystko, co było do wywalczenia, i może pora byłaby na zajęcie się prawami rzeczywistej mniejszości, czyli mężczyzn.

Chociaż stanowią ponad połowę społeczeństwa, to nigdy żadna Partia Kobiet nie przekroczyła progu wyborczego

Ci jednak nie próbują walczyć o parytety czy protestować przeciw nagminnemu molestowaniu, jakim jest sama obecność kobiet, które – z wyjątkiem muzułmanek w burkach – są w swej większości jedną wielką prowokacją (stroje, makijaż, zachowanie). Co zabawne, walcząc o równouprawnienie, aktywna politycznie część niewiast robi wszystko, żeby się wyróżnić i pokazać z najgorszej strony. Krzykliwe stroje, przybieranie podstarzałych babusów za cheerleaderki i język pasujący raczej do portowej knajpy.

Swoją drogą, czy wskazówka dla aktywistek nie jest

fakt, że choć stanowią ponad połowę społeczeństwa, to nigdy żadna Partia Kobiet nie przekroczyła progu wyborczego. Bo co mają do zaproponowania poza obsesjami pań notorycznie niedopieczonych i postulatami „aborcji bez granic”?

Natarczywość, pustosłowie, bicie piany i wulgaryzmy. Posłuchać pani Manueli G., a nawet legenda o dwóch łechtaczkach zaczyna brzmieć prawdopodobnie.

Mam dość staroświeckie podejście do kobiet. Chciałbym je szanować, komplementować, nosić na rękach, całować po dłoniach, obsypywać kwiatami, przepuszczać w drzwiach... Dzisiaj większość tych seksistowskich praktyk na Zachodzie spotkałaby się z potępieniem. Ciekaw jestem, czy w przypadku tragedii w rodzaju „Titanica” hasło „Ladies first!” spotkałoby się z potępieniem jakiejś pełnomocnicy do spraw równouprawnienia?

Najgorsze jest to, że za większością tych idiotyzmów stoją mężczyźni. Na przykład: dzięki niedyskrecji pani Scheuring-Wielgus wiemy, że ruch feministyczny zakładał jej mąż. I to wiele tłumaczy. Ruchy kobiece bowiem nie służą kobietom, podobnie jak ekolodzy ekologii, a obrońcy praw zwierząt zwierzętom (po zamknięciu ferm futrzarskich pewne gatunki po prostu wyginą, podobne efekty daje zakaz tresury zwierząt w cyrkach), a służą jedynie jako mięso armatnie w kontrkulturowej rewolucji, i to w wielu przypadkach cokolwiek nieświeże. ©©



Z Melissą Ohden, założycielką The Abortion Survivors Network, organizacji pomagającej ludziom, którzy przeżyli aborcję
rozmawia Piotr Włoczyk

Przeżyłam aborcję. Dosłownie



FOT. ALEX WONG/GETTY IMAGES

PIOTR WŁOCZYK: Jak ludzie reagują, gdy słyszą nazwę organizacji, którą pani założyła?

MELISSA OHDEN: Często myślą na początku, że to jakaś organizacja pomagająca kobietom, które dokonały aborcji. A potem, kiedy wyjaśniam im, że nie do końca tak jest, to zazwyczaj opadają im szczęki. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że wśród nas żyją ludzie, którzy przeżyli aborcję jak najbardziej dosłownie, czyli lekarze chcieli ich zabić w łonach ich matek, ale oni jakimś cudem to przeżyli.

Ilu jest takich ludzi?

Nie znam dokładnych statystyk, ale ja osobiście weszłam w kontakt z 253 osobami, które przeżyły aborcję. Ci ludzie czują się z tym bardzo samotni, wiedza o rodzinach w wyniku aborcji może zrujnować psychikę. Tych, którzy przeżyli, zatrzuwa myśl, że byli niechciani.

Zacząłam publicznie opowiadać swoją historię 10 lat temu. Ku mojemu zdziwieniu zaczęło się ze mną kontaktować coraz więcej ludzi, którzy przeszli tę samą drogę co ja. W 2012 r. założyliśmy więc organizację The Abortion Survivors Network, w ramach której pomagamy sobie nawzajem z przezwyciężeniem traumatycznych przeżyć związanych z odrzuceniem i ze skazaniem na aborcję. Nasza działalność na ogół nie jest publiczna. To skomplikowane i niezwy-

kle delikatne sprawy, bo większość ludzi, którzy przeżyli aborcję, zostaje w swoich biologicznych rodzinach. Myślę, że dzieje się tak w ok. 70 proc. przypadków.

To jednak zaskakujące. Można by podejrzewać, że takie dzieci trafiają częściej do adopcji.

Początkowo ja też podejrzewałam, że takie niechciane dzieci, jeżeli już przeżyją, to przeważnie trafiają – tak jak ja – do adopcji. Tak jednak nie jest. W takich warunkach dorastanie pod opieką biologicznych rodziców to dodatkowy problem psychiczny – jeżeli już człowiek się dowie, w jakich okolicznościach przyszedł na świat, bo np. jest ciężko chory, to zazwyczaj trudno mu o tym rozmawiać z najbliższymi z uwagi na strach przed konsekwencjami dla relacji rodzinnych.

Która z tych historii robi największe wrażenie?

Znam człowieka, którego matka trzy razy brała środki poronne. A on i tak przeżył. Potem wymagał jednak 23 operacji. Trzy próby pozbycia się dziecka – 23 operacje. Z kolei jeden z nas, Josiah Presley, ma zdeformowaną rękę w wyniku aborcji. To świadectwo potworności tej zbrodni.

Pewnie przestało już panią dziwić to, że ludzie generalnie albo nie wiedzą nic, albo bardzo niewiele na temat tzw. późnych aborcji.

Ludzie są szokowani, kiedy dowiadują się, że w niektórych naszych stanach nie ma żadnych limitów czasowych, jeżeli chodzi o przeprowadzanie aborcji. Generalnie panuje przekonanie, że aborcji można legalnie dokonywać tylko na początku ciąży, ale to przecież nieprawda.

Nie wiem, z czym Nowy Meksyk kojarzy się w Polsce, ale w USA wśród proliferów ten stan nazywany jest „stolicą późnych aborcji”. Tam nie ma żadnych limitów. W Nowym Meksyku działa znana klinika aborcyjna, nieskapiąca środków na reklamę, która świadczy aborcje aż do porodu. Przyjeżdżają tam kobiety nie tylko z innych stanów, lecz także z zagranicy. Takie są konsekwencje słów: „Człowiek zaczyna się po porodzie”. W świetle prawa pozwala się, by uśmiercano dzieci, które są tuż przed granicą zdolności do przeżycia poza organizmem matki albo już ją przekroczyły.

Coraz więcej stanów zaczyna wprowadzać limit 20 tygodni, po którym – uodwodniono – że dziecko z całą pewnością odczuwa ból, ale takie ograniczenia to dopiero kwestia kilku ostatnich lat. Generalnie jednak lobby aborcyjne robi wszystko, by znieść wszelkie limity. Myślę, że większość zwolenników prawa do aborcji nie zdaje sobie sprawy z tego, jak to wygląda w rzeczywistości. Myślę, że większość też

nie wie, iż serce dziecka zaczyna bić już w czwartym tygodniu życia.

Co pani wie na temat okoliczności swoich narodzin?

Całe dzieciństwo dorastałam w przekonaniu, że urodziłam się przedwcześnie. Dopiero po latach dowiedziałam się prawdy. W 1977 r. moja biologiczna matka, wówczas 19-letnia studentka college'u, przeszła aborcję za pomocą roztworu soli. Doszło do tego w Sioux City w Iowa. Przez wiele lat myślałam, że był to jej wybór, ale okazało się, że to jej matka przmusiła ją do tego. Moja babka była pielęgniarką, miała znajomości w szpitalu.

Aborcja za pomocą roztworu soli była powszechną metodą aborcji w latach 70. Jeszcze dziś rano rozmawiałam z inną osobą, która przeżyła ten typ aborcji. Do płynu owodniowego wstrzykuje się toksyczny roztwór soli. Chodzi oczywiście o zatrucie dziecka tą substancją. Następnie wywołuje się poród i kobieta rodzi martwe dziecko. Zazwyczaj taka aborcja trwa 72 godziny. W moim przypadku było to pięć dni. U mojej matki lekarz miał problem z wywołaniem porodu, dlatego łykałam tę truciznę dłużej, niż było to planowane. Ten typ aborcji to już jednak raczej historia.

Dlaczego?

Bo tyle z nas mimo wszystko wychodziło z tego z życiem. Aborcjoniści używają teraz bardziej efektywnych metod. Przykładowo strzykawką wkłuwają się prosto w serce dziecka, by zatrzymać jego pracę, a potem doprowadzają do porodu.

Dlatego obecnie nie ma tylu ludzi, którym udaje się przeżyć aborcję. To już naprawdę rzadkość. Ostatnio władze Florydy przyznały, że w ciągu ostatnich pięciu lat aborcję przeżyło w tym stanie 16 dzieci...

Jak dużym dzieckiem pani wtedy była?

Aborcjonista wpisał do akt medycznych, że szacuje ciążę na 20. tydzień (połowa ciąży). Chodziło zapewne o to, by przyspieszyć procedurę. W przypadku aborcji dokonywanych później trzeba było bowiem stanąć przed specjalną komisją, ale wciąż było to możliwe. Skoro tuż po urodzeniu ważyłam ok. 1,3 kg, to świadczy to o tym, że doszło do tego po 30. tygodniu.

Po przyjściu na świat dziecko zazwyczaj kładziono na brzuchu mamy. Gdzie pani trafiła?

Do pojemnika na odpadki medyczne. Miałam tam zginąć. Uratowała mnie pewna

pielęgniarka, którą poruszyło sumienie. Mniej więcej rok temu skontaktowała się ze mną inna pielęgniarka z tego szpitala. Powiedziała mi, że od lat śledzi moją działalność pro-life i zastanawiała się, czy to ja jestem tym dzieckiem po aborcji, które na jej oczach zostało wniesione na intensywną terapię przez pewną pielęgniarkę. Ta kobieta powiedziała poruszające dla mnie słowa: „To dziecko walczyło, żeby nabrać powietrza. Walczyło o każdy haust. Nie mogłam pozwolić, by umarło”.

Dostałam dwa punkty w skali Apgar. Miałam problemy z oddychaniem, z wątrobą, męczyły mnie drgawki. Lekarzom wydawało się wówczas, że cierpię też na poważną wadę serca. Moja babka utrzymywała moją biologiczną matkę w przekonaniu, że umarłam tego dnia.

Opieka nad panią musiała się wydawać wówczas prośbieniem się o problemy, ale mimo to niemal od razu znalazła pani rodzinę.

Adoptowało mnie dwoje cudownych ludzi. Pierwszy raz zobaczyli mnie jeszcze, gdy byłam w szpitalu. Mama i tata zmagali się z niepłodnością przez 15 lat. Mam starszą siostrę, która też została adoptowana. Lekarze nie ukrywali przed rodzicami obaw na temat mojej przyszłości. Byłam zagrożona niepełnosprawnością. A jednak – jak mi to wielokrotnie powtarzali – zachowali się we mnie, gdy tylko mnie zobaczyli. Takie cuda sprawia tylko miłość.

W Nowym Meksyku działa znana klinika aborcyjna, która świadczy aborcje aż do porodu

Jaki fizyczny ślad pozostawiło to wszystko na pani zdrowiu? Kilka lat temu opublikowaliśmy w „Do Rzeczy” rozmowę z Gianną Jessen, która tak jak pani przeżyła aborcję w 1977 r. Trucie roztworem soli i przedwczesny poród spowodowały u niej m.in. porażenie mózgowe, z którym zmagają się do dziś.

To właśnie Gianna Jessen uświadomiła mi, że nie jestem sama. Ona pierwsza opowiedziała o przeżyciu aborcji. Ja jednak – i uważam to za autentyczny cud – jestem w pełni zdrowa i urodziłam dwoje dzieci.

Jak wyglądało w pani przypadku dochodzenie do prawdy?

Przez te wszystkie lata dowiadywałam się prawdy kawałek po kawałku. Zaczęło się, gdy miałam 14 lat – rodzice powiedzieli mi, w jakich okolicznościach przyszedłam na świat. Nie mogłam tego zrozumieć. Jak można nie chcieć dziecka? Teraz jednak jestem wdzięczna za to, że Bóg miał taki plan wobec mnie. Ludzie często pytają mnie: „Jak się wybacza coś takiego?”. Odpowiadam im: „A jak można tego nie wybaczyć?”. Bez przebaczenia nie da się wyleczyć ran.

Ponad 10 lat szukałam biologicznych rodziców. Dopiero w 2007 r. wpadłam na ich trop. Okazało się, że mieszkaliśmy wtedy w tym samym mieście, co mój biologiczny ojciec. Niestety, nie udało mi się z nim spotkać przed jego śmiercią. Jego rodzina znalazła jednak list, który mu wysłałam, odezwała się do mnie i stała się częścią mojego życia.

Zupełnie inaczej potoczyła się historia z pani matką.

W 2007 r. odnalazłam rodziców mojej biologicznej matki. Mój dziadek odpisał na mój list i poinformował mnie, że nie utrzymują relacji z moją matką... W związku z tym nie było szans, żeby przekazali jej mój list. Dopiero w 2013 r. udało mi się do niej dotrzeć. Przez blisko trzy lata poznawaliśmy się listownie. Dowiedziałam się wtedy, że to moja babka naciskała na dokonanie aborcji. Musiałyśmy zbudować relację, bo początkowo mi nie ufała. Nie dziwię się – została przecież skrzywdzona przez najbliższych. To mi uświadomiło, jaki skarb – bezwarunkową miłość – wyniosłam z domu. Spotkałyśmy się dwa lata temu. Jej córki, a moje siostry powiedziały mi, że zawsze wiedziały, iż nasza matka skrywa jakąś straszną tajemnicę. Jej życie pełne było wyrzutów sumienia. Niedawno powiedziała mi w dniu moich urodzin, że jej największym życiowym błędem było to, że nie uciekła wtedy ze szpitala i nie ochroniła mnie. Idąc na spotkanie z moją matką, byłam kłębkim nerwów. Tuż przed nim chciałam uciec. Jeszcze dziś ciężko mi o tym mówić. Takie momenty zmieniają życie na lepsze. Myślę, że moja matka nigdy nie wyjdzie z tej traumy. To, że przeżyłam, daje jej pewne ukojenie, ale ta rana nigdy się u niej nie zablizni.

Jak potoczyło się życie pani babki?

Ona już nie żyje. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak trudne musiało być jej życie po tym, co zrobiła. Nie ma dnia, bym się za nią nie modliła. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Mateusz P., zatrzymany dwa lata temu lider partii Zmiana, miał się angażować w działania propagandowe na rzecz Kremla. FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

Atakowani po kryjomu



Stanisław Żaryn

Dezinformacja w najbliższych latach będzie jednym z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego. Tym bardziej że Kreml wymiennie sięga po działania informacyjne, militarne czy polityczne

56

Rosja od lat prowadzi działania agresywne, poszerzając paletę używanych środków. Na bieżąco możemy obserwować działania kinetyczne Rosjan, które mają te same cele co dezinformacja. Zajęcie Krymu przez zielone ludziki, ataki hakerskie, operacje wpływu wymierzone np. w kulturę innych państw, działania stricte polityczne czy działania militarne, w tym stałe naruszanie przestrzeni powietrznej krajów NATO, przeplatają się wzajemnie i uzupełniają z operacjami propagandowymi.

Rosyjskie działania związane z wroгим wpływem na społeczeństwa Zachodu stały się w ostatnim czasie bardzo elastyczne, zaś ich podprogowy charakter sprawia, że są trudne do neutralizowania. Niemal symbolicznym przykładem może być budowa gazociągu Nord Stream 2. Chociaż energetyka pozostaje od dawna elementem nacisku politycznego i psychologicznego na kraje Europy Środkowej, zaś projekt NS2 wpisuje się w operacje wrogiego wpływu, wiele krajów Zachodu udaje, że tego nie widzi, i lansuje tezę, iż z Rosją w tej sprawie można rozmawiać

jak z normalnym demokratycznym krajem o normalnej gospodarczej inicjatywie. Ani jedno, ani drugie nie jest prawdziwe.

SZERZĄC CHAOS

Rosja od dawna udoskonala i stosuje podprogowe metody agresji politycznej, ale we współczesnych warunkach stają się one coraz bardziej niebezpieczne. Dzięki technologizacji komunikacji społecznej i ogromnej liczbie informacji wytwarzanych przez współczesną cywilizację autorzy operacji wrogiego wpływu są w stanie działać skutecznie, szerząc chaos i brutalną propagandę. Masowość komunikacji społecznej powoduje także, że współczesnym zagrożeniem jest formatowanie świadomości poszczególnych osób i wpływanie na nie tak, by w konsekwencji manipulować decyzjami całych narodów. Techniki oddziaływania informacyjnego są wykorzystywane przez Rosję właśnie w tym celu. Kampanie informacyjne czy polityczne przed takimi wydarzeniami jak brytyjskie referendum w sprawie brexitu, hiszpańskie referendum w sprawie niepodległości Katalonii, wybory we Francji, w Niemczech czy w Stanach Zjednoczonych stały się dla Rosji okazją, by zniekształcać procesy decyzyjne w krajach Zachodu.

Wyzwania związane z bezpieczeństwem informacyjnym jako elementem bezpieczeństwa państwa są widoczne i w Polsce. Jako kraj sąsiadujący z Rosją jesteśmy szczególnie narażeni na rosyjskie operacje. Wynika to nie tylko z powszechnego stosowania przez Kreml mechanizmów wrogiego oddziaływania, które staje się dla Rosji tzw. wojną zastępczą, lecz także ze sposobu postrzegania Polski.

Rosja uznaje Polskę za jedno z najbardziej wrogich państw. W ocenie władz Rosji nasz kraj stoi na przeszkodzie w relacjach z Europą Zachodnią, a także zwalcza wpływy rosyjskie w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Polska jest także postrzegana przez rządzącą Rosję elitę jako kraj mający potencjał realnego osłabienia integralności ideowej i terytorialnej Rosji. Takie podejście do naszego państwa determinuje wiele działań związanych z wrogimi operacjami wpływu organizowanymi przez Kreml.

Polskie służby specjalne mają dobre rozeznanie zagrożeń wynikających z rosyjskiej działalności. W ostatnich latach kontrwywiad ujawnił kilka przypadków tego typu operacji i zatrzymał zaangażowane w nie osoby. Operacje te prowadzone

były m.in. z udziałem osób narodowości rosyjskiej, podających się niejednokrotnie za dziennikarzy, polityków, ekspertów czy naukowców. Tylko w maju tego roku na wniosek ABW wydano lub objęto zakazem wjazdu na terytorium RP pięć osób, które brały udział w działaniach hybrydowych wymierzonych w Polskę.

AGENTURA WPLYWU

Z materiałów ABW wynika, że Anastazja Z., zatrzymana przez Straż Graniczną, była jedną z osób, które podejmowały aktywność wpisującą się w priorytetowe cele rosyjskich działań informacyjnych przeciwko Polsce. Kobieta prowadziła, na zlecenie czynników oficjalnych Federacji Rosyjskiej, kulturalne działania zmierzające do konsolidacji środowisk prorosyjskich w RP w zakresie kwestionowania i podważania polskiej polityki historycznej oraz zastępowania jej narracją rosyjską. Inspirowała również prorosyjskie środowiska do określonych zachowań leżących w interesie FR oraz przekazywała im do realizacji dyrektywy rosyjskich instytucji ściśle związanych z władzami tego kraju.

Rosja uznaje Polskę za jedno z najbardziej wrogich państw. W ocenie władz Rosji nasz kraj stoi na przeszkodzie w relacjach z Europą Zachodnią

Jekaterina C. uczestniczyła natomiast w próbach konsolidacji środowisk prorosyjskich w RP wokół dwóch aktualnie priorytetowych dla strony rosyjskiej celów działań hybrydowych realizowanych przeciwko Polsce – czyli podsywania animozji polsko-ukraińskich w sferze społecznej i politycznej oraz kwestionowania i podważania polskiej polityki historycznej. Aktywność ABW dotycząca tych osób to efekt realizowanych przez Agencję działań neutralizujących dwie struktury sieciowe biorące udział w rosyjskiej wojnie hybrydowej i informacyjnej prowadzonej przeciwko RP.

Służby w naszym kraju coraz lepiej i częściej podejmują działania dotyczące wrogiego oddziaływania. W 2017 r. szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wnioskował o wydalenie z Polski Dmitrija K. Rosyjski historyk oficjalnie pracujący

dla jednego z rosyjskich instytutów naukowych, a w Polsce prowadzący działalność akademicką, był w rzeczywistości organizatorem kampanii wrogiego wpływu przeciwko Polsce i miał kontakty z rosyjskimi służbami specjalnymi. ABW zidentyfikowała go jako człowieka, którego działania były elementami działań hybrydowych. Z materiałów ABW wynika, że K. miał liczne kontakty w środowisku akademickim, w szczególności wśród historyków, a także dziennikarskim. Wynajdywał osoby, które mają prorosyjski punkt widzenia, i proponował im współpracę naukową z rosyjskimi instytucjami, wyjazdy na zagraniczne konferencje czy międzynarodowe publikacje. Z czasem osoby współpracujące z K. były instruowane, co mają mówić, by prezentować rosyjski punkt widzenia. K. prowadził również działania mające na celu inspirowanie kampanii informacyjnych wymierzonych w polskie interesy, m.in. obliczone na podgrzewanie relacji polsko-ukraińskich czy też podsywanie sprzeciwu wobec ustawy, która pozwala na demonstrowanie pomników sowieckich żołnierzy okupujących Polskę po II wojnie światowej. Z inicjatywy K. podejmowane były realne działania mające na celu zdyskredytowanie polskich władz, zarówno w polskich, jak i w zagranicznych mediach. Mężczyzna został wydany z naszego kraju.

Działania związane z wrogiem wpływem miał również prowadzić zatrzymany przez ABW w 2016 r. Mateusz P. Chciał on budować w Polsce prokremlowską partię Zmiana. Z materiałów śledztwa wynika, że działalność P. była finansowana przez Rosję, zaś P. miał się m.in. angażować w działania informacyjne i propagandowe korzystne dla Kremla. Wcześniej podejmował on już podobną aktywność, wizytując choćby rejon okupowanej przez Rosję Ukrainy i legitymizując okupację Krymu. Analiza działań P. pozwala na postawienie tezy, że budowanie przez niego partii było próbą utworzenia w Polsce prorosyjskiego lobby, które miałoby swoje zaplecze w postaci formacji politycznej. Prowadzona na szkodę polskich interesów wroga działalność została przerwana przez ABW. Obecnie Mateusz P. czeka na rozpoczęcie procesu. Jest oskarżony o współpracę z rosyjskim oraz chińskim wywiadem.

Dzięki służbom udało się osądzić Stanisława Sz., który współpracował z rosyjskimi służbami specjalnymi. Ten adwokat z polskim i rosyjskim obywatelstwem został skazany za współpracę z rosyjskimi służbami, dla których



Funkcjonariusze ABW eskortują mężczyznę podejrzanego o spisek na rzecz Rosji. FOT. KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM

■ zdobywał m.in. informacje dotyczące polskiej energetyki. Poza zdobywaniem informacji wrażliwych prowadził on również „rozpoznanie” środowiska dziennikarskiego, werbował do współpracy inne osoby, a także inspirował artykuły o korzystnym dla Rosji wydźwięku. Przez jego aktywność doszło do publikacji materiałów opisujących w sposób typowo prorosyjski inwestycje kluczowe z punktu widzenia polskiej energetyki.

ENERGETYKA I NATO

Wymienione powyżej wrogie działania informacyjne to jedynie kilka przykładów pokazujących, że wojna informacyjna z Polską trwa. Każda z tych historii dowodzi, że za akcjami wymierzonymi w nasz kraj stoją rosyjskie służby, które pozostają bardzo aktywne na kierunku zachodnim.

Wśród tematów szczególnie ważnych z rosyjskiego punktu widzenia warto wskazać:

- projekty energetyczne, które budują polską niezależność energetyczną. Wysiłki rosyjskie zmierzają do neutralizacji działań polskich władz, które poprawiają polską sytuację energetyczną. Dowodzi tego choćby poszukiwanie przez Rosjan takich osób jak Marek W., urzędnik w jednym z resortów gospodarczych, który – jak wynika z materiałów ABW – przekazywał rosyjskiej służbie wywiadowczej informacje o polskich projektach energetycznych. W. oczekuje obecnie na proces;
- obecność sił sojuszniczych na terenie Polski, a także relacje z USA i z NATO. Obecność sił sojuszniczych w Polsce

i w innych krajach Europy Środkowo-Północnej jest z punktu widzenia rosyjskiego osłabieniem możliwości oddziaływania na Europę. Rosyjska propaganda próbuje i będzie próbowała podsycać emocje związane z obecnością sił NATO w Polsce. Rozbijanie jedności sojuszników NATO jest jednym z kluczowych działań Rosji wymierzonych w cały świat Zachodu. Do działań wymierzonych w relacje Polski z NATO i USA wykorzystywane są

Polska ma potencjał do zwalczania rosyjskich wpływów w Europie. Ukazanie nas jako kraju niewiarygodnego jest więc dla Rosji celem strategicznym

m.in. prorosyjskie portale stale szerzące dezinformację w polskiej przestrzeni medialnej;

- modernizacja wojska. Działania mające na celu wzmocnienie i unowocześnienie Wojska Polskiego są dla Rosji powodem do wrogich działań propagandowych. Rosja stara się osłabiać morale polskich żołnierzy, atakować politykę wojskową i jej liderów, a także osłabiać możliwości modernizacji armii;
- polityka historyczna. Dla Rosji polityka historyczna jest jednym z moralnych filarów uzasadniających posunięcia współczesnych decydentów na Kremlu. Mit związany z udziałem Kremla w II woj-

nie światowej jest wykorzystywany do legitymizowania imperialnych zapędów Moskwy. Na tej kłamliwej narracji Rosja stara się budować zgodę świata na prowadzoną przez siebie politykę imperialną, a także na decydowanie przez Kreml o losach wielu regionów na świecie;

– współpraca regionalna Polski. Kontakty Polski z krajami sąsiednimi są dla Rosji potencjalnym zagrożeniem, ponieważ mogą prowadzić do powstania spójnego bloku państw patrzących podobnie na rosyjskie zagrożenie. Nagłaśnianie, wykorzystywanie czy wręcz inspirowanie napięć na linii Polska – Ukraina i Polska – Litwa staje się dla Rosji ważnym elementem siania chaosu i niszczenia potencjalnie groźnych dla Kremla tendencji w Europie Środkowej. W ostatnim czasie szczególnie widoczne są działania mające na celu rozbić możliwości współpracy Polski i Ukrainy. W praktyce ma to umożliwić Rosji dalsze sianie chaosu na Ukrainie i destabilizowanie Europy;

– wizerunek Polski. W rosyjskim zainteresowaniu pozostaje również wizerunek naszego kraju. Działania rosyjskie skupiają się na pokazaniu Polski jako kraju rusofobicznego, który nie kieruje się racjonalizmem w polityce międzynarodowej. Walka z wizerunkiem Polski jest dla Rosji bardzo ważna, ponieważ jako największy kraj Europy Środkowej mamy potencjał do zwalczania rosyjskich wpływów w Europie. Jeśli Moskwie uda się pokazać, że Polska jest niewiarygodna, że nie warto jej słuchać, to przestaniemy mieć możliwości oddziaływania na inne państwa w obszarach kluczowych dla interesów Moskwy. Ukazanie Polski jako kraju niewiarygodnego jest więc dla Rosji celem strategicznym.

Rosja ma w Polsce sporo aktywów i jeszcze więcej interesów do ugrania. W związku z polskim potencjałem i możliwościami oddziaływania walka z polskimi interesami jest istotna dla Rosji w kontekście polityki europejskiej Kremla. Dlatego do tej sprawy podchodzi niezwykle poważnie. Rosja jest obecnie na tyle mocna, by starać się przeszkadzać i mieszać w polską politykę. Świadomi zagrożenia muszą być decydenci i urzędnicy, a także wszyscy Polacy. Dzisiaj to narody stały się celem rosyjskich ataków. Świadomość społeczeństw to jeden z wielu warunków skutecznej obrony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest rzecznikiem ministra koordynatora służb specjalnych.



**Z Tomaszem Kaźmierowskim,
biznesmenem i inwestorem, o Rosji**
rozmawia Maciej Pieczyński

W kraju mundialu

MACIEJ PIECZYŃSKI: Wielu turystów przyjechało na mundial do Rosji. Pan zna lepiej ten kraj. Czy coś w nim pana pozytywnie zaskoczyło?

TOMASZ KAŹMIEROWSKI: To, że pomimo tragedii komunizmu, który panował w Rosji znacznie dłużej i miał nieporównanie cięższy charakter niż w Polsce, to jednak prowincja rosyjska – tzw. głubinka – zachowała bardzo wiele tradycyjnych, pierwotnych cech, o których na Zachodzie można jedynie przeczytać w źródłach historycznych czy etnograficznych. Rosjanie na wsi i w małych miasteczkach wciąż kultywują pewne zwyczaje, postawy i wartości, w naszej cywilizacji traktowane już jako relikty.

Czyli konkretnie?

Rosjanie na prowincji mają ogromny dystans do bieżących wydarzeń politycznych, nie utożsamiają się z władzą. A trzeba pamiętać, że mieszkańcy wsi, małych miasteczek, dawnych kołchozów stanowią ok. 70 proc. społeczeństwa. Ogromna większość Rosjan jest wykluczona z tego, co można nazwać wzrostem gospodarczym. Oczywiście w ostatnich latach Rosję gnębi kryzys, ale jednak od początku rządów obecnej ekipy, w porównaniu z fatalnymi latami 90., wiele zmieniło się na lepsze, i w tej skali można mówić o rzeczywistym sukcesie. Natomiast te blisko 70 proc. społeczeństwa praktycznie nie uczestniczy w konsumpcji owoców tego boomu. Nie stać ich na kupno luksusowych czy nawet

tych bardziej podrzędnych produktów zachodnich marek, które pojawiły się także na półkach sklepów na prowincji. W „głubince” wciąż konsumpcja opiera się na tym, co wyprodukował okoliczny kołchoz lub na tym, co po nim zostało i przetrwało czasy transformacji. Zaskakujące jest to, że pomimo forsownego, totalnego uprzymysłowienia, jakie wymusiła ideologia bolszewicka po trupach milionów ofiar, tak wielu Rosjan na wsi żyje nawet nie tyle z rolnictwa, ile z przydomowych hodowli, drobnych przedsięwzięć, a także ze zbieractwa – z owoców lasu. To wynika częściowo z biedy, częściowo z wielowiekowych zwyczajów. Przeżyłem szok, kiedy odwiedzając cmentarz polskich oficerów w Miednoje, spotkałem tam mnóstwo kobiet, które między grobami zbierały grzyby, jagody. Podchodziły do mnie i przeproszały, tłumaczyły, że nie chcą obrażać niczyjej pamięci, ale okazuje się, że właśnie tam, gdzie leżą Polacy, wyjątkowo obrodziło owocami lasu...

Jakich atrakcji na rosyjskiej prowincji może doświadczyć turysta?

Przed wszystkim polecam posmakować rosyjskiej kuchni, poznać specyficzną, trochę dalej posuniętą niż w Polsce gościnność. Z pewnością warto skorzystać z prawdziwej rosyjskiej bani.

Czyli – nieco upraszczając – zażyć sauny po rosyjsku.

Dzisiaj Rosjanie często budują sobie fińskie sauny, ponieważ są proste w konstrukcji. Natomiast prawdziwa rosyjska bania to drewniana szopa nad jeziorem czy rzeką. Jest to sauna wilgotna. Temperatura nie może być tam tak wysoka jak w fińskiej, gdyż sama wilgotność powietrza powoduje, że już przy 45–50 st. C trudno wytrzymać. Osobiście polecam! Wrażenia dużo przyjemniejsze niż w przypadku suchej sauny. Nieprzypadkowo banię buduje się nad akwenem. Żeby się ochłodzić, schodzi się pod wodę, na specjalnie przygotowanej drabince. I to niezależnie od tego, czy jest lipiec i plus 35 stopni, czy styczeń i minus 35 stopni – zimą otwiera się przerębel.

Rosjanie są zahartowani – w końcu tradycyjnie w święto Jordanu kąpią się w przeręblu.

Tak, taka kąpiel to niesamowite przeżycie. To jednak tylko pewien namacalny szczegół. Generalnie rzecz biorąc, rosyjska prowincja nie jest tym rodzajem atrakcji jak Prowansja czy Toskania, to nie jest kraina, której można momentalnie doświadczyć wszystkimi zmysłami. W Rosji trzeba trochę pobyc, właśnie na prowincji, w oderwaniu od bieżącej sytuacji politycznej, by ją poczuć i zrozumieć.

Poza prowincją i szlazierami, takimi jak Moskwa, Petersburg czy Kolej Transsyberyjska, jakie atrakcje w Rosji poleca pan polskiemu turystyce?

Polecam szczególnie cuda natury. Trzeba zobaczyć takie miejsca, jak Ałtaj, Bajkał, Kamczatka, Ural, błota nad Peczerą... To miejsca niedoceniane, o walorach niespotykanych w Europie. Zachwycamy się kanadyjską tajgą, podczas gdy półtorej godziny lotu od Warszawy możemy doświadczyć podobnych, równie fascynujących krajobrazów, miejsc nietkniętych przez cywilizację i zachodnią technologię, dziewiczych, spokojnych. Tam można po prostu odpocząć od świata. Rosja jest rajem dla turystów, którzy lubią być jak najbliżej nietkniętej ludzką ręką przyrody. Poza tym fascynujący jest świat ludów Północy, zamieszkujących obszar od Archangielska do Kamczatki. Komuniści próbowali ten świat zniszczyć, na szczęście nieskutecznie.

To piękno natury. A co z kulturą?

Niestety, ale Rosja, podobnie jak zresztą większość krajów Europy Wschodniej, w tym także Polska, nie może konkurować ze światem Zachodu, jeżeli chodzi o zabytki. Kultura materialna została

■ praktycznie zniszczona przez działania wojenne i totalitaryzm, które przez ostatnie stulecie nękały ten obszar. Oczywiście w galeriach Moskwy czy Petersburga znajdziemy wspaniałe obrazy, ale to bardzo skromne w porównaniu nie tylko z paryskim Luwrem czy madryckim Prado, lecz także z licznymi regionalnymi galeriami Europy. Trzeba mieć świadomość, że ani Moskwa nie jest trzecim Rzymem, ani Petersburg nie jest drugą Wenecją, ani nawet drugą Lubeką. Za to współczesne życie kulturalne kipi, jest bardzo interesujące – w dużych miastach Rosji prężnie działają dobre teatry.

No właśnie: z polskiej perspektywy patrzymy często na Rosjan jak na agresywnych prymitywów. Tymczasem, jak stwierdził pan w jednym z wywiadów – a ja ze swojego doświadczenia tę tezę potwierdzam – Rosjanie bardzo dużo czytają. Upraszczaając: tak jak my, Polacy, interesujemy się głównie polityką, tak oni (nie mając zresztą na politykę większego wpływu) patrzą na świat raczej przez pryzmat kultury.

Tak, to prawda. Co jednak ciekawe, akurat najmniej z wytworów współczesnej kultury rosyjskiej korzystają ci, którzy są beneficjentami wzrostu gospodarczego. Tak zwani nowi ruscy – bogaci biznesmeni, którzy dorobili się w okresie przemian ustrojowych – snobują się na zachodnią popkulturę i jej rosyjskie, niezbyt udane, kopie. Konsumentem rosyjskiej kultury jest z reguły zubożała, miejsca inteligencja.

Wspominał pan o niezwyklej rosyjskiej gościnności. Na czym ona polega?

Ta gościnność objawia się przede wszystkim w gotowości spędzenia sporej ilości czasu, aby pomóc przyjezdnemu. Rosjanin, zapytany przez turystę, jak dotrzeć w takie czy inne miejsce, potrafi poświęcić kilka godzin, żeby np. zaprowadzić go w to miejsce, choćby to było na drugim końcu miasta. Jednak także w tym przypadku można doświadczyć wspomnianej już niechęci zwykłych Rosjan do głównego nurtu. Doradzając cudzoziemcowi, np. gdzie wynająć pokój, zasugerują te miejsca, z których sami woleliby skorzystać. Zaproponują więc nocleg u sąsiada czy kolegi, o którym wiedzą, że jest „swoi”, uczciwy i oferuje dobre warunki. Jednak już bardzo niechętnie skierują turystę do drogiego hotelu, który wybudował jakiś przyjezdny kacyk czy oligarcha, bo mają o nim złe zdanie, uważają, że jest człowiekiem niegodnym zaufania. Krótko mówiąc: doradzając



Polscy kibice na Placu Czerwonym w Moskwie

FOT. ALEKSJEW WITWICKI/FORUM

przyjezdnemu, będą bazować na własnych doświadczeniach.

Mam podobne wspomnienia z wyjazdów do Rosji. Można jednak zauważyć, że ta słynna wręcz gościnność łączy się czasem z poczuciem wyższości wobec obcych. Czyli w skrócie: „Nieba ci przychylił, pomożemy we wszystkim, tylko nie próbuj nas pouczać, nie próbuj z nami rozmawiać o Rosji, bo wy z Zachodu i tak nic nie wiecie”. Doświadczył pan czegoś takiego?

Wiem, o czym pan mówi, spotykałem się z takimi sytuacjami. Trzeba jednak pamiętać, że ostatnie sto lat nauczyło Rosjan głębokiej nieufności. Niechętnie dzielą się z cudzoziemcami własnym zdaniem, bo mają w pamięci, czym jeszcze nie tak dawno kończyła się szczerść w rozmowach choćby o polityce... Mogą być bardzo spontaniczni, życzliwi i uczynni, natomiast w większości przypadków nie otworzą się przed obcym,

gdyż nie wiedzą, na kogo lub na co ten człowiek trafi jutro lub pojutrze.

A może chodzi też o dumę narodową, która w Rosjanach jest dużo silniejsza niż choćby w Polakach?

Odbudowa dumy narodowej jest jednym z największych sukcesów obecnej rządzącej ekipy na Kremlu. Ekipa Putina prowadzi bardzo konsekwentną, wielopoziomową nie tylko propagandę, lecz także miękką komunikację na modłę zachodnią, ugruntowując w swoim przekazie obraz Rosji jako rodzaju obłożonej twierdzy. Nawet nie tyle do świadomości, ile do języka zwykłych Rosjan trafia narracja o agresywnym Zachodzie. Tego typu retoryka w ich ustach często jest nie tyle szczerym wyznaniem dumy narodowej, ile rytualnym powtarzaniem poprawnych politycznie sloganów, które po prostu wypada głosić.



O Polsce i Polakach rosyjskie media mówią rzadko, a jeśli już – to negatywnie. A jak zwykli Rosjanie? W ich oczach jesteśmy „zdrajcami Słowiańszczyzny”, „awangardą rusofobii” czy „psami łańcuchowymi USA”?

Jest wiele uprzedzeń, ostrożności wobec zachodnich Słowian, którzy wybrali katolicyzm i Amerykanów zamiast „ruskiego świata”...

Na ile te uprzedzenia są szczere, a na ile są, jak już pan sugerował, „pustymi sloganami” wdrukowanymi przez propagandę?

Paradoks polega na tym, że akurat ci, którzy nie mają pojęcia o zagranicy, którzy mają kłopoty z pracą, żyją w biedzie na prowincji, całą swoją wiedzę o świecie czerpią z propagandy rządowej. Natomiast ci, którzy dorobili się na przemianach, którzy znają języki, jeżdżą po świecie, traktują Zachód nie tyle jak wroga, ile jak konkurenta.

Mieszkający w Polsce rosyjski dramaturg Iwan Wyrpajew stwierdził, że Rosjanin najpierw bierze do ręki siekiere, potem Ewangelię. Na ile ta metafora wydaje się panu trafna?

Na pewno można mówić o typowej dla Rosjan surowości i bezceremonialności. Czasem, załatwiając jakieś sprawy z Rosjaninem, możemy poczuć się potraktowani impertynencko, podczas gdy on jest przekonany, że traktuje nas najnormalniej w świecie. Poza tym – co wiąże się z już wspomnianą dumą narodową – oni bardzo źle znoszą porównania. Gdy cudzoziemiec w rozmowie z rosyjskim urzędnikiem czy policjantem używa argumentu w stylu: „A u nas, na Zachodzie, to jest tak i tak”, to w odpowiedzi zwykle słyszy bardzo zdecydowaną ripostę: „Może u was jest tak, ale jesteśmy w Rosji i u nas jest inaczej!”.

W wywiadach podkreśla pan, że Rosjanie potrafią świetnie się bawić, tak jakby jutra miało nie być. Znajoma Rosjanka, mieszkająca w Polsce z rodziną, opowiadała, że w Polsce jej mąż – z natury zazdrośnik – bez żadnego problemu pozwala jej wychodzić wieczorem z kolegami. Uważa bowiem, że polscy mężczyźni w porównaniu z rosyjskimi są nieśmiali i nie potrafią podrywać. Z kolei rosyjskie kobiety uwielbiają kokietować. Jesteśmy nudziarzami w porównaniu z nimi?

Rosjanie znacznie rzadziej przestrzegają zasad *savoir-vivre*’u. Podchodzą do siebie w sposób naturalny, beceremonialny, nawet jeśli bywa to podszyte oportunistycznym motywami. Zagłada inteligencji i dekady komunizmu doprowadziły do upadku obyczajów, lecz paradoksalnie uchylły drzwi dla wzorców zachodnich, tak jak i dla resztek kultury tradycyjnej oraz dla mniejszości etnicznych.

Co pana negatywnie zaskoczyło w Rosji?

Poraziła mnie w Rosjanach dojmująca, niemal wszechobecna fascynacja cywilizacją niemiecką – nie tylko niemiecką technologią, lecz także żelazną konsekwencją, generalnie mentalnością naszych zachodnich sąsiadów. To ciekawe, że ta germanofilia jest tak mocno zakorzeniona, choć przecież jednocześnie Rosjanie mają wielką traumę po II wojnie światowej.

Żył pan w Rosji przez cztery lata. Udało się panu zgłębić mityczną tajemnicę rosyjskiej duszy? A jeśli tak, to może ją pan wyjawi?

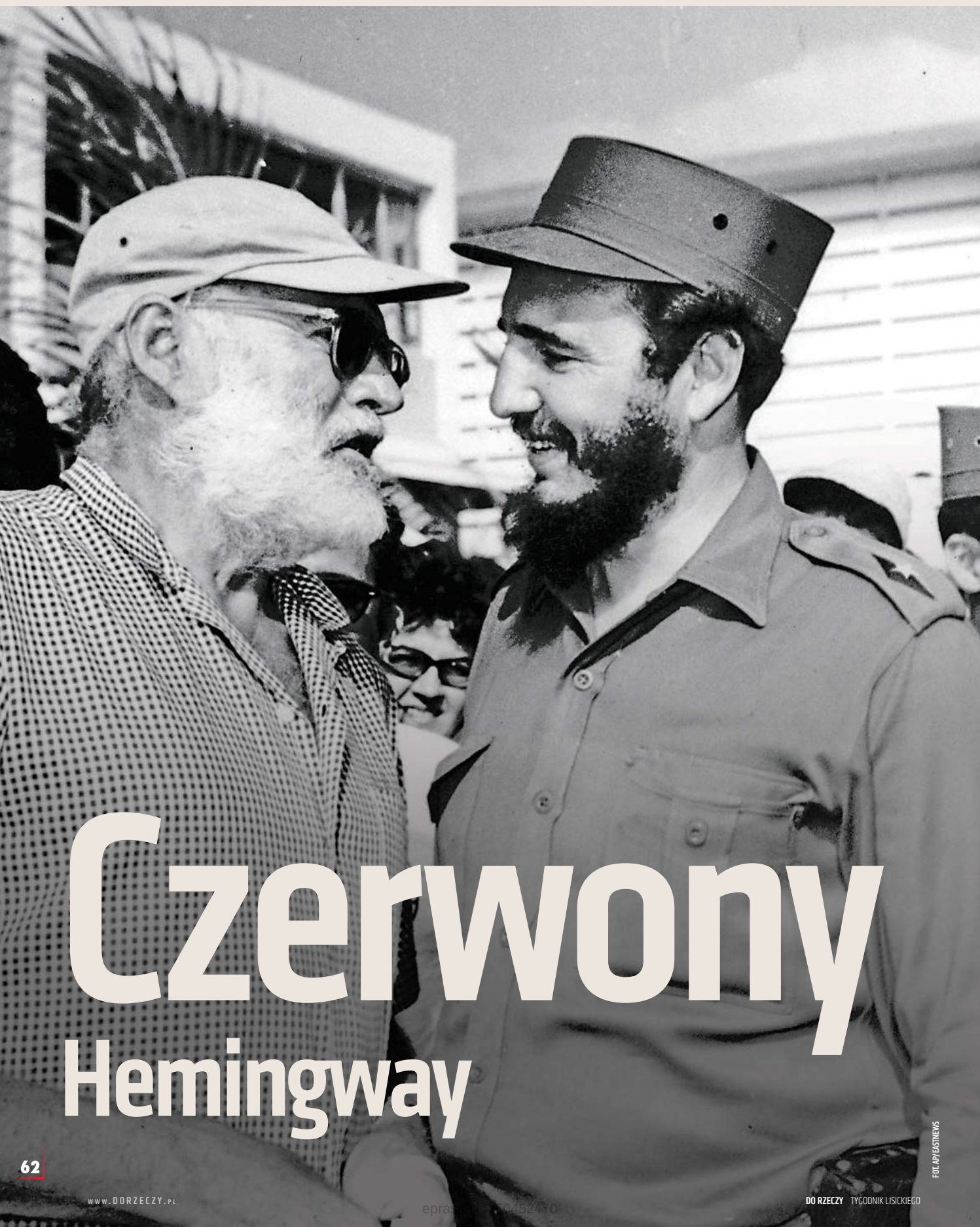
Nie odważę się. Natomiast powołałam się na autorytet Josepha Conrada, który uważał – moim zdaniem słusznie – że to, co dla ludzi Zachodu jest tak bardzo niezrozumiałe i tajemnicze w rosyjskiej duszy, to „depresja, poczucie beznadziejności”. Chciałbym jednak zakończyć optymistycznym akcentem: obecnie coraz więcej młodych Rosjan studiuje na uczelniach zachodniego świata. Nigdy w historii tak wielu nie uczyło się na Zachodzie. Oni wracają i będą mieć rosnący wpływ na dalszą ewolucję rosyjskiej cywilizacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Kaźmierowski

– inwestor i pisarz. Kilka lat spędził w Moskwie, pracując w zarządzie jednego z rosyjskich banków. Założyciel Fundacji *Identitas*.



Czerwony Hemingway



Piotr Zychowicz

Najpopularniejszy pisarz Ameryki był agentem NKWD o pseudonimie Argo

Zjawisko pożytecznych idiotów jest doskonale znane i rozpoznane. O zachodnich intelektualistach gloryfikujących Związek Sowiecki napisano opasłe tomy. Nie było takiej obrzydliwości, jakiej ludzie ci nie byli w stanie napisać. Wychwalali „zdobycze rewolucji”, usprawiedliwiali bestialskie akty ludobójstwa, z premedytacją kłamali na temat warunków panujących w „raju robotników i chłopów”. Rzucali się do gardła każdemu, kto miał odwagę powiedzieć prawdę o GUŁagu czy Katyniu.

Gdy dziś wspomina się o pożytecznych idiotach, na ogół padają te same nazwiska. George Bernard Shaw, Jean-Paul Sartre, Louis Aragon, Romain Rolland. Czasami można odnieść wrażenie, że prosowieckie nastawienie występowało tylko wśród elit intelektualnych Wielkiej Brytanii i Francji. To nieprawda. Najlepszym dowodem jest Ernest Hemingway. Pisarz uważany za piewę amerykańskich wartości: męskiej przygody, heroizmu, życiowej uczciwości i pomocy najsłabszym.

Wydana właśnie książka historyka CIA, prof. Nicholasa Reynoldsa, „Towarzysz Hemingway” rzuca nowe światło na „ulubionego pisarza Ameryki”. Jest to światło o kolorze czerwonym.

REWOLUCJA W HISPANII

Wszystko zaczęło się w połowie lat 30. Bolszewicy nie mogli nie dostrzec wschodzącej gwiazdy amerykańskiej literatury. Młodego pisarza, który szturmem zdobył rynek czytelniczy. A jednocześnie nie ukrywał swoich postępowych poglądów i sympatii do klasy pracującej. O ówczesnych poglądach Hemingwaya najlepiej świadczy to, że pisarz podjął współpracę z marksistowskim pismem „New Masses”, uznawanym za nieformalny organ Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych.

W 1935 r. o istnieniu Hemingwaya po raz pierwszy dowiedzieli się czytelnicy sowieccy. Jedno z partyjnych wydawnictw wydrukowało zbiór jego

opowiadań. Połechtalo to próżność twórcy, przed którym otworzył się nowy, olbrzymi rynek. Nie wiedział jednak, że jednocześnie oficerowie bezpieki założyli mu teczkę. Gracze urzędujący na Łubiance uznali go za obiecującą figurę, którą w przyszłości będzie można wykorzystać. „Hemingway – pisze Reynolds – pojawił się na radarze NKWD”.

Okazja do przejścia do działania nadarzyła się już wkrótce. W 1936 r. w Hiszpanii wybuchła wojna domowa. Generał Francisco Franco wypowiedział posłuszeństwo skrajnie lewicowemu rządowi i postanowił bronić swojej ojczyzny przed „dobrodziejstwami” rewolucji.

Bolszewicy postanowili wesprzeć swoich hiszpańskich braci. A jednym z frontów walki z „faszyzmem” miały być łamy prasy. Chodziło o przekonanie światowej opinii publicznej, że zwolennicy Franco to „zbrodniczy reakjoniści”, a hiszpańscy komuniści to „szlachetni bojownicy wolności”. Idealnym kandydatem do wypełnienia tej misji w Ameryce był Ernest Hemingway. Popularny pisarz, cieszący się zaufaniem rodaków.

Jak wspominał rezydent NKWD w Madrycie, mjr Aleksander Orłow, sowieckie tajne służby wykorzystały swoje zakulisowe kontakty, aby zainspirować nowojorską agencję prasową North American Newspaper Alliance do podpisania kontraktu z pisarzem. Hemingway z ramienia NANA pojechał jako korespondent wojenny do Hiszpanii.

Aby jego artykuły były zgodne z linią partii, pisarzowi przydzielono opiekuna. A raczej komisarza politycznego. Był nim holenderski komunista Joris Ivens. Miał on zapewnić, by Hemingway spotykał odpowiednich ludzi i widział odpowiednie rzeczy. Ivens prowadził również z Amerykaninem długie rozmowy, w których indoktrynował prozaika. Pełen entuzjazmu, naiwny jak dziecko Hemingway chłonał bolszewicką propagandę jak gąbka.

Nawet nie udawał, że jest obiektywnym dziennikarzem. Uważał, że swoim piórem bierze udział w wojnie sił postępu z faszyzmem. Generała Franco uznawał za „skurwysyna pierwszej wielkości”. Wzorem do naśladowania byli zaś dla niego bojownicy z komunistycznych Brygad Międzynarodowych.

Pisarz nie ograniczał się tylko do pisania płomiennych artykułów i pełnych pasji relacji z frontu „walki z faszyzmem”. Wziął udział w nakręceniu dwóch topor-

nych filmów propagandowych „Hiszpania w ogniu” i „Ziemia hiszpańska”. Obie obrazy raziły swoją tendencyjnością i niewiele różniły się od ordynarnych sowieckich produkcyjniaków. Były zresztą na nich wzorowane.

„Hemingway zauroczył się komunistycznymi bojownikami i artystami” – pisze Reynolds. Wkrótce pisarz zaczął utożsamiać się ze „sprawą” do tego stopnia, że atakował tych dziennikarzy, którzy chcieli ujawnić światu zbrodnie czerwonych. Ofiarą rewolucyjnego wzmoczenia pisarza padł m.in. jego amerykański kolega po piórze John Dos Passos. Rozczarowany do rewolucji postanowił opuścić Hiszpanię i poinformować świat o zamordowaniu przez komunistów prof. José Roblesa.

Ivens prowadził z Hemingwayem długie rozmowy, w których indoktrynował prozaika. Pełen entuzjazmu, naiwny jak dziecko pisarz chłonał bolszewicką propagandę jak gąbka

„Rozjuszony jak byk Hemingway przybiegł na peron kolejowy i rzucił się na Dos Passosa.

– Nie pieprz o swobodach obywatelskich! – krzyknął do kolegi po piórze.

– Jesteś z nami czy przeciwko nam?!

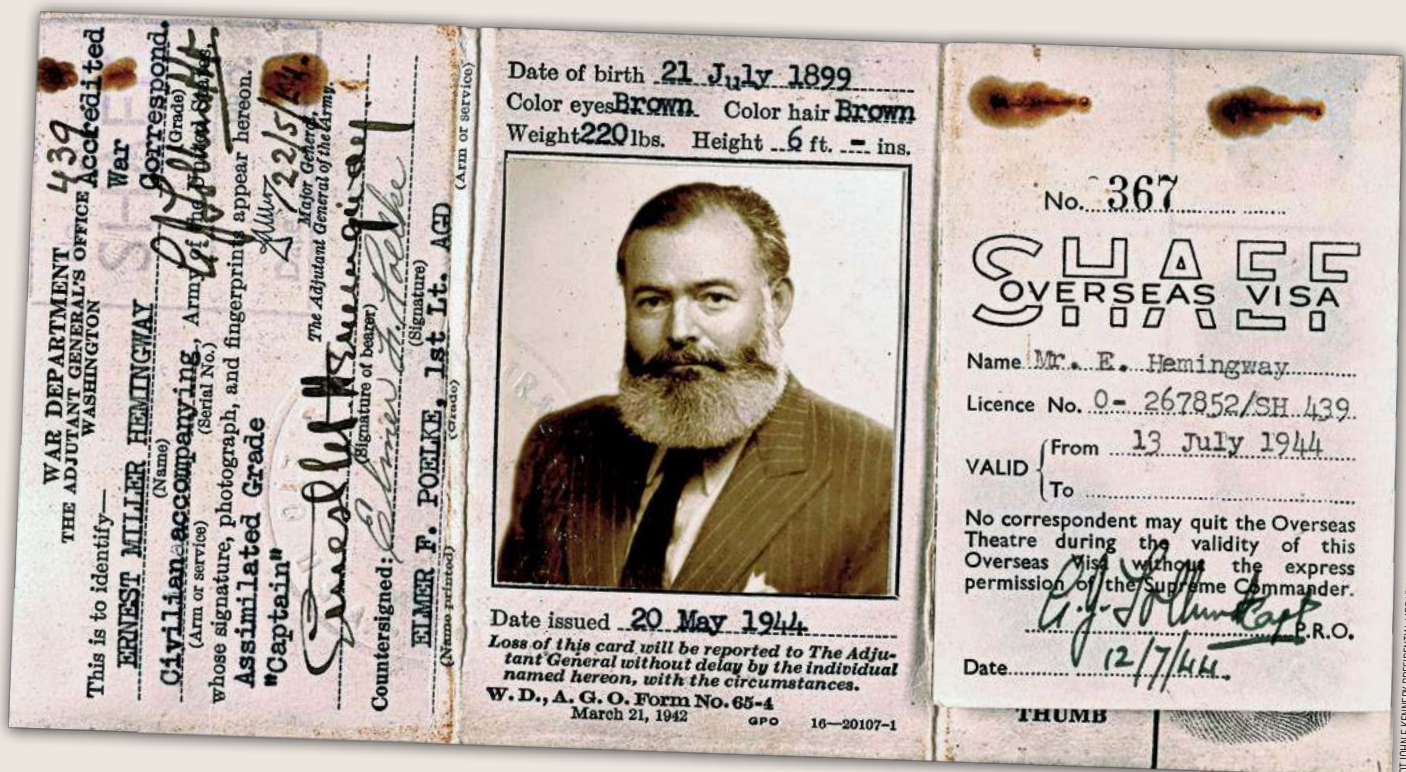
– Napiszę to, co muszę – odparował spokojnie Don Joss.

– Zrób to, a będziesz skończony! – wrzasnął Hemingway, podkładając mu zaciśniętą pięść pod nos. – Krytycy w Nowym Jorku cię ukrzyżują!”

W OBOZIE NKWD

Już wówczas Hemingway nawiązał kontakty z NKWD. Stało się to w słynnym madryckim hotelu Gaylord, sowieckiej kwaterze głównej w Hiszpanii. Amerykanin został w niej przyjęty z honorami. Suto zakrapianym obiadem podjął go sam mjr Orłow. Co ciekawe, obaj panowie raczyli się polską wódką Baczewski.

Hemingway odwiedził obóz szkoleniowy NKWD, po którym oprowadzał go Leonid Eitingon, pozbawiony skrupułów i hamulców moralnych czekista, którego specjalnością było tropienie i mordo-



wanie wrogów Stalina. Amerykański pisarz dołączył do sowieckiej operacji dywersyjnej – wykolejenia pociągu. A gdy znalazł się na froncie, brał udział w walce przeciwko frankistom. Hemingway złamał w ten sposób kardynalną zasadę przyświecającą korespondentom wojennym całego świata.

Hemingway nie mógł nie dostrzegać, że hiszpański obóz republikański został całkowicie opanowany przez Sowietów. Że bolszewicy stosują w Hiszpanii krwawy masowy terror. Przysmykał jednak na to oko, wychodząc z założenia, że tylko bolszewicy mogą zaprowadzić wśród republikańców niezbędną dyscyplinę. Wygląda na to, że bezkompromisowość i brutalność komunistów imponowały mu.

Po kilka lat w 1947 r. Hemingway w liście do przyjaciela przyznał, że wiedział „o ludziach, których zastrzeliliśmy (!) w Hiszpanii, często niesłusznie”. Wszystko to jednak – jego zdaniem – było konieczne, aby powstrzymać „faszyzm” i utorować drogę rewolucji. Jak mówił towarzysz Lenin, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Latem 1938 r. doszło do rzeczy zdumiewającej. Otóż Hemingway napisał z Hiszpanii korespondencję do... moskiewskiej „Prawdy”. Tak, to nie pomyłka. Amerykanin podjął współpracę z „Prawdą”. Najbardziej kłamliwą i obrzydliwą gazetą w historii ludzkości. Jaki był ten tekst? Wystarczy napisać, że niewiele

różnił się od pozostałych materiałów wydrukowanych na tych łamach.

Według Nicholas Reynoldsa pisarz w Hiszpanii nie zachowywał się jak dziennikarz, ale jak „republikańska cherleaderka”. W swoich artykułach nigdy nie informował o zbrodniach dokonywanych przez czerwonych, za to wyolbrzymiał zbrodnie frankistowskie. Nigdy nie przedstawiał racji i argumentów drugiej strony. Zrobił to tylko raz, bardzo niechętnie i na wyraźne żądanie wydawcy.

Jednocześnie potrafił zerwać współpracę z redakcją gazety, która ośmieliła

Celem było zachowanie Frontu Ludowego w walce z faszyzmem. Jego artykuły przypominały bardziej propagandę niż reportaż.”

Wszystko to znalazło odzwierciedlenie w twórczości Hemingwaya. Dobrym przykładem może być sztuka teatralna „Pięta kolumna”, która jest apoteozą szpiclowania i donosicielstwa. Jej bohaterem jest komunista, który tropi w Madrycie „wrogów ludu”. Zdemonstrowanych „faszystowskich szpiegów” wydaje w ręce bezpieki. Podobny klimat ma opowiadanie „Denuncjacja”.

Znacznie bardziej umiarkowana była słynna powieść „Komu bije dzwon”, którą Hemingway napisał po powrocie z Hiszpanii. Ale i tu nie obyło się bez sowieckiej propagandy. Amerykański pisarz zawarł w niej m.in. sfabrykowaną przez bolszewików historię o „tajemniczym zaginięciu” szefa hiszpańskiej Robotniczej Partii Marksistowskiej Unifikacji (POUM) Andrésa Nina. W rzeczywistości Nin został uznany za trockistę, uprowadzony i zamęczony przez NKWD.

AGENT „ARGO”

Jak wiadomo, bolszewizm poniósł w Hiszpanii sromotną klęskę. Hiszpanie obronili swoją niepodległość przed zakusami Stalina. Generał Franco zatriumfował. Wywołało to frustrację Hemingwaya, który po powrocie do Ameryki był

Hemingway poszedł na współpracę z NKWD z „pobudek ideologicznych”, a nie dla pieniędzy

się opublikować antykomunistyczną karykaturę. A podczas krótkiego pobytu w Stanach Zjednoczonych Hemingway wygłaszał płomiennie antyfaszystowskie, prokomunistyczne mowy i zbierał fundusze na Republikę.

„Dopóki istniała najmniejsza szansa zwycięstwa – pisze Reynolds – to, co mówił i pisał, było utrzymane w optymistycznym tonie, sprzyjającym Republice.

dosłownie załamany. Hiszpańska porażka nie zniechęciła go jednak do Sowietów. Nadal pozostał sympatykiem bolszewizmu.

Jego zauroczenie Sowietami było tak wielkie, że w 1939 r. publicznie bronił paktu Ribbentrop-Mołotow. Podobnie jak cała partia „ideowy antyfaszysta” Hemingway dokonał wolty o 180 stopni. Zawarcie układu z III Rzeszą przez Sowietów uważał za obronę własną. A jeżeli miał do kogoś pretensje, to do zachodnich demokracji, które rzekomo wepchnęły Stalina w objęcia Hitlera.

To właśnie wówczas – w okresie obojęzowania paktu niemiecko-sowieckiego – Hemingway został zwerbowany przez NKWD. Werbownikiem był bolszewicki szpieg żydowskiego pochodzenia Jacob Golos. Był to weteran rewolucji, który pod przykrywką szefa sowieckiego biura podróży Inturist prowadził działalność wywiadowczą na terenie Stanów Zjednoczonych.

Panowie spotkali się pod koniec 1940 r. w Nowym Jorku. Pisarz przyjął sowiecką propozycję bez większych moralnych oporów. Zdrada ojczyzny przyszła mu łatwo. Jak odnotowano w teczce Hemingwaya, która zachowała się w moskiewskich archiwach, na współpracę z NKWD poszedł z „pobudek ideologicznych”, a nie dla pieniędzy.

„Jestem pewny, że będzie z nami współpracować – napisał Golos w raporcie przesłanym do Moskwy – i będzie robił, co w jego mocy”.

W Moskwie Ernestowi Hemingwayowi nadano pseudonim „Argo”.

Jak w praktyce wyglądała współpraca amerykańskiego prozaika z NKWD? O tym wiadomo niewiele. Pisarz co prawda kilkakrotnie spotykał się z oficerami sowieckich służb w Londynie i Hawanie. Nie zachowywał się jednak żadne dokumenty dotyczące usług, które świadczył sowieckiemu wywiadowi.

Wszystko wskazuje na to, że NKWD specjalnie nie wykorzystywało gotowości Hemingwaya do pracy szpiegowskiej. Sowietci doszli do wniosku, że słynny prozaik może im oddać większe usługi swoim piórem niż jako pospolity szpicel.

W 1941 r. Wiaczesław Mołotow przesłał do Hemingwaya telegram, w którym osobiście zaprosił go do Moskwy. Chodziło o to, by zainspirować go do kolejnych pochwalnych artykułów na temat bolszewizmu. Z wyjazdu ostatecznie nic nie wyszło, ale Hemingway w 1942 r. napisał

specjalny apel, który został wydrukowany na łamach „Prawdy”.

„Dwadzieścia cztery lata dyscypliny i pracy stworzyło wieczną sławę – pisał. – Imię tej sławy to Armia Czerwona. Każdy, kto kocha wolność, ma tak wielki dług wobec Armii Czerwonej, którego nigdy nie będzie w stanie spłacić”.

Obrońcy Hemingwaya podkreślają, że w 1942 r. Związek Sowiecki był sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. A co za tym idzie – w tekście napisanym dla „Prawdy” nie było nic zdrożnego. Problem w tym, że pisarz nie przestał wspierać Związku Sowieckiego również po wojnie, kiedy Ameryka i Związek Sowiecki znalazły się w przeciwnych obozach.

Hemingway z zadowoleniem przyjął okupację Europy Środkowo-Wschodniej przez Armię Czerwoną. Mało tego, wyraził pogląd, że Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki powinny podzielić świat na strefy wpływów. Według niego w strefie sowieckiej powinna znaleźć się... cała Europa.

Gdy rozpoczęła się zimna wojna, winą za nią obarczył nie Stalina, ale Churchilla. Domagał się położenia kresu brytyjskiemu imperializmowi i wyzwolenia brytyjskich kolonii. Gdy na Zachodzie zaczęto głośno mówić o zbrodniach Stalina, Hemingway starał się je zbagatelizować lub usprawiedliwiać.

REWOLUCJA NA KUBIE

Hemingway jeszcze w trakcie wojny zamieszkał na Kubie. Tam znalazł paliwo do tłącego się w nim rewolucyjnego żaru. Tym razem z entuzjazmem i – charakterystycznym dla siebie – brakiem krytycyzmu poparł Fidela Castro. Była to zresztą miłość wzajemna. Przywódca kubańskiej rewolucji zdradził później, że podczas walki partyzanckiej w górach zawsze nosił w plecaku „Komu bije dzwon”.

Gdy w 1959 r. Castro przechwycił władzę na wyspie, Hemingway piał z zachwytu. Zawiedzione nadzieje sprzed dwóch dekad powetował sobie teraz na Kubie. Hemingway z zachwytem opowiadał o „wyzwoleniu” i wielkiej dziejowej szansie, przed którą rzekomo stanął naród kubański. „To prawdziwa rewolucja, na którą mieliśmy nadzieję w Hiszpanii” – powiedział. I z miejsca zaproponował swoje usługi Castro.

Hemingway nie zraził się nawet tym, że Castro i jego krewcy chłopcy z miejsca przystąpili do mordowania przeciwników politycznych i organizowania haniebnych procesów pokazowych.

„Ludzie za granicą zaczęli krzyczeć »Cyrk!« – mówił Hemingway o kubańskich procesach pokazowych. – Rząd jednak musiał to zrobić, by pokazać, że zachowuje kontrolę. Wpocić ludziom respekt do prawa i porządku. Gdyby rząd nie rozstrzelał tych przestępców, i tak zostaliby zabici. Z zemsty. A to byłoby złe, bardzo złe”.

Obaj panowie, dyktator i pisarz, spotkali się w maju 1960 r. Na Kubie odbyły się wówczas zawody wędkarskie pod patronatem Hemingwaya. Wziął w nich udział Fidel Castro i – cóż za zaskoczenie! – wyłowił największą rybę. Puchar rewolucjonistów pisarz wręczył osobiście.

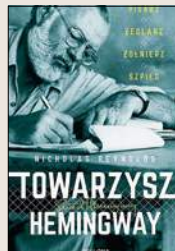
Scena została uwieczniona na fotografii, którą Hemingway kazał wywołać. Następnie napisał na niej odręczną dedykację: „Doktorowi Fidelowi Castro w dowód przyjaźni”. Castro podobno powiesił je na ścianie obok zdjęcia ojca. Takie samo zdjęcie, oprawione w ramki, postawił w swoim gabinecie Hemingway.

Pisarz był już wówczas u kresu życia. Czuł się coraz gorzej. Lekarze stwierdzili, że choruje na depresję i cierpi na rozmaite paranoje. Zdaniem Nicholas Reynoldsa miało to związek z podjęciem współpracy z NKWD. Amerykański pisarz panicznie się bał, że FBI dowie się o jego potajemnych konszachtach z sowieckimi służbami. Bał się kompromitacji i aresztowania. Jak napisał w liście do przyjaciela, gdy prawda zostanie ujawniona, zaprowadzi go to „na szubienicę”.

Z pewnością w wyzdrowieniu nie pomagało mu to, że nadużywał alkoholu. A także wybrana przez rodzinę terapia. Były to bowiem elektrowstrząsy.

2 lipca 1961 r. – w swoim drugim domu w Ketchum w stanie Idaho – Ernest Hemingway wypalił sobie w głowę z ulubionej strzelby. W ten sposób osiągnął swój cel. Odszedł jako wielki pisarz. Jego „lewicowanie” uznano za typową dla wielkiego artysty, ale w gruncie rzeczy niegroźną fanaberię. Prawda o współpracy Ernesta Hemingwaya z NKWD wyszła na jaw dopiero kilkadziesiąt lat później.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



NICHOLAS REYNOLDS
„TOWARZYSZ
HEMINGWAY”
BELLONA 2018



Marcin
Makowski

Zimna wojna to czas technologicznego wyścigu pomiędzy USA a ZSRS, którego kulminację stanowił podbój przestrzeni kosmicznej. Mało kto wie, że w tle trwał jeszcze jeden nie mniej ważny wyścig. Do wnętrza Ziemi

Wyścig do wnętrza Ziemi

Głęboko na północy Rosji, niespełna 10 km od zapomnianego przez cywilizację miasteczka Zapoliarnyj, znajduje się niepozornie wyglądająca zardzewiała metalowa pokrywa. Przytwierdzona do gruntu 12 masywnymi śrubami nie wyróżnia się na tle porożrzanego dookoła gruzu, żelastwa i fragmentów konstrukcji, które przypominają o dawnej świetności tego miejsca. Właśnie tak wyglądają dzisiaj pozostałości Supergłębokiego Odwiertu Kolskiego, a właściwie jego zwieńczenie, czyli SG-3 – najgłębszego naukowego odwiertu badawczego na Ziemi. Przebicie się do 12 262 m skorupy ziemskiej było jednym z najważniejszych projektów naukowych zimnej wojny. Dzisiaj praktycznie zapomnianym, pomimo bezcennych danych, do których dosłownie i w przenośni udało się dokopać przez ponad dwie dekady trwania projektu. W rzeczywistości bowiem wnętrze naszej planety jest do dziś mniej znane i bardziej tajemnicze niż przestrzeń Układu Słonecznego.

WYŚCIG KOSMICZNY À REBOURS

Prawie 60 lat temu, obok angażującego wyobraźnię mas i polityków wyścigu kosmicznego, radzieccy i amerykańscy naukowcy rozpoczęli jeszcze jeden niemniej ambitny projekt. Można powiedzieć, że w pewnym sensie było to jego „lustrzane odbicie”. Zamiast Księżycza za cel obrano bowiem Ziemię, a właściwie wwiercenie się możliwie najgłębiej w jej wnętrze. Wszystko po to, aby odkryć złoża cennych metali i pobrać próbki z gorącego oraz niezbadanego do tej pory miejsca, zwanego nieciągłością Mohorovičića. To właśnie tam, na głębokości kilkunastu kilometrów, znajduje się granica pomiędzy skorupą a górną częścią płaszcza naszej planety, kluczowa m.in. dla zrozumienia procesów stojących za ruchami płyt tektonicznych. Plany zmierzające do rozpoczęcia operacji narodziły się w USA pod koniec lat 50., gdy rząd Stanów Zjednoczonych wyraził chęć wykonania podwodnych odwiertów w głębokim rejonie Pacyfiku, nieopodal meksykańskiej wyspy Guadalupe. „Projekt Mohole”, pomimo ogromnej skali logistycznej i wstępnych sukcesów w 1961 r., ostatecznie upadł pięć lat później. Kongres, widząc rosnące koszty przedsięwzięcia, zdecydował, że nie jest ono warte pieniędzy amerykańskiego podatnika. Szczególnie że już 12 września 1962 r. prezydent John F.

Supergłęboki Odwiert Kolski. Zdjęcie z 1984 r. FOT. A. VARFOLOMEEV/SPUTNIK/EAST NEWS

Kennedy zapowiedział, że to Ameryka jako pierwsza zdobędzie Srebrny Glob. Trzeba było wybierać.

Podobnych rozterek nie mieli jednak Rosjanie, którzy obawiając się naukowego sukcesu po drugiej stronie żelaznej kurtyny, nie bacząc na ekonomiczną opłacalność, rozpoczęli własną wersję „Projektu Mohole”. Jak mówił jeden z geofizyków zaangażowanych w całe przedsięwzięcie, prace rozpoczęte przez ZSRS w 1962 r. „były dla nauk o Ziemi jak teleskop, którym przekraczano limitacje ludzkich zmysłów, docierając do nowych granic naszej wiedzy o planecie”. Decyzja o miejscu, w którym Sowieci zamierzali podjąć rzuconą przez Amerykę rękawicę, zapadła w 1965 r., następnie przez pół dekady na głębokiej północy Półwyspu Kolskiego budowano infrastrukturę zdolną pomieścić kilkudziesięcioosobową załogę oraz najbardziej zaawansowany system wiertniczy, zaprojektowany od podstaw, do kruszenia skał w ekstremalnie wysokiej temperaturze. Składał się on z kilkunastu różnych głowic – każdej przeznaczonych do konkretnego rodzaju terenu.

W charakterystycznym dla Związku Sowieckiego stylu pośrodku „niczego” nagle wyrosło miasto. Obok jezior i bagien stawiano baraki, wysoką wieżę, budynki mieszkalne, kuchnie i laboratoria. Cały system obsługiwano komputerowo. Ponieważ nikt wcześniej nie zamierzał przebić się przez skorupę ziemską kilkanaście kilometrów w głąb, każdą napotkaną przeszkodę trzeba było omijać metodą prób i błędów, która przełożyła się na czasochłonność projektu. Przeżył on sam Związek Sowiecki, ostatecznie zamykając podwoje w 2008 r.

CO JEST NA DNIĘ?

Supergłęboki Odwiert Kolski z biegiem lat okazał się nie tylko wyzwaniem inżynieryjnym, lecz także przede wszystkim naukowym. Nawet pomimo zatrzymania wiertła niespełna 2700 m od celu, który stanowiła głębokość 15 km, oraz stosunkowo małej liczby publikacji w języku angielskim do dziś „Kola” stanowi jedno z najcenniejszych źródeł badań geologicznych.

Specjalna konstrukcja szybu oraz wiertła umożliwiła bowiem wydobywanie próbek gruntu właściwie na każdym etapie przedsięwzięcia. A ono samo z kilometra na kilometr kwestionowało teoretyczne założenia badaczy, poczynio-

ne jeszcze przed oficjalnym otwarciem placówki w 1970 r. Ówczesnie sądzono m.in., że na głębokości od 3 do 6 km należy się spodziewać stopniowego przechodzenia twardego granitu w powulkaniczny bazalt, co tłumaczyłoby szybsze rozchodzenie się fal sejsmicznych poniżej wskazanej głębokości.

W rzeczywistości okazało się, że za ten stan odpowiedzialne są jednak ekstremalne ciśnienie oraz gorąca magma, które zmieniały strukturę mineralną i chemiczną granitu w mniej zbitą skałę metamorficzną. Każdy metr w głąb niósł tyle samo pytań, co odpowiedzi, wydobywając na światło dzienne coraz starsze fragmenty skał, pamiętające okres formowania się planety.

przedwczesnego zakończenia odwiertu w 1994 r., zanim jeszcze dotarł do założonego w latach 60. celu.

GŁĘBIEJ SIĘ JUŻ NIE DA

Temperatury skał znajdujących się poniżej 12 km w głąb skorupy ziemskiej przekroczyły próg tolerancji cieplnej wiertła, które nie mogło zejść niżej, nawet pomimo wpompowywania do wydrążonego szybu ton schłodzonego błota. Sądzono, że na tym etapie maszynaria będzie musiała pracować przy ok. 100 st. C, jednak w rzeczywistości temperatura była o ponad 80 stopni wyższa. Kiedy doszło do tego ogromne ciśnienie, okazało się, że zamiast litej skały drążono w zawieszynie przypominającej kleistą

Temperatury skał znajdujących się poniżej 12 km w głąb skorupy ziemskiej przekroczyły próg tolerancji cieplnej wiertła, które nie mogło zejść niżej

Równie, jeśli nie bardziej, zaskakujące było jednak odkrycie wody, którą odnajdywano w niewielkich szczelinach wydobywanych skał metamorficznych. Ponieważ wody gruntowe nie występują na podobnej głębokości, naukowcy doszli do wniosku, że musiała się ona wytrącić ze względu na ciśnienie, które – mówiąc obrazowo – „sprasowało” atomy wodoru i tlenu występujące w minerałach. Te, już w postaci wody, nie mogły się wydostać na zewnątrz, blokowane warstwą granitu.

Ten specyficzny rodzaj bogatej w minerały zawiesziny przez miliony lat tkwił uwięziony na głębokości ok. 5–6 km pod powierzchnią. Być może właśnie ze względu na stosunkowo korzystne dla rozwoju prymitywnych mikroorganizmów środowisko na głębokości 6700 m odnaleziono również mikroskamieniałości ponad 20 gatunków drobnoustrojów przypominających plankton. Wiek niektórych z nich datowano na ponad 2 mld lat, czyli moment, w którym wszystkie kontynenty zbite były w hipotetyczny superkontynent zwany Columbią. Tego typu odkrycia pozwoliły nie tylko na rozszerzenie wiedzy z zakresu geologii, lecz także na spekulacje dotyczące granic i możliwości występowania życia w skorupach innych planet Układu Słonecznego.

Niestety, jedno z odkryć okazało się ostatecznie tym, które przyczyniło się do

i gęstą maź, która blokowała rotory wiertła i zalewała wywiercony kawałek szybu, gdy tylko wysuwano całą maszynę. Dalsze postępy były niemożliwe bez dodatkowych nakładów finansowych i postępu technologicznego, na który Rosję w czasach kryzysu po upadku Związku Sowieckiego po prostu nie było już stać. Ambitny cel 15 km do dziś stanowi nieosiągalną granicę ze względu na prognozowaną temperaturę, która może przekroczyć ponad 300 st. C.

Kolski ośrodek badawczy funkcjonował jeszcze do 2004 r., przysyłając do Moskwy dane seismologiczne oraz dokumentując wykonane do tej pory prace. Jego podwoje ostatecznie zamknięto cztery lata później. Dzisiaj stanowi ruinę, nad którą góruje ostała się z lat świetności wieża, przez którą spuszczano wiertło. W bezpośrednim otoczeniu obwodu murmańskiego funkcjonuje jednak do tej pory wiele kopalni metali rzadkich, które niezmiennie stanowią jeden z najcenniejszych zasobów Federacji Rosyjskiej. Zresztą – jak napisał we wstępie do książki o odwiercie kolskim Jewgienij Kozłowski, minister geologii ZSRS – „Badanie głębin Ziemi to od zawsze bardzo rosyjska rzecz”. Chociaż Sowieci ostatecznie przegrali wyścig na Księżyc, ten mniej znany i w odwrotnym kierunku mogli zapisać na konto swoich zwycięstw.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polacy w oczach Wschodu

Dobrych 10 lat temu miałem okazję przekroczyć granicę polsko-ukraińską, a kilka dni później – polsko-niemiecką. Na granicy wschodniej byłem świadkiem, jak polscy celnicy upokarzali ukraińskich podróżnych. Zwracali się do nich per „ty”, mówili w sposób grubiański, poddawali ich długim, męczącym i całkowicie zbędnym procedurom.

Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała na granicy zachodniej. Tam byłem świadkiem sceny dokładnie odwrotnej – polscy celnicy w żenujący sposób nadskakiwali niemieckiemu podróżnemu. Ten kompleks wyższości wobec Wschodu połączony z kompleksem niższości wobec Zachodu uważam za jedną z najbardziej pasywnych cech części naszych rodaków.

Części, bo – całe szczęście – wielu Polaków nie tylko Wschodem nie pogardza, lecz także wprost przeciwnie, jest Wschodem zafascynowanych. Jednym z nich jest Maciej Pieczyński, mój redakcyjny kolega z „Do Rzeczy”. Jest on autorem znakomitych wywiadów prasowych z Ukraińcami, Rosjanami i Białorusinami.

Wywiadów, które teraz zostały wydane w formie książkowej.

Pieczyński jest dobrym rozmówcą. Chociaż ma własne poglądy – czemu wielokrotnie daje wyraz – to jest również ciekawy

poglądów odmiennych. Potrafi wysłuchać i uszanować człowieka, z którym się nie zgadza. To w dzisiejszych czasach, pełnych jadu, sekciarstwa i nacjonalistycznego zacietrzewienia, cecha rzadko spotykana.

Najciekawsze są wywiady z Ukraińcami. Choćby z dwoma historykami: prezentującym spojrzenie nacjonalistyczne Wołodymyrem Wjatrowyczem i obiektywnym Ihorem Iljuszynem. Czytelnik książki może nie tylko spojrzeć na rzeź wołyńską z perspektywy ukraińskiej, lecz także może się przekonać, jak zróżnicowane poglądy mają badacze z Kijowa.

„Czyniąc z historii narzędzie polityki i podstawę narodowej tożsamości – pisze Pieczyński – nie możemy się dziwić, że Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini, w których uderza nasze spojrzenie na przeszłość, odpowiadają tym samym. [...] Jeśli tak bardzo szcycimy się naszą wyższością moralną, to nie możemy zapominać o własnych grzechach, nawet jeśli są nieporównywalne z grzechami sąsiadów. »Chrystus narodów« nie powinien udawać, że nie widzi belki we własnym oku”.

Bardzo dojrzałe słowa. Maciej Pieczyński jest młodym dziennikarzem. Jego debiutancka książka jest świetna. A kolejne – jestem pewien, że będzie ich sporo – będą jeszcze lepsze. ©©



★★★★★

MACIEJ PIECZYŃSKI
„JAK NAS PISZA
CYRYLICĄ.
BIAŁORUSINI,
ROSJANIE
I UKRAIŃCY
O POLAKACH”
FRONTA 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koniec sukcesu propagandy

Najwyraźniej towarzyszy Edward Gierek nie nauczył się zbyt wiele na przykładzie swoich poprzedników. Ekipa Władysława Gomułki ogłosiła drastyczną podwyżkę cen przed świętami Bożego Narodzenia, co zakończyło się masakrą na Wybrzeżu, natomiast ich następcy wybrali okres tuż przed rozpoczęciem wakacji.

Nie zrezygnowano z przykładnego ukarania „warcholów”

W połowie lat 70. Polacy przyzwyczaili się żyć już lepiej niż w poprzednich dekadach. Przez kilka lat sklepy były dobrze zaopatrzone, zniknęły niemal zupełnie kolejki (poza tradycyjną po karpia). Wprawdzie sytuacja stopniowo zmieniała się na niekorzyść, ale społeczeństwo nie było przygotowane na gwałtowny spadek poziomu życia. Tym bardziej że planowany wzrost cen (średnio o blisko 70 proc.) miał objąć kilka tysięcy produktów: od polędwicy do podków dla koni. 24 czerwca 1976 r. premier Piotr Jaroszewicz zapowiedział podwyżkę, a jej uśrednienie nie oddaje szoku społeczeństwa, które nagle dowiedziało się, że cukier ma kosztować 26 zł za kilogram (poprzednio 10,50 zł).

„Przemówienie Jaroszewicza obfitowało w rzeczy bezcelne – zanotował Stefan Kisielewski – których zresztą

oni wcale za bezcelne nie uważają, bo stracili czucie, gdzie są i kto ich słucha – telewizja to jednak nie zebranie partyjne. A więc nieustające samochwalstwo, utożsamianie partii i rządzącej klikli z narodem, no i najbezczelniejsze, że oni mają do narodu łaskawe »zaufanie« i wiedzą, że ich poprze”.

Największą wściekłość wywołały jednak zapowiedziane rekompensaty finansowe, mające złagodzić skutki wzrostu cen. Ogłoszono bowiem, że będą miały one charakter proporcjonalny do płac. Zatem najwyższe rekompensaty mieli otrzymać ci, którzy zarabiali najwięcej, co było już pełnym absurdem.

Następnego dnia zastrajkowały kilkadziesiąt zakładów pracy, a do najgwałtowniejszych zająć doszło w Ursusie i Radomiu. Wystraszone władze wycofały się częściowo z podwyżek (to właśnie wówczas wprowadzono bony na cukier), nie zrezygnowało jednak z przykładnego ukarania „warcholów”. W całej Polsce zwolniono z pracy tysiące osób, a kilkudziesięciu robotników (najczęściej zupełnie przypadkowych uczestników wydarzeń) postawiono przed sądem.

Był to początek końca „najlepszego z ustrojów” nad Wisłą. Niebawem powstał Komitet Obrony Robotników przekształcony następnie w KRS KOR. Była to pierwsza w dziejach PRL organizacja opozycyjna działająca jawnie, co stanowiło widoczny symbol erozji systemu komunistycznego w kraju. ©©

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**RELACJA KOBIETY,
KTÓRA OCALAŁA
Z LUDOBÓJSTWA
NA WOŁYNIU!**

Piotr Zychowicz – **Zapomniani polscy bohaterowie**
Dyskusja o Wołyniu – **Ewa Siemaszko vs. Wołodymyr Wjatrowycz**
Mark Lijek – **Jak uciekłem irańskim ajatollahom**
Sławomir Cenckiewicz – **Szokujące dokumenty LWP**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Hitler ograł Becka**
James Reasoner – **Krwawe pojedynki rewolwerowców**
Rafał Węgrzyniak – **Żyd oskarżony o kolaborację**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Marek Jan Chodakiewicz

Podejmuje zaskakujące decyzje, ale wciąż tylko na nich zyskuje. Tam, gdzie mógłby tracić, winę zrzuca na innych. Ludzie mu wierzą

Ameryka właściwie całkowicie wyszła z Obamowej wielkiej recesji. Podatki zmalały, zyski rosną. Nie widać – na razie – poważnych reperkusji gospodarczych rozpętywanej właśnie wojny celnej. Gospodarka się kręci. Jest więcej miejsc pracy niż chętnych. Gdzieniedzie otwierane są stare fabryki, budowane nowe.

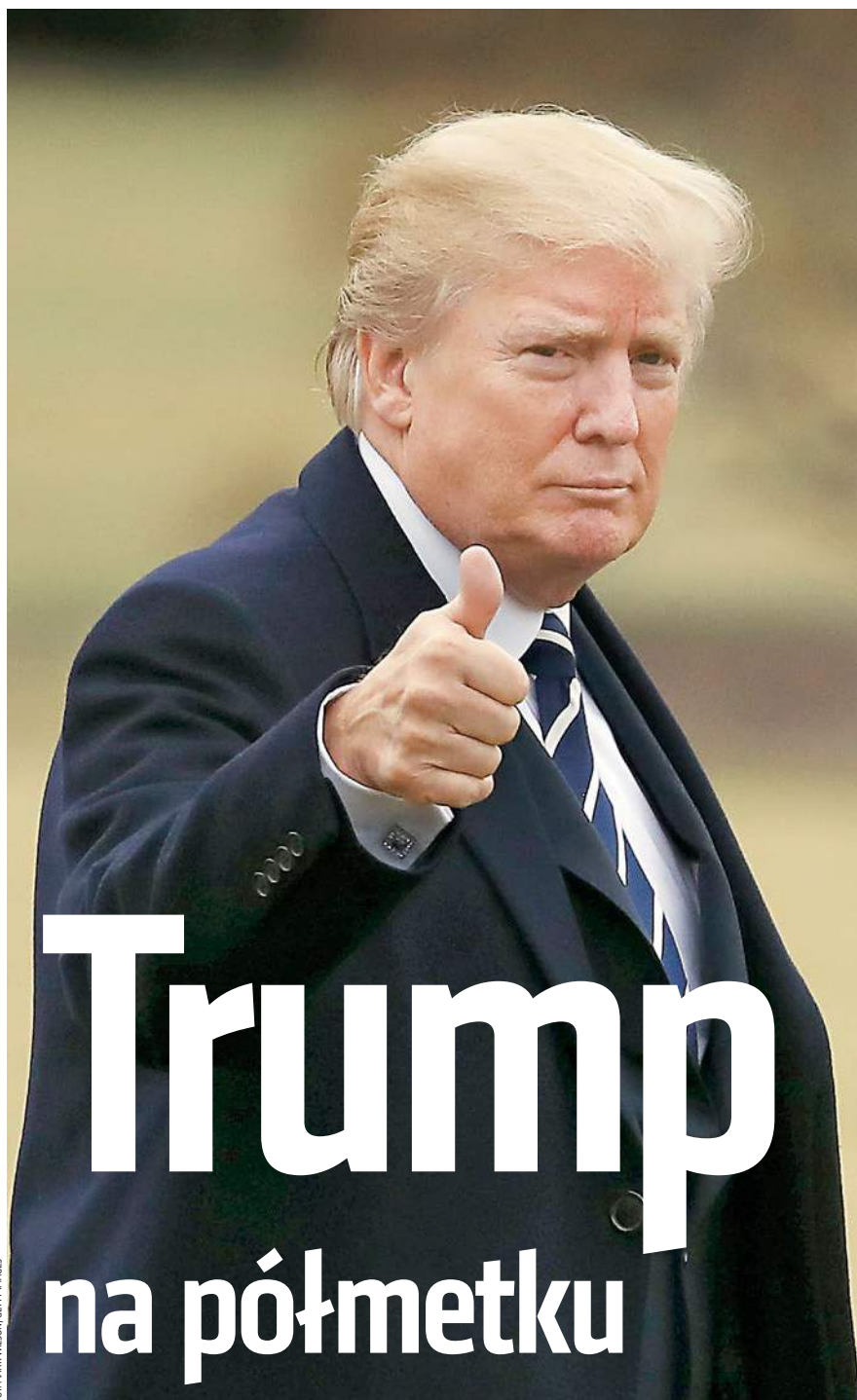
Pracujący na etatach odnotowali niewielkie podwyżki. Ich dochody minimalnie drgnęły po prawie trzech dekadach stagnacji.

Według Instytutu Gallupa (maj 2018 r.) 55 proc. Amerykanów uważa, że pozycja USA w świecie jest zadawalająca. Jednak zaledwie 37 proc. myśli, że kraj podąża we właściwym kierunku. Aż 69 proc. jest niezadowolonych. Jednak prezydent może się pochwalić nawet 43-procentowym poparciem. A 37 proc. elektoratu uważa, że Trump powinien ponownie wygrać prezydenckie wybory. Dokładnie taki sam odsetek wyborców w takich samych momentach prezydentur uważał, że Bill Clinton i Barack Obama powtórzą swoje sukcesy wyborcze.

PRZYWÓDCA Z TWITTERA

Trump pozostaje sobą. Ciągły chaos, ciągły brak strategii, ciągle podszczyptywanie przeciwników w mediach społecznych. Ktoś zauważył, że to bardzo mądra taktyka. Prezydent wkurza lewaków na Twitterze, a oni marnują swój czas, obsesyjnie dyskutując na tematy, które podsuwa im głowa państwa. Z kolei ich własne narracje – od rosyjskich tajnych wpływów w amerykańskich wyborach prezydenckich do prezydenckiej kochanki gwiazdy porno Stormy Daniels – Trump kasuje stwierdzeniami: „Fake news!” lub przekierowuje dyskusję na wygodne dla niego tory.

Dzięki temu nawet jeśli nie kontroluje narracji całkowicie, to stara się wpłynąć na ogólny przekaz tak, by jego zdanie liczyło się bardziej. A ponieważ jego zwolennicy są przekonani o tym, że media kłamią, jego tweety powielają w milionach.



FOT. MARK WILSON/GETTY IMAGES

Głównym zapleczem Trumpa i najważniejszym podobozem Partii Republikańskiej są konserwatyści. To twarde ewangelicy, o których lewacy mówią: fundamentaliści protestanccy. Tak dziś identyfikuje się 13 proc. Amerykanów. Mniej niż dawniej. Są jednak wciąż zwartą grupą, dobrze zorganizowaną, i stanowią znaczną siłę społeczną.

To oni mobilizują wyborców – chodzą od domu do domu z ulotkami konserwa-

tywnych kandydatów. To oni organizują spotkania i inne imprezy wyborcze. I działają stale, nie tylko co cztery lata z okazji wyborów. Są zaangażowani cały czas. Idealnym kandydatem dla nich okazał się właśnie Trump.

A prezydent tym wyborcom odpłaca z nawiązką. Bo to ich ucieszył wypromowany przez Donalda Trumpa sędzia Sądu Najwyższego Neil Gorsuch. Dzięki niemu uniewinniony został cukiernik Jack Phillips

z Colorado, który z powodów religijnych odmówił upieczenia tortu na gejowskie przyjęcie weselne. Teraz żaden chrześcijanin, Żyd czy muzułmanin nie będzie musiał przymusowo świadczyć usług na rzecz gejów. Społeczność ewangelicka ten wyrok uznała za triumf wszystkich, którzy chcą zatrzymać rewolucję obyczajową w USA.

Niezmiernie ucieszyło ich też przeniesienie ambasady USA do Jerozolimy. Chrześcijanie, a wśród nich także katolicy, zadowoleni są również z prezydenckiej ofensywy antyaborcyjnej. Donald Trump odciął wszelkie fundusze na projekty inżynierii społecznej dotyczącej zabijania dzieci nienarodzonych, kierowane dotąd do agend państwa amerykańskiego takich jak m.in. USAID.

Nie wszystko jednak idzie tak, jak obiecał.

OBIETNICE NISPEŁNIONE

Najistotniejsza porażka prezydenta wiąże się z obiecany zniszczeniem obamacare, czyli tzw. darmowej opieki medycznej. Trump winą za to niepowodzenie obciążył kongres (co w pewnym stopniu jest prawdą). Jednak jego zwolenników ta porażka akurat nie zabolowała – głównie tych biednych, którzy obamacare doceniają. Donaldowi Trumpowi pozostało zapewnić, że obamacare da się odwrócić, gdy ludzie wybiorą prawdziwie konserwatywnych kongresmanów. Dodaje, że wtedy też rozwiąże całkowicie sprawę nielegalnej imigracji.

W zatrzymywaniu imigrantów Trump bowiem też ma marne rezultaty. Kongres zachowuje się miętko, a Meksyk wciąż twardo nie chce płacić za mur na granicy. Roboty się ślimaczą, bo federalne fundusze na tę inwestycję nie wystarczają. A przy tym, mimo zwiększenia ochrony na granicy, fala imigracyjna z południa wcale nie zmalała i właśnie ponownie osiąga szczyt natężenia. Prezydent obwinia za to liberałów i lewaków, np. stan Kalifornia, który ogłosił się sanktuarium dla nielegalnych migrantów i ignoruje prawa federalne.

Mniej widoczny w działaniach prezydent pozostaje mocny w retoryce. Wspiera zbuntowane miasta ze stanu Kalifornia, które wyszły z inicjatywami antyemigracyjnymi. A bandziorów z latynoskiego gangu Mara Salvatrucha (MS-13) nazwał niedawno „zwierzętami”, co wywołało furję u liberalnych tolerancjonistów i elit mniejszości narodowych.

Swoje niepowodzenia Trump często tłumaczy sprzeciwem tzw. Głębokiego

Państwa działającego przeciw Białemu Domowi. Przekonuje, że sam dotrzymuje słowa, ale działania torpedują globaliści, lewacy, zdrajcy, bandyci... Jego elektorat takie tłumaczenie przyjmuje, bo tak samo odbiera liberalne elity amerykańskie.

ZAGRANICA

Obecny prezydent w sprawach zagranicznych skończył z polityką Obamy „dowodzenia z tyłu” (leading from behind). Zamiast tego zaszerwowała szaloną politykę pokrzykiwania, napinania mięśni i twardych negocjacji. I choć gdzieś tam podskórnie toczy się tradycyjna dyplomacja, Trump jest ponad to – robi, co chce i jak chce.

Od razu przeraził prawie wszystkich ekspertów od spraw zagranicznych, a zachwycił swój elektorat zanegowaniem, skasowaniem bądź renegocjowaniem wszelkich globalistycznych umów handlowych (TPP, NAFTA, TTIP itd.). Twarda postawa w stosunku do „Ruskich” i „Chinokomuchów” zwykłych ludzi cieszy. A dla zwolenników Trumpa ostre traktowanie wszystkich innych państw (o ile sobie zasłużyły) powinno być regułą. Stąd radość, że prezydent groził np. Iranowi czy Korei Północnej. Wśród zwolenników tej administracji panuje przekonanie, że właśnie ta postawa zmusiła Kim Dzong Una do tego, by zasiąść do stołu negocjacyjnego.

Jednak od prezydenta USA razy zbierają także bliscy sojusznicy. Kandydycom dołożył za sprawy handlowe i świętoszkowatość w sprawach emigracyjnych. Angelę Merkel i przywódców państw Europy Zachodniej zbesztął za zbyt niskie nakłady na zbrojenia. Za dostateczne wydatki na obronność pochwalił Polskę i Estonię.

Z Rosją trwa polityka kija i marchewki. Z jednej strony umizgi w sprawie powrotu Moskwy do klubu G7 (aby stał się znów G8). Z drugiej – nieprzerwana ofensywa antykorupcyjna i przeciw łamaniu praw człowieka. Jak wygląda? Na przykład przez tzw. indywidualne sankcje, które utrudniają podróżowanie i inwestowanie kremłowskiemu dygnitarzom, i to nie tylko w USA, lecz także na całym świecie.

Najważniejsze jest jednak poparcie Białego Domu dla suwerennych krajów dawniej okupowanych przez Sowieków. I Trump wie, jak to politycznie sprzedać. Antyrosyjskość na użytek wewnętrzny jest antidotum na oskarżenia o to, że Władimir Putin pomógł mu wygrać wybory

w USA. A Amerykanie w większości lubią to, że ich prezydent popiera maluczkich przeciw miejscowemu brutalowi. Przy tym prezydencki elektorat jest jednocześnie zadowolony z tego, że Trump nie wyklucza kontraktów z Moskwą.

I na tym polu zatem – mimo wycia mainstreamowych mediów i amerykańskich salonów – Trump wygrywa. To jeden z powodów tego, że zwolennicy zawołania: „Make America Great Again” przez palce patrzą na chaos w Białym Domu.

ADMINISTRACJA

Tymczasem w Białym Domu znów zmiana warty. Wyleciał doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, gen. H.R. McMaster. Zastąpił go neokonserwatysta John Bolton. Szef prezydenckiego sztabu gen. John F. Kelly otwarcie skarży się, że Białe Dom to „nieszczęśliwe miejsce pracy”, więc plotkuje się, że jego dni są już policzone. Mocno na razie wygląda pozycja sekretarza obrony. Generał James Mattis to przede wszystkim doskonały strateg. W tej chwili stanowi główną przeciwwagę wobec Boltona. A Bolton wprowadza swoje porządki. Na razie słucha Trumpa, a nie upiera się przy własnych pomysłach – czyli odwrotnie niż poprzednik – ale zaczął od czystki. Każdy nowy szef ma do tego prawo. Sęk w tym, że nowy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego nie ma zespołu. Szuka ludzi... A zdążył już wyrzucić np. dr Nadię Schadow, największą specjalistkę od Międzymorza w administracji Trumpa. Pracowała z nami nad tym projektem od 2008 r.

Według badaczki Kathryn Dunn Tenpas z Brookings Institution od początku obecnej prezydentury w Białym Domu zmieniło się 51 proc. pracowników. Część stanowili ludzie z administracji Obamy, ale część wymienianych to już nowi ludzie Trumpa, którzy albo sami zrezygnowali, albo zostali wyrzuceni.

Donald Trump w tym chaosie personalnym czuje się za to jak ryba w wodzie. Otacza się rodziną – Jarred i Ivanka wciąż trwają przy jego boku. A to ma wpływ także na administrację. Bo jak Ivanka pobłogosławi, to tata prawie na pewno przyjmie do pracy. Taka była kariera Hope Hicks, która z pomocniczek od wybierania sukienek Ivanka stała się w wieku 27 lat dyrektorem komunikacji strategicznych Białego Domu. Trump się śmiał. Do czasu. Potem ją wyrzucił. I tak będzie dalej co najmniej przez następne dwa lata.



Teresa Stylińska

Znekana Grecja, od blisko dekady zmagająca się z kryzysem gospodarczym, wreszcie na swoim koncie może zapisać sukces

W sporze o nazwę, toczonym z Macedonią, Grecy w stu procentach postawili na swoim, wymuszając na Skopje przyjęcie nowej nazwy: Republika Macedonii Północnej. W dodatku będzie ona używana zgodnie z formułą erga omnes – zawsze i wszędzie, zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak i dwustronnych.

Grecy nie zgodzili się, by w kontaktach z innymi państwami i na użytek wewnętrzny Macedończycy pozostawili sobie nazwę Republika Macedonii, która przecież w swoim czasie stała się zarzewiem konfliktu (i pod którą Macedonia została uznana przez blisko 130 państw, w tym Polskę). Rację bytu straci też FYROM – Była Jugosłowiańska Republika Macedonii, tymczasowa nazwa przyjęta pod naciskiem Grecji, by nowe państwo mogło stać się członkiem ONZ. Jedynie ustępstwo Greków to zgoda, by Macedończycy nazywali się Macedończykami, a ich język nosił nazwę macedońskiego.

W tym długim sporze, dla świata często mało zrozumiałym, wszystkie mocne karty miała oczywiście Grecja – państwo Unii Europejskiej i NATO, o ugruntowanych podstawach, a przy tym naród z ogromnymi tradycjami. Potężną broń, którą było blokowanie drogi Macedonii do Unii i NATO, Grecy stosowali bez obaw i z pełną determinacją. Dla nich był to bowiem spór fundamentalny: o historię splecioną ze współczesnością.

KORZENIE W STAROŻYTNOSCI

Chociaż w centrum Skopje nadal stoi ogromny, 25-metrowy pomnik Aleksandra Wielkiego, Macedonia współczesna powoli rozstaje się z władcą Macedonii antycznej. 3 kwietnia stołeczne lotnisko, które od 11 lat nosiło jego imię, stało się po prostu Skopje International Airport. Ma to wymiar tyleż praktyczny, co symboliczny, oznacza bowiem jawne zerwanie z pewnym urojeniem.



Historia przywłaszczona

Już wcześniej wielki wódz i twórca ogromnego, choć bardzo nietrwałego imperium przestał patronować przecinającej Macedonię autostradzie, wiodącej do Belgradu na północ i do Salonik na południe. Tablice drogowe ze starą nazwą usunięto w połowie lutego. Zastąpiła ją Austostrada Przyjaźni – nazwa najbanalniejsza z banalnych, ale mająca znamiona deklaracji ideowej i politycznej zwróconej w przyszłość.

Gdyby władze w Skopje nie musiały zabiegać o przychyłność Aten, nie zdobyłyby się na to, co ogólnie nazwano gestem dobrej woli, i nadal obsadzano by Aleksandra w roli bohatera narodowego. Potrzeba chwili nakazywała jednak rozsądek i ustępstwa. To dlatego z ust przedstawicieli Macedonii zaczęły padać słowa jeszcze niedawno nie do pomyślenia. Takie jak wypowiedź Petre Szilegowa, burmistrza Skopje, w wywiadzie dla greckiego magazynu „Documento”: „Aleksander Wielki nigdy nie był częścią naszej historii. Włączono go do niej w ciągu ostatnich 10 lat”.

Wspomniane urojenie to demonstrowane powszechnie przeświadczenie, że słowiańscy mieszkańcy współczesnej Macedonii wywodzą się od Macedończyków antycznych, a zatem mają pełne prawo do

spuścizny helleńskiej na równi z Grekami. Czy wypowiedź burmistrza była szczerą, czy też podyktowaną względami taktycznymi – to zupełnie inna sprawa.

SŁOŃCE NA FLADZE

Konflikt Grecji z Macedonią rozgorzał na początku lat 90., gdy Macedonia ogłosiła niepodległość i przyjęła nazwę Republika Macedonii. Z początku wydawał się co najmniej dziwny. Może dlatego, że trudno doszukać się podobnego? Kraje i narody staczały boje o ziemię, o surowce, o ludzi, ale nigdy o nazwę. Jak to możliwe, by jedno państwo nie godziło się na nazwę, jaką wybrało sobie inne? Jak sprawa tak błaha w oczach świata może wyzwać w Grecji niezmierzone pokłady emocji, które znajdują ujście w potężnych manifestacjach?

W Salonikach, stolicy greckiej Macedonii, jedno tylko, ale jakże nośne hasło: „Macedonia jest i pozostanie grecka!” gromadziło na ulicach milion ludzi – 10 proc. ludności Grecji! Akurat w tym czasie zmarł Manolis Andronikos, archeolog, który 20 lat wcześniej koło Werginy na północy Grecji odkrył groby królów macedońskich, w tym ten najważniejszy – Filipa II, ojca Aleksandra. Na pogrzeb Andronikosa przyszły setki tysięcy ludzi. Chyba nigdy



RYS. PEZAR, FOTO: AP/IST NEWS

i nigdzie żaden archeolog nie miał tak imponującego pochówku.

Poczynania władz w Skopje zjednoczyły Greków jak nigdy przedtem ani nigdy potem. Działania Macedonii stanowiły bowiem zamach na wszystko, co składa się na grecką tożsamość.

Macedonia sięgnęła nie tylko po nazwę. Skwapliwie odwołała się do dziedzictwa królów macedońskich, nie stroniąc przy tym od aspektów współczesnych. Na jednym z banknotów z lat 90. znalazła się Biała Wieża z Salonik – symbol miasta. Na wydawanych w Skopje mapach widniała Macedonia zjednoczona, obejmująca teren już nie tylko greckiej Macedonii Egejskiej, ale także tej części, która po wojnach bałkańskich przypadła Bułgarii. Ten przejaw jawnego, zdaniem Greków, ekspansjonizmu, był jednak niczym w porównaniu z zawłaszczaniem słońca z Werginy. Macedonia umieściła bowiem na swej fladze emblemat zdobiący wieko trumny ze szczątkami króla Filipa.

NASZE GRECKIE MITY

To pokazywało, jak bardzo współcześni Macedończycy, wiedzeni pragnieniem posiadania wielkiej i bogatej przeszłości, chcą czuć się spadkobiercami starożytnej

Macedonii, ignorując to, że w czasach Filipa i Aleksandra na Bałkanach żadnych Słowian nie było. Ludność słowiańska przybyła w te strony blisko tysiąc lat później. Między mieszkańcami Macedonii antycznej i Macedonii współczesnej nie ma więc żadnej więzi – ani etnicznej, ani językowej.

Helleńską historię Macedończycy postrzegali instrumentalnie, jak mit założycielski swego świeżo powstałego państwa. Ku oburzeniu Greków. Bo, jak to doskonale ujął jeden z moich greckich rozmówców: „Każde nowe państwo, by mogło istnieć, potrzebuje mitów. Skopje także. Rzecz w tym, że mity, do których się odwołuje, są naszymi mitami”.

Być może inny naród jakoś by przełknął zniewagę. Jednak Macedończycy mieli nie szczęście trafić na Greków, a ci swą historię i dziedzictwo cenią sobie jak mało kto. W dodatku Grecy nawet odległą przeszłość traktują jak żywy element współczesności, tym bardziej że mają się czym szczycić. Wznosili przecież wspaniałe świątynie, tworzyli filozofię i podstawy nauki, budowali demokrację, gdy reszta Europy tonęła w mrokach i ciemności.

W konfliktach między krajami często bywa tak, że jedna ze stron zostaje obsadzona w roli ofiary, zyskując dzięki temu przychylność świata. Na jej winy patrzy się wówczas przez palce. Znakomicie pokazała to wojna na Bałkanach, gdy uosobieniem zła stała się Serbia, a ofiarami były Bośnia i Kosowo. W swym stałym konflikcie z Turcją Grecja też z reguły była uważana za ofiarę i korzystała z taryfy ulgowej. Tymczasem w konflikcie z Macedonią nagle znalazła się pod pręgierzem, bo sympatia świata była po stronie słabutkich państw, zrodzonych z rozpadu Jugosławii. W dodatku spór toczył się początkowo w cieniu wojny w Bośni, a nowego konfliktu nikt sobie nie życzył.

Grecja ze swych atutów konsekwentnie robiła użytek. Macedonia była przyparta do muru: by mogła stać się członkiem ONZ, musiała przyjąć nazwę FYROM, by zakończyć nałożone przez Grecję embargo handlowe – zmienić swą flagę. Słońce z promieniami pozostało wprawdzie, ale w mocno stylizowanej, odległej od pierwotnego wzoru formie.

ALEKSANDER JEST „TAKŻE GRECKI”

U progu lat 90. nikt by nie uwierzył, że spór grecko-macedoński może trwać tak długo. Wszelkie rozmowy kończyły się fiaskiem. Co się zatem zmieniło? Dzisiaj

jednak żywotny interes w doprowadzeniu sprawy do szczęśliwego końca mają obie strony. Macedonia – bo chce wreszcie znaleźć się w NATO i Unii. Grecja – bo pogorszenie stosunków z rosnącą w siłę i coraz bardziej wojowniczą Turcją nakazuje zamknięcie innych obszarów konfliktu. Dlatego Grecja zgodziła się, by w przyszłej nazwie pozostało słowo „Macedonia”, ale opatrzone przymiotnikiem, tak by było jasne, że kraj ze stolicą w Skopje nie ma nic wspólnego ani ze starożytną Macedonią, ani z grecką prowincją. Macedonia Północna wygrała z „Nową”, „Górną” i „Wardarską” (od nazwy głównej rzeki), a także z „Republiką Macedonii (Skopje)”. Sugerowana „Macedonia Słowiańska” odpadła z uwagi na obecność mniejszości albańskiej.

Trudniejsze niż sama nazwa okazały się jednak kwestie dodatkowe, takie jak zakres użycia nowej nazwy. Macedonia wołała by u siebie w kraju pozostać Republiką Macedonii – dla Grecji nie do przyjęcia. Wprowadzenie nowej nazwy wymaga jednak zmiany macedońskiej konstytucji, podobnie jak spełnienie innego greckiego postulatu: by zniknęły z niej słowa o macedońskiej tożsamości. Odwołanie do tożsamości było argumentem, którego po wojnie użył Tito, wysuwając roszczenia wobec Macedonii greckiej, i Grecja boi się, że historia mogłaby się powtórzyć. Takie same obawy ma Bułgaria.

Nawet jeśli Macedonia upierała się w sprawach aktualnych, to na polu historii odrzuciła chyba odwrót. Przywódcy w Skopje są nawet skłonni łaskawie przyznać, że Grecy „też mają prawo” do spuścizny starożytnej. „Wycofuję się z twierdzenia, że Macedonia jest jedynym dziedzicem Aleksandra. Historia należy nie tylko do nas, ale także do Grecji i wielu innych krajów” – deklarował w telewizji premier Zoran Zaew. Co się z tym kryje, wyjaśniał minister spraw zagranicznych Nikola Dymitrow podczas niedawnego spotkania szefów dyplomacji państw Unii i zachodnich Bałkanów w Sofii: „Mój kraj dojrzał i nie musi mieć korzeni w ponaddwutysiącletniej historii, by czuć się pewnym siebie. Lepiej jest współpracować niż licytować się na zwycięstwa i porażki w naszej bogatej historii”.

Porozumienie ma swoją cenę. Dlatego Macedończycy są gotowi zdemontować pomniki Aleksandra i Filipa (bo ojca także uczcili monumentem). Co z nimi zrobią, nie wiadomo. Są tak upiorne, że na prezent dla Greków raczej się nie nadają. Nawet w geście dobrej woli. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



BEZ PIENIĘDZY I PASZPORTU

Boris Becker, niegdyś gwiazda światowego tenisa, a dziś po prostu bankrut, ostatkiem sił próbował bronić się przed postępowaniem upadłościowym w Wielkiej Brytanii. Jego prawnicy złożyli wniosek do brytyjskiego Sądu Najwyższego, wskazując, że został attaché Republiki Środkowoamerykańskiej przy UE. To miało mu zapewnić immunitet. Nie zadziałało. Przedstawiciel dyplomacji tego afrykańskiego kraju ujawnił, że paszport Beckera jest fałszywy – i ma numer z serii dokumentów skradzionych. Wygląda na to, że Becker nie będzie miał ani majątku, ani dobrego imienia. Chociaż to drugie stracił chyba już wcześniej.

FOT. MICHAEL WEBER/IMAGOPOWER/EAST NEWS

NA FRONT ZAMIAST NA MECZ

Szwajcarscy kibice, którzy chcieli dojechać na mecz swojej reprezentacji z Brazylią, zamiast do Rostowa nad Donem dotarli w rejon działań wojennych na wschodniej Ukrainie. Jak poinformowała na Facebooku ukraińska dziennikarka, która pomogła zablakowanym turystom, zupełnie nie wiedzieli, że są w strefie zagrożenia. Chcieli nawet spędzić noc w hotelu w Amwrosijewce, zajętej przez rosyjskich separatystów. Ten turystyczny incydent najlepiej chyba odziera z mundiałowego opakowania brzydką prawdę o Rosji.

TAK BEZPIECZNIE, ŻE NAPADLI MINISTRA

Niedawno Donald Trump napisał coś o imigracji na Twitterze i powołał się na przestępczość w Londynie. Jego przeciwnicy natychmiast wyciągnęli statystyki, udowadniając, że w mieście przestępczość spada. Tymczasem brytyjski minister spraw wewnętrznych,

który szedł sobie londyńską ulicą i wyciągnął telefon, nie zdążył zadzwonić, bo wyrwali mu go złodzieje na skuterze. I po tym Sajid Javid stwierdził, że choć przestępczość ogólnie spada, to jednak trzeba wypowiedzieć wojnę przestępcom. Chce m.in., żeby policja mogła ścigać przestępców jeżdżących motocyklami bez kasków. Bo teraz nie może – żeby się nie przewrócili i nie zrobili sobie nic złego.

DOKLEJANY TRUDEAU

Nowoczesny, postępowy, młody, silny, odważny – taki obraz kanadyjskiego premiera budowany jest od początku jego kadencji. Nagle został jednak zburzony. A raczej – rozklejony. Do Internetu trafiło nagranie z jednej konferencji. Widać na nim, jak przemawiającemu Justinowi Trudeau w trakcie wystąpienia odkleja się jedna z brwi. To już chyba wolimy naciągniętego do granic możliwości Silvio Berlusconi, bo on przynajmniej ma jasną motywację – próbuje ukryć wiek. ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nie w moim ogródku

Wicepremier Matteo Salvini powiedział, że włoskie porty nie będą przyjmować zagranicznych statków z migrantami na pokładzie. Postępowcy łkają, że włoski faszysta gotuje tysiącom uchodźców śmierć na morzu.

To ohydne kłamstwo. Wszystkie akcje ratunkowe u wybrzeży Libii i Tunezji koordynują Włosi. Włoskie jednostki ratują większość migrantów, często przeładowując ich potem na statki organizacji pozarządowych. Spośród 629 pasażerów „Aquarius”, których Włosi nie zgodzili się przyjąć, 579 podjęła z morza, ratując im życie, włoska marynarka. Problemy zaczynają się, gdy migrantom nic już nie grozi.

W tym roku Włosi rozpatrzyli negatywnie 90 proc. z 40 tys. podań o azyl złożonych przez migrantów. Nie chcą ich przejąć od Włochów ani „unijni partnerzy”, ani ich macierzyste kraje. Dlatego Salvini powiedział „basta” zagranicznym statkom, które przewożą migrantów wyłącznie do Italii. Zamiast pomocy postępowy świat śle teraz do Italii protesty i podszyte osłepiającą hipokryzją najdziksze oskarżenia.

Capalbio to bogata miejscina na tokańskim wybrzeżu, gdzie rządzi, mieszka i wypoczywa kwiat włoskich postępowców. Gdy rząd polecił gminie przyjąć 50 migrantów, burmistrz nazwał decyzję „absurdalnym wyborem”,

a w petycji mieszkańcy napisali, że się na to nie godzą, bo „Capalbio to perła tokańskiego wybrzeża z luksusowymi willami, przyciągająca turystykę kulturalną”. W zamian postępowcy postawili sobie na plaży „Statek nadziei”, dzieło sztuki ukraińskich artystów, które peregrynuje po świecie, uczulając na tragedię uchodźców.

W dzienniku „Il Giornale” ukazał się rysunek portretujący scenę, którą satyryk podpatrzył najpewniej na plaży w Capalbio: rozwalony na leżaku pod parasolem zażywny jegomość besztą czarnoskórego obnośnego sprzedawcę: „Jak mogłeś mnie zbudzić?! Śniłem o lepszym świecie dla ciebie”. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



FOT. FOTOLIA

Gwarancja na bank

Gdy mikro-, małe i średnie firmy starają się o kredyt, ale brakuje im zabezpieczeń wymaganych przez banki, pomóc mogą gwarancje kredytowe udzielane przez Bank Gospodarstwa Krajowego

Mikro-, małe i średnie firmy, aby się rozwijać, potrzebują finansowania. Nie zawsze jednak dysponują wymaganymi przez banki zabezpieczeniami. W takiej sytuacji ich szanse na uzyskanie kredytu znacząco zwiększą gwarancje Banku Gospodarstwa Krajowego. Najbardziej znaną jest gwarancja de minimis, która zabezpiecza spłatę kredytu obrotowego lub inwestycyjnego w sytuacji, gdy przedsiębiorca nie spłaci go w terminie. Kredyt spłaca wtedy gwarant, czyli Bank Gospodarstwa Krajowego, który ma podpisane umowy z wieloma bankami w Polsce. Docelowo przedsiębiorca będzie musiał zwrócić odpowiednią kwotę wraz z odsetkami, ale z tych zobowiązań rozliczy się już z gwarantem. Kredyt z gwarancją de minimis jest więc korzystny i dla banków współpracujących z BGK, bo ponoszą mniejsze ryzyko, i dla przedsiębiorcy, któremu gwarancja umożliwia łatwiejsze zaciągnięcie kredytu i daje szansę na wynegocjowanie lepszych warunków kredytu, np. niższej marży. Procedura uzyskania gwarancji kredytowych jest prosta – wystarczy zawnioskować o nią w swoim banku wraz z wnioskiem o udzielenie kredytu. W przypadku kredytu obrotowego gwarancje de minimis są udzielane maksymalnie na okres 27 miesięcy, a w przypadku inwestycyjnego na nie więcej niż 99 miesięcy. Taka gwarancja zabezpiecza do 60 proc. kwoty kredytu, nie obejmuje odsetek oraz innych kosztów

związanych z kredytem, a stawka prowizji za udzieloną gwarancję wynosi tylko pół procenta kwoty gwarancji w stosunku rocznym.

GWARANCJE DLA INNOWACJI

O gwarancje kredytowe mogą także ubiegać się przedsiębiorcy z sektora MŚP, którzy wnioskując o kredyt, planują zrealizować projekt inwestycyjny polegający na wdrożeniu wyników prac badawczo-rozwojowych albo planując realizację projektu, spełniają jedno z 15 kryteriów podmiotowych, takich jak np.:

- dokonali zgłoszenia lub posiadają prawa w zakresie wynalazku, wzoru przemysłowego lub wzoru użytkowego,
- są lokatorami parku technologicznego lub inkubatora przedsiębiorczości,
- mają status centrum badawczo-rozwojowego czy posiadają funkcjonujący dział badawczo-rozwojowy w strukturze organizacyjnej firmy
- są dynamicznie rozwijającą się firmą, która w ciągu ostatnich 3 lat obrachunkowych odnotowała średnioroczny wzrost przychodów o 15%.

Gwarancja Biznesmax udzielana jest ze środków Funduszu Gwarancyjnego wsparcia innowacyjnych przedsiębiorstw Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (FG POIR). Jej uzyskanie wiąże się z możliwością otrzymania dodatkowego wsparcia w formie dopłaty do oprocentowania kredytu objętego gwarancją. Dotacja

umożliwia zwrot środków w wysokości nawet kilkuset tysięcy złotych. Jej wysokość zależy od kwoty kredytu i wysokości jego oprocentowania. Maksymalna kwota gwarancji to równowartość w złotych 2,5 mln euro, a jej najdłuższy możliwy okres to 20 lat. Gwarancja Biznesmax może zabezpieczyć aż do 80 proc. kapitału kredytu i jest bezpłatna. Dostępna jest w różnych bankach na terenie całego kraju tj.: Alior Bank, Bank Millennium, Bank Ochrony Środowiska, Bank Pekao, Bank Polskiej Spółdzielczości, Bank Spółdzielczy w Brodnicy, Krakowski Bank Spółdzielczy, PKO Bank Polski, Raiffeisen Bank Polska i SGB-Bank.

PO WYCZERPANIU LIMITÓW

Przedsiębiorcy, którzy wyczerpali limit pomocy de minimis i nie mogą lub nie zamierzają skorzystać z gwarancji BGK oferowanej w tej formule, mogą skorzystać z gwarancji udzielanych w zakresie programu COSME. Dotyczy to mikro-, małych i średnich przedsiębiorców, którzy poszukują zabezpieczenia kredytu obrotowego lub inwestycyjnego. Gwarancje COSME zabezpieczą spłatę 80 proc. wartości kredytu obrotowego lub inwestycyjnego, przy czym maksymalna kwota kredytu nie może przekroczyć 600 tys. zł. Korzyścią z posiadanej gwarancji jest także brak konieczności zastawiania własnego majątku, niska prowizja za udzielenie gwarancji (jeden procent w skali roku) oraz uproszczone procedury – wniosek o udzielenie gwarancji banki przyjmują w momencie składania wniosku kredytowego. Podobnie jak w przypadku gwarancji de minimis, tak i tu maksymalny okres gwarancji to 27 miesięcy dla kredytu obrotowego i 99 miesięcy dla kredytu inwestycyjnego. Gwarancja ta dostępna jest w 11 bankach tj.: Alior Bank, Bank Pekao, BOŚ Bank, Bank Zachodni WBK, Deutsche Bank Polska, ING Bank Śląski, mBank, PKO Bank Polski, Bank Polskiej Spółdzielczości, Bank Spółdzielczy w Brodnicy oraz SGB-Bank. Gwarancja finansowana jest z programu COSME oraz Europejskiego Funduszu na rzecz Inwestycji Strategicznych ustanowionego na mocy Planu Inwestycyjnego dla Europy. EFIS ma na celu wspieranie finansowania i wdrażania inwestycji produkcyjnych w Unii Europejskiej oraz zapewnienie lepszego dostępu do finansowania.

Marta Szuma

Więcej informacji na stronie www.bgk.pl lub pod nr telefonu 801-598-888

JACEK PRZYBYLSKI: Czy to, co się dzieje wokół GetBack, to afra na miarę Amber Gold?

PROF. ROBERT GWIAZDOWSKI: To zupełnie inna afra. W przypadku Amber Gold mieliśmy do czynienia z oszustwem za pomocą kija bejsbolowego pod hasłem: „Dajcie mi pieniądze, a ja będę inwestował w złoto”. Zasada była podobna jak przed kilkuset laty, podczas pierwszej afery tulipanowej: „Dajcie pieniądze, a będę wam tulipany kupował”, z tą różnicą, że wówczas przynajmniej początkowo te tulipany kupowano.

Natomiast GetBack to afra w sektorze finansowym, czyli tym, który dla współczesnych gospodarek jest ponoć najważniejszy i dlatego jest poddany

rynkowi windykacji w Polsce – dało się wcześniej przewidzieć?

Oczywiście. Jeśli takim powodzeniem cieszyły się wysoko oprocentowane obligacje korporacyjne firmy zajmującej się windykacją długów, które kupowała ona od innych wierzycieli – m.in. banków – za pieniądze pochodzące od nabywców tych obligacji, to albo GetBack płacił za te wierzytelności znacznie poniżej ich wartości, albo sprzedawano mu jakieś superpakiety długów łatwych do wyegzekwowania, albo dysponował jakimś super know-how znacznie lepszym od konkurencji do prowadzenia windykacji. Kiedyś mówiło się, że takim know-how dysponują Czeczeni, któ-

za pakiety wierzytelności więcej, niż wcześniej płaćła konkurencja. Pozostawał zatem wariant z Czeczeńcami. Albo... wariant na cebulki tulipanów lub złoto, tak jak w przypadku Amber Gold.

Sugeruje pan, że ten model biznesowy przypominał piramidę finansową?

Każda taka struktura ma charakter piramidy finansowej. Na początku jakieś zyski są wypłacane i wszyscy się cieszą. Amber Gold też początkowo płaćł, aby rozeszła się informacja, że można na tym dobrze zarobić. Bernard Madoff robił to samo. Na tym polega istota tej sztuczki. Jest ona stosowana od lat – raz na tulipanach, raz na złocie, raz na



Z prof. Robertem Gwiazdowskim, prawnikiem, komentatorem gospodarczym i ekspertem w Centrum im. Adama Smitha rozmawia Jacek Przybylski

Mechanizm GetBack

różnego rodzaju regulacjom. Ta afra pokazała, jak te regulacje działają.

„Wierzytiele oszukiwali GetBack o wartości portfela. GetBack oszukiwał DM o swojej wartości. DM oszukiwały klientów o wartości GetBack. Akcjonariusze GetBack oszukiwali zarząd. Zarząd oszukiwał akcjonariuszy. KNF pozwalał wszystkim się oszukiwać” – tak w skrócie opisał pan tę afra na Twitterze. Czy to oznacza, że kłopoty GetBack – jednego z największych graczy na

rynkach można było wynajść na Stadionie Narodowym, gdy jeszcze nazywał się Stadionem Dziesięciolecia i był na nim Jarmark Europa.

Pierwszy wariant oznaczałby, że banki i inni wierzyciele działali na własną szkodę. A przecież wszyscy, którzy działają na rynku finansowym, wiedzą, że akurat banki na swoją szkodę nie działają. Szybko się to zresztą potwierdziło, bo się okazało, że GetBack płaćł

wierzytelnościach – ale to ciągle ta sama sztuczka.

Jest pan pewny, panie profesorze, że to była sztuczka? Były prezes GetBack Konrad K., zanim trafił do aresztu, próbował przekonywać, że ma dobry pomysł na biznes, że znalazł nowych inwestorów i że jeśli będzie mógł działać, to postawi GetBack na nogi.

Skoro pokazali stratę na działalności w 2017 r. w wysokości 1,3 mld zł, to wydaje się, że nie ma na to szans.

Zasadnicze pytanie brzmi
bowiem: Na czym
spółka
miałaby
zara-

biać? Przecież już wiemy, że różnica między tym, co się da wywindykować, a ceną kupowanych wierzytelności, jest zbyt mała, aby pokryć roszczenia obligatariuszy. Trzeba by więc mieć zupełnie inny pomysł na biznes. Biorąc pod uwagę oprocentowanie obligacji oraz kwoty, które wcześniej zapłacono, nie bardzo wiadomo za co, to założenie, że teraz przyjadą inwestorzy i wyłożą pieniądze po to, aby ratować obligatariuszy, jest dość optymistyczne.

Znów tysiące Polaków dały się nabrać na wizję zarobku roztaczane przez zawodowych sprzedawców marzeń, z których część – tak jak informował „Parkiet” – reklamowała papiery dłużne GetBack jako bezpieczne niczym lokaty. Czy polskie sądy nie powinny wreszcie zacząć orzekać nie tylko wysokich odszkodowań, lecz także kar bezwzględnego więzienia wobec tych sprzedawców, którzy namawiają do ryzykownych inwestycji starsze osoby, które nie mając pojęcia np. o obligacjach korporacyjnych i często nie dywersyfikując portfela, stawiają na szali oszczędności całego życia?

Najpierw to prokuratura musiałaby nauczyć się, jak dobrze sformułować zarzuty. Jednak dziś prokuratorzy zajmują się stawianiem zarzutów sędziom, więc czarno to widzę.

Jak być w Polsce rzetelnym inwestorem, który kalkulację ryzyka i decyzje inwestycyjne opiera na dogłębnej analizie dostępnych informacji, skoro dwa miesiące przed wybuchem tzw. afery GetBack i cztery miesiące przed decyzją o aresztowaniu na trzy miesiące byłego prezesa spółki Konrada K. Giełda Papierów Wartościowych podczas uroczystej gali przyznała GetBack nagrodę „za optymalne

FOT. MACIEJ KOSCIARZ/KFP/REPORTER

» wykorzystanie możliwości rynków prowadzonych przez GPW”?

Nagrodzie się nie dziwię. Niektórzy „inwestorzy” z GPW rzeczywiście zarobili. Niektórzy sprzedali GetBack kota w worku, a obligacje innych zostały wykupione z niezłą premią.

Na tle innych Europejczyków Polacy mało oszczędzają i rzadko inwestują. Czy sprawa Get-Back wpłynie na zaufanie do akcji czy też obligacji korporacyjnych przeciętnego Kowalskiego?

Skoro kilka lat po Amber Gold pojawił się GetBack, to i w przyszłości się na pewno też pojawi jakiś „instrument”.

Im więcej dowiadujemy się w sprawie GetBack, tym bardziej można odnieść wrażenie, że instytucje odpowiedzialne za bezpieczeństwo rynku kapitałowego znowu poważnie zawiodły. Czy skoro kolejny duży gracz na rynku finansowym nie wzbudził na czas czujności Komisji Nadzoru Finansowego, to nie należałoby myśleć o gruntownych zmianach w tej instytucji, tak aby KNF zaczęła wreszcie działać prewencyjnie i nie tylko reagować na naruszenia?

W książce „No One Would Listen: A True Financial Thriller” Harry Markopolos opisał, jak przez lata całe próbował przekonać Komisję Papierów Wartościowych i Giełd (SEC), nadzorującą amerykański rynek finansowy, że zwroty z inwestycji obiecywane przez Bernarda Madoffa są po prostu matematycznie niemożliwe. Już w maju 2000 r. – osiem lat przed wybuchem afery – po spotkaniu z wysokim rangą urzędnikiem pionu nadzoru SEC dla Markopolosa „stało się jasne, że nie zrozumiał on nic z rozmowy oprócz słów »dzień dobry«”. Dlaczego niby urzędnicy polskiej Komisji Nadzoru Finansowego mieliby rozumieć coś więcej, zwłaszcza że powoływani są z klucza partyjnego?

Negatywnie trzeba ocenić nie tylko KNF. Prokuratura prowadzi śledztwo m.in. w sprawie o prowadzenie ksiąg rachunkowych wbrew przepisom i podawanie nieprawdziwych informacji. Tymczasem firma Deloitte, która przez kilka lat była audytorem GetBack, nie wychyciła nieprawidłowości. Jak to jest w ogóle możliwe?

Audytory prowadzą biznes audytorski, na którym chcą jak najwięcej zarobić. Dlatego są za komplikowaniem przepisów podatkowych, które wymagają komplikowania przepisów o rachunkowości. W efekcie stają się one tak skomplikowane, że nie potrafią ich zrozumieć sami audytory, zwłaszcza



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

1,3 mld zł

TYLKO WYNOŚI SKONSOLIDOWANA STRATA NETTO GETBACKU ZA 2017 ROK

że prace audytowe prowadzą świeżo upieczeni absolwenci studiów, bo audytowane firmy tną koszty audytów – koło się zamyka.

KNF chce wprowadzenia „białej listy” firm audytorskich oraz rzeczoznawców majątkowych. Aby móc prowadzić audyt sprawozdań finansowych, firmy musiałyby najpierw trafić na „białą listę”. To dobry pomysł?

A kto niby będzie tę „białą listę” tworzył? KNF? A kto stworzy „białą listę” kandydatów do KNF?

Konrad K. próbował również przekonać rządzących polityków do udziału w ratowaniu spółki. Premier Mateusz Morawiecki oświadczył po ostatnim posiedzeniu rządu, że „nie ma

konieczności powoływania komisji śledczej w sprawie GetBack”. Opozycja jest innego zdania. Czy rzeczywiście do wyjaśnienia tej sprawy wystarczy specjalny zespół powołany w Prokuraturze Krajowej przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę?

Premier Morawiecki ma rację – jeszcze żadna sejmowa komisja śledcza nigdy niczego nie wyjaśniła i nie wyjaśni. Zespół pana Ziobry też zresztą nie. Za to prokuratorzy pana Ziobry mogą być bardziej skuteczni w szukaniu haków na pana Morawieckiego niż posłowie opozycji w komisji śledczej. Z tym jednak, że nie wiadomo, czy haki te będą chcieli ujawnić, czy potraktują je jako argument przetargowy, np. przy obsadzie stanowisk w... KNF.

Premier Morawiecki podkreślał, że dzisiejszy prezes GetBack to członek zarządu PZU mianowany przez Platformę Obywatelską. Szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Michał Dworczyk, mówił z kolei, że „w tle spółki GetBack stoją ludzie bliscy PO”. Komu ta afery może zaszkodzić bardziej: PiS czy PO?

Komu bardziej zaszkodzi, nie wiem – to zależy od sprytu jednych i drugich. Wina rozkłada się pewnie po równo.

Opozycja wskazuje z kolei, że GetBack zabiegał o przychylność rządów dobrej zmiany, sponsorując gale, na których nagradzani byli pravicowi politycy czy też kupując reklamy w prawicowych mediach. W sprawie ratowania spółki miał zaś ponoć interweniować ojciec szefa rządu Kornel Morawiecki. Według posła PO Sławomira Neumanna to polityczny parasol ochronny sprawił, że sprawą GetBack tak późno zajęły się Komisja Nadzoru Finansowego, prokuratura czy też służby specjalne. Sądzi pan, że to możliwe?

Im większe zaangażowanie państwa w gospodarkę, tym więcej firm musi wchodzić w relacje z państwem. Trudno, by wchodziły w relacje z opozycją. Podlizywanie się rządowi – każdemu rządowi – jest oczywiste, i to nie jest nasza narodowa specjalność.

Formalnie GetBack jest objęty postępowaniem w sprawie restrukturyzacji zadłużenia. Czy spółka ma jednak jeszcze jakiekolwiek szanse na przetrwanie?

Nie wiem, nie widziałem papierów. Obligatariusze przekonali swojego kuratora, by zgłosił na ostatnim walnym zgromadzeniu moją kandydaturę do rady nadzorczej GetBack, ale byli lepsi, zdaniem akcjonariuszy, kandydaci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Gowin albo śmierć

Jak wiadomo, Polska ma szkolnictwo wyższe na najwyższym poziomie – tak wysokim, że nie wymaga ono żadnych zmian. Ani kosmetycznych, ani tym bardziej gruntownych. W końcu nasze dwa najlepsze uniwersytety – Warszawski i Jagielloński – „od zawsze”, czyli od zainicjowania w 2003 r. prestiżowego, corocznego szanghajskiego rankingu 500 najlepszych uczelni świata, zajmują poczesne miejsca; poczesne w ostatniej – piątej (Jagielloński) – i przedostatniej – czwartej (Warszawski) – setce tego zestawienia. I to, jak się okazuje, nam – dumnym, wstającym z kolan Polakom – najzupełniej wystarczy. A to oznacza, że nie będziemy się ścigać z żadnymi Oksfordami, Harvardami, Stanfordami, Cambridge'ami czy Princetonomi, które zajmują pierwsze lokaty w pierwszej setce tego rankingu. Ba, nie będziemy się ścigać nawet z uniwersytetami w Moskwie (93. miejsce) czy w Dreźnie i Pradze (w drugiej setce), bo i po co?

I to z tego powodu projektowi reformy szkolnictwa wyższego, z mozołem przyrzędzonemu przez ekipę Jarosława Gowina, wicepremiera i ministra nauki i szkolnictwa wyższego, grozi, że wyląduje w koszu albo zostanie mocno okrojony. Wspaniałe polskie szkolnictwo wyższe nie będzie przecież naśladować najlepszych uczelni z pierwszej setki rankingu szanghajskiego, skoro może dalej naśladować najgorsze: te z piątej i czwartej setki – uniwersytety Warszawski i Jagielloński. A w tej sytuacji: po cóż – wzorem

owych najlepszych – wzmacniać pozycję rektora uczelni i czynić z niego silnego menedżera, który miałby dość władzy, by dbać o wysoki poziom świadczonych usług, a więc także eliminować tych, którzy go obniżają?

Po jakie лихо – też wzorem najlepszych – wprowadzać do rady uczelni przedstawicieli instytucji, które łożą na nie swoje pieniądze – po to, by mogli kontrolować, czy są one efektywnie wydawane, skoro ci, co zawsze, jak zawsze mogą „skontrolować się” sami? Ba, po co pieniądze publiczne miałyby trafiać do najlepszych uczelni, skoro mogą – jak dotychczas – lądować w kasach wszystkich, choćby najsłabszych, w każdym powiecie?

Innymi słowy: po co premiować bardzo dobrych i dobrych, skoro można dzielić pieniądze między wszystkich, bez oglądania się na wyniki? A więc i bez wymagania, by były one jak najlepsze i w dodatku z każdym rokiem coraz lepsze?

Właśnie w tej sprawie – zacieklej obrony status quo – uformował się sojusz części studentów i ich nauczycieli, połączonych a to troską o to, by „wszystko pozostało po staremu” (w tym ich posady), a to nienawiścią do rządu PiS. Rzecz jasna – wszystko pod szczytnymi hasłami ochrony autonomii uczelni i ich szczególnej roli w życiu mniejszych ośrodków miejskich. I tak trzymać – do końca, czyli do wypadnięcia przez uniwersytety Warszawski i Jagielloński poza piątą setkę rankingu szanghajskiego. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Planowanie infrastruktury

Trzy obrazki. Pierwszy: Trasa Toruńska przebiegająca przez warszawskie Bielany. Kilka lat temu gruntownie przebudowana, cztery pasy w każdą stronę, w tym dwa szybkiego ruchu, odizolowane od zjazdów. A mimo to mamy nieustający korek w obie strony, mimo że zbudowano też obwodnicę Marek. Jak widać, szacunki natężenia ruchu rozminęły się z rzeczywistością.

Obrazek drugi: Dworzec Centralny w Warszawie, tylko odświeżony, ale tętniący życiem. Kawiarnie i sklepiki

Warto, aby dane wykorzystywane do szacunków ruchu były publicznie dostępne

pełne klientów, nieustanny ruch na peronach, wydaje się, że wydajność obiektu odpowiada potrzebom miasta.

Obrazek trzeci: nowy dworzec kolejowy Łódź Fabryczna, na którym byłem niedawno. Piękny obiekt, błyszczy nowością, świetnie działa klimatyzacja, co daje ulgę w upalne czerwcowe popołudnie. Tylko brak ludzi, strażników naliczyłem więcej niż podróżnych. Wszystkie lokale na wynajem stoją zamknięte, na środku tylko jeden mały stand z kawą, sokami i kanapkami.

Nie wiem, czy ruch na dworcu Łódź Fabryczna potwierdza znane problemy de-

mograficzne Łodzi, bo miasto „wymiera” bardzo szybko, czy to raczej słaby rozwój biznesu w tym historycznie tętniącym przedsiębiorczością mieście. Z pewnością jednak warto zadać pytanie, na bazie jakich szacunków ruchu podróżnych powstał tak wielki dworzec, czy raczej było to funkcją ego włodarzy miasta i potrzeb wyborczych. Można powiedzieć, że się czepiam, bo pewno korzyści dla miasta z tej budowy za 2 mld zł jest wiele, a ja patrzę tylko na pusty dworzec. Niemniej jednak problem jest i ilustrują go te trzy obrazki. W jaki sposób planujemy rozwój infrastruktury w Polsce, jak szacujemy natężenie ruchu, liczbę klientów i inne ważne parametry decyzji infrastrukturalnych.

Tego typu decyzje, które dotyczą 2 mld zł w Łodzi czy ponad 30 mld zł w przypadku Centralnego Portu Lotniczego, trzeba podejmować bardzo rozważnie. Warto, aby dane wykorzystywane do szacunków ruchu były publicznie dostępne, żeby badacze na uczelniach mogli w ramach doktoratów czy prac naukowych wykonać niezależne szacunki, a opinia publiczna mogła się z nimi zapoznać. Wtedy powstanie wiele ciekawych prac naukowych, Polska dołączy do dobrych praktyk innych krajów w dostępie do danych sektora publicznego, publiczny grosz będzie wydawany bardziej racjonalnie, a inwestycje infrastrukturalne będą lepiej dopasowane do przyszłych potrzeb Polaków. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Nowowy podatek (bo tak można go de facto nazwać) przeznaczony na pomoc osobom niepełnosprawnym w wysokości 4 proc. dochodu, ściągany od osób zarabiających ponad milion złotych rocznie, prawdopodobnie zostanie przyjęty. Tym bardziej że – jak wynika z sondażu CBOS przeprowadzonego jeszcze przed ogłoszeniem przez minister finansów Teresę Czerwińską konkretnych propozycji – popiera go 57 proc. ankietowanych. Co prawda, z tego sondażu wynika również, że zdaniem ankietowanych osoby zarabiające powyżej 25 tys. zł miesięcznie powinny płacić prawie dwukrotnie niższe podatki niż obecnie, ale przedstawiciele rządu będą mogli powiedzieć: Polacy oczekują od nas wprowadzenia nowej daniny – vox populi, vox Dei.

Jeśli nic się nie zmieni, to daniną solidarnościową zostaną obłożeni ci, którzy zarabiają ponad milion złotych rocznie z tytułu pracy, działalności gospodarczej (także podatku liniowego), emerytur (choć to będzie rzadkość) i jako inwestorzy prywatni płacą „podatek Belki”. Ich przychody zostaną zsumowane, zmniejszone o koszty oraz składki ZUS i jeśli pozostanie coś ponad milion złotych, to zostanie z tego potrącone dodatkowe 4 proc. Ministerstwo Finansów szacuje, że takich osób będzie ok. 25 tys. i razem zrzuć się na ok. 1,15 mld zł rocznie.

Kim są ci ludzie? Można tylko szacować, gdyż dokładnych danych nie ma. Ekonomista Paweł Bukowski z London School of Economics and Political Science, który prowadzi badania dotyczące nierówności dochodowych w Polsce, dedukuje następująco: – 25 tys. najlepiej zarabiających to mniej niż promil wszystkich zarabiających. Już wśród 1 proc. najlepiej zarabiających przeważają osoby prowadzące działalność gospodarczą. Sądzę, że danina solidarnościowa dotknęłaby margines bardzo bogatych menedżerów i przede wszystkim przedsiębiorców – mówi Bukowski w rozmowie z „Do Rzeczy”. – To byłoby pewnie głównie menedżerowie wielkich korporacji, ludzie pełniący wysoko postawione funkcje w bankach czy firmach ubezpieczeniowych. Także przedsiębiorcy płacący liniowy PIT – tłumaczy „Do Rzeczy” doradca podatkowy Radosław Piekarczyk.

MILIONERZY EUROPY

Wprowadzenie „daniny solidarnościowej” oznaczałoby małą rewolucję w systemie podatkowym. Byłaby ona czymś w rodzaju „jednolitej daniny”, od-

prowadzanej od sumy różnych podstaw podatków dochodowych. Chociaż nie wszystkich, bo np. podatek od dywidend pozostałby nienaruszony, podobnie jak „podatek Belki” płacony za transakcje dokonywane za pośrednictwem funduszy inwestycyjnych. Jednak w pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że „Mateuszowe”, jak nowy podatek nazwał na swoim blogu prof. Robert Gwiazdowski, de facto likwiduje podatek liniowy od przedsiębiorców, podobnie jak wprowadza progresję podatkową w przypad-

z tego, że po wprowadzeniu nowego podatku nasz rodzimy milioner i tak będzie miał się całkiem dobrze w porównaniu ze swoimi zachodnimi odpowiednikami.

Przykład: Niemcy. Jego zarobiony w Polsce milion wart jest (według parytetu siły nabywczej) za Odrą ok. 435 tys. euro. Osób zarabiających powyżej pół miliona euro jest w RFN 60,5 tys., można więc szacować, że „polskich” milionerów byłoby nad Renem trzy razy więcej niż u nas. Zakładając, że to bezdzietny singiel, już powyżej 260,5 tys. euro wpada w piątą

Nasze niesolidarne podatki



Stefan Sękowski

Daninę solidarnościową ma zapłacić niecały promil społeczeństwa – głównie menedżerowie wielkich spółek i przedsiębiorcy.

Ciekawe jest to, kto nie dokłada się solidarnie do wspólnego budżetu, nie tylko na niepełnosprawnych

ku części inwestorów giełdowych. To jeszcze bardziej skomplikuje nasz system podatkowy.

To jest główny problem z „daniną solidarnościową”. Trzeba bowiem przyznać, że w porównaniu z innymi krajami rozwiniętymi dochody najbogatszych są u nas dość nisko opodatkowane – w przeciwieństwie do osób zarabiających mniej (zwłaszcza prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą). Jak obliczyli eksperci Polityka Insight, samodzielny przedsiębiorca zarabiający w okolicach płacy minimalnej oddaje państwu ok. 61 proc. swoich dochodów, podczas gdy osoba zarabiająca ponad 23 tys. zł miesięcznie na umowie o dzieło raptem 15 proc. Nie jest to wystarczający powód do tego, by komplikować system, ale jednak warto zdać sobie sprawę

próg podatkowy, wynoszący 45 proc. Do tego płaci jeszcze 5,5 proc. od swojej kwoty podatku w ramach niemieckiej „daniny solidarnościowej”, która idzie na pomoc wschodnim landom. Jeśli jest katolikiem lub protestantem, to musi także płacić podatek kościelny. W zależności od tego (i od tego, w jakim kraju związkowym mieszka) odprowadzi (wraz z różnymi składkami) 45–49 proc. podatku. Podobnie rzecz ma się w Wielkiej Brytanii, gdzie realna stopa opodatkowania wyniesie ok. 44 proc. Osiągając dochód w wysokości ok. 395 tys. funtów, w najwyższy próg podatkowy, wynoszący również 45 proc., wpada od kwoty 150 tys. funtów. Tak jak i w Polsce, nie obowiązuje go już w tych rejestrach kwota wolna, choć jeśli jest niewidomy, to może skorzystać ze specjalnej ulgi w wysokości 2390 funtów – to

ciekawostka warta odnotowania w kontekście tego, że pomoc osobom niepełnosprawnym (o którą chodzi przy „daninie solidarnościowej”) na Wyspach zachodzi także poprzez system podatkowy.

ODCIĄŻYĆ PRACĘ, DOCIĄŻYĆ KAPITAŁ

Jeśli mielibyśmy do kogoś porównywać sytuację naszych krezusów, to byłiby to np. nasi południowi sąsiedzi. W Czechach (podobnie jak w Wielkiej Brytanii) pomaga się niepełnosprawnym poprzez oferowanie im ulg podatkowych – w zależności od stopnia kalectwa można otrzymać zwolnienie w wysokości do 16 140 koron (ok. 2230 zł według parytetu siły nabywczej). Nasz milioner zarabiałby tam ok. 7,2 mln koron, płacąc od nich teoretycznie podatek liniowy wynoszący 15 proc. Teoretycznie, bo – abstrahując od innych potencjalnych ulg – od 2013 r. musi płacić „podatek solidarnościowy” w wysokości dodatkowych 7 proc. od dochodu osiągniętego powyżej 1,35 mln koron (ok. 190 tys. zł). Danina ta została wprowadzona tymczasowo na dwa lata, ale jak to z tymczasowymi daninami bywa, stała się nieodłączną częścią fiskalnego krajobrazu. Efekt i tak jest dość zadowalający, w kieszeni czeskiego milionera pozostaje bowiem 62 proc. jego dochodu. Dla porównania – przy umowie o pracę polskiemu milionerowi zostaje według obliczeń Polityka Insight ok. 61 proc. na „czysto”, przynajmniej dopóty, dopóki Trybunał Konstytucyjny nie uzna, że zniesienie „trzydziestokrotności” jest zgodne z konstytucją (według moich obliczeń będzie to wtedy ok. 58 proc.).

Pytanie tylko, jaki sens ma – znowu – szukanie nowych pieniędzy w dochodach z pracy. Dochody z PIT to raptem ok. 17 proc. całociowych dochodów budżetu z podatków. Oczywiście w przypadku milionerów trudno mówić o ludziach, których nowa danina w szczególnie sposób dotknie. To normalne, że skupiamy się na PIT, bo większość Polaków go rozlicza, jednak myśląc tylko o tym, co zmienić w obciążeniach jego obecnych płatników, zapominamy o tym, że nasz system podatkowy jest bardzo niesolidarny – wobec samych podatników. I to nie dlatego, że majątni pracujący płacą zbyt niskie podatki, ale dlatego że nie wszyscy Polacy płacą je w takim stopniu jak inni. Koronnym przykładem jest choćby to, że rolnicy nie płacą podatku dochodowego (a jednak od niego całkiem nie uciekniemy). Inną kwestią jest fiskalne uprzywilejowanie w Pol-

sce kapitału względem pracy. O ile praca obłożona jest dużymi daninami, o tyle kapitał – który przecież także przynosi zwrot – już nie. Zarówno „podatek Belki”, jak i ten od dywidend wynosi 19 proc.: to prawda, że to więcej o jeden punkt od pierwszego progu PIT, jednak zatrudnieni na umowę o pracę odprowadzają także liczne składki. Już sama „danina solidarnościowa” traktuje dochody z kapitału dość wybiórczo. W Polsce nie ma także poważnego podatku od nieruchomości. W raporcie „Bogacić się łatwiej i sprawliwiej. Jak uzdrowić polski system danin publicznych i transferów społecznych” Nowej Konfederacji Andrzej Mikosz proponuje, by obniżając opodatkowanie pracy, utracone wpływy zrekomensować m.in. nową formą opodatkowania sklepów wielkopowierzchniowych (które zdaniem byłego ministra skarbu zarabiają przede wszystkim na wynajmie



FOT. J. KOTLIK

nieruchomości i działalności finansowej) oraz niskim podatkiem katastralnym. Ten kontrowersyjny pomysł ma swoje wady – jak choćby tę, że wartość mieszkania poznajemy dopiero wtedy, gdy ktoś chce je kupić, więc ustalanie wysokości podatku zawsze będzie arbitralne – jednak wskazuje na to, że pieniędzy można szukać tam, gdzie najbogatsi je lokują.

TYRANIA STATUS QUO

Tego jednak nie robi się z dwóch powodów. Po pierwsze, by nie wywoływać wilka z lasu – rządzący nie mają w zwyczaju zmieniać „miks podatkowego”, a jeśli już podwyższają daniny w jednym miejscu, to po to, by wydać wpływy na nowe zabawki, a nie po to, by obniżyć inne podatki. Po drugie, brak niektórych podatków – skupmy się na rolniczym PIT i katastrze – to swego rodzaju „polityka społeczna”. Przez

lata transformacji polska wieś była swoistą poduszką socjalną zmniejszającą skutki wysokiego bezrobocia i ubóstwa: ludzie mieszkający na niej nie byli uwzględniani w statystykach braku pracy, a i w ostatecznym rozrachunku wieś potrafi się „sama wyżywić”. Także brak katastru można w ten sposób wytłumaczyć. W Polsce ok. 80 proc. mieszkań znajduje się w prywatnych rękach, często nie są to luksusowe apartamenty, ale M-2 lub M-3 odziedziczone po komunie lub kupione już w III RP. Właściciele tych mieszkań mogłoby nie być stać na zapłatę podatku – dziś podatek od nieruchomości odprowadzany do gminy potrafi wynosić kilkadziesiąt złotych rocznie, gdyby wprowadzić kataster, mógłby wzrosnąć do kilku tysięcy. Co prawda, A. Mikosz twierdzi, że skoro wiele mieszkań trzymanych jest przez starszych ludzi z myślą o przekazaniu ich kiedyś dzieciom w spadku, to powinny się one dokładać do jego opłacenia (nakłady miałyby im zrekomensować niższe opodatkowanie pracy i ujemny podatek dochodowy promujący dzietność inaczej niż obecne „500+”), jednak to wymagałoby chyba daleko idącej zmiany mentalności. – Niestety, zawsze gdy podnosi się taki temat, ktoś przytacza przykład drobnego rolnika lub babci, którą chce się wyrzucić z mieszkania w centrum Warszawy. Jednak wielu rolników osiąga z upraw czy hodowli milionowe dochody. Można także tak skonstruować podatek od nieruchomości, by nie uderzał w ludzi mających niewielkie mieszkania. Taki podatek mógłby mieć też pozytywny wpływ na miasta, które mogłyby odżyć, ponieważ dziś wiele gruntów trzymanych jest z myślą o tym, by kiedyś je sprzedać – mówi Piekarz.

Uczynienie naszego systemu podatkowego bardziej sprawiedliwym wymagałoby jego całociowego przemodelowania. Zmniejszenie opodatkowania pracy odciążyłoby tych, którzy nawet jeśli zarabiają względnie dużo, to posiadają (jeszcze) mało, z kolei dociążając fiskalnie kapitał, można by ściągnąć więcej pieniędzy z tych, którzy mają dużo. Takie rozwiązanie wcale nie wymagałoby komplikowania systemu ostrą progresją. Gdyby... To jednak niestety wymyka się mentalności polityków, których horyzont czasowy ogranicza koniec kadencji. Oni wolą naklejać na system podatkowy niefunkcjonalne łaty, które mają tę zaletę, że przemawiają do wyobraźni wyborców. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.

Bezpiecznie do celu



FOT. FOTOLIA

*Jacek Przybylski*

Chociaż w Polsce spada liczba zabitych i rannych na drogach, to wciąż w naszym kraju ryzyko wypadku jest wyższe niż w większości krajów Unii Europejskiej. Jak unikać zagrożeń i bezstresowo podróżować?

Według danych Komendy Głównej Policji w 2017 r. doszło do 32 705 wypadków, w których 39,4 tys. osób zostało rannych, a 2810 zginęło. W porównaniu z rokiem 2016 liczba wypadków spadła o 2,8 proc., rannych o 3,4 proc., a ofiar śmiertelnych o 7,1 proc. Statystyki wyglądają jeszcze lepiej, gdy porównamy je z danymi sprzed dekady. W 2007 r. śmiertelnych ofiar wypadków drogowych było aż 5583.

Mimo lepszych danych Polska nadal jest jednak krajem, w którym ryzyko śmierci w wyniku wypadku drogowego jest wyższe niż w większości państw Unii Europejskiej.

W przeliczeniu na liczbę mieszkańców najmniej wypadków było w zeszłym roku w województwach kujawsko-pomorskim (45,3 wypadków na 100 tys. mieszkańców), podlaskim (57,6) i lubelskim (58,4), a najwięcej w małopolskim (106,6), pomorskim (111,8) oraz łódzkim (152,4).

KORYTARZ ŻYCIA

Częściowo na większe bezpieczeństwo na drogach wpłynęło zaostrzenie przepisów dotyczących kar dla piratów drogowych, a także dla prowadzących w stanie nietrzeźwości.

Ofiar śmiertelnych mogłoby być jednak jeszcze mniej, gdyby zmienić obyczaje na polskich drogach i ułatwić ratownikom sprawny dojazd na miejsce wypadku. Można to zrobić, tworząc tzw. korytarz życia, czyli po prostu

przestrzeń pozostawioną przez pojazdy stojące w korku dla wozów ratunkowych. Dlaczego to takie ważne? Ratownicy przekonują, że pasy awaryjne, po pierwsze, często są zablokowane, a po drugie, są sporo węższe niż prawidłowo utworzony korytarz życia. Tymczasem w walce o ludzkie życie liczy się każda minuta.

W wielu krajach europejskich – np. w Austrii, Czechach, we Francji, w Niemczech, Słowenii, Szwajcarii czy na Węgrzech – kierowcom, którzy nie zrobili miejsca dla karetki, od dawna grożą wysokie mandaty.

W Polsce przepisy nie regulują jeszcze tworzenia tego typu przestrzeni na drodze (choć prawo drogowe jasno mówi, że uczestnicy ruchu są zobowiązani ułatwić przejazd pojazdowi uprzywilejowanemu). Ministerstwo Infrastruktury zapowiedziało w tym roku rozpoczęcie działań na rzecz usankcjonowania w prawie zachowań ułatwiających służbom ratowniczym dotarcie na miejsce wypadku. Pytania dotyczące

zasad tworzenia korytarzy życia mają się też znaleźć w puli pytań egzaminu na prawo jazdy.

Jak zatem powinni się zachować kierowcy, gdy stojąc np. na zakorkowanej autostradzie lub drodze szybkiego ruchu, zobaczą w lusterkach ambulans lub wóz straży pożarnej. To proste: samochody na lewym pasie przesuwają się w kierunku lewej krawędzi pasa, a pojazdy na pozostałych pasach przesuwają się do prawej krawędzi pasa. Jeszcze lepiej zaś nie czekać, aż usłyszysz się sygnał karetki czy straży pożarnej, i wyrobić sobie prosty nawyk: gdy stoimy w korku, od razu zjedźmy do krawędzi pasa – w ten prosty sposób można bowiem uratować komuś życie.

Warto też ściszyć radio, aby móc wcześniej usłyszeć sygnały nadjeżdżających karetek czy wozów strażackich, a także pamiętać, aby nawet w upalne dni nie wysiadać z auta na pas awaryjny i nie otwierać drzwi od strony, z której może nadjechać pojazd uprzywilejowany.

Tworzenie takich korytarzy jeszcze ważniejsze jest w miastach, gdzie przeważnie w ogóle nie ma pasa awaryjnego. Niestety, niektórzy kierowcy wciąż niechętnie ustępują miejsca ratownikom czy strażakom. Co gorsza, na polskich autostradach i „ekspresówkach” wciąż zdarzają się kierowcy, którzy utworzone korytarze życia wykorzystują do cofania czy wręcz zawracania i jazdy pod prąd, co nie tylko utrudnia akcję ratownikom i naraża ofiary wypadków na śmierć, ale również jest sprzeczne z wieloma obowiązującymi przepisami o ruchu drogowym.

BEZPIECZNIE, CZYLI JAK?

Przed rozpoczęciem podróży należy sprawdzić m.in. poziom oleju, upewnić się, czy szyby są czyste, opony odpowiednio napompowane, a w aucie znajdują się trójkąt ostrzegawczy, kamizelka odblaskowa, apteczka, linka holownicza oraz lewarek.

Następnie przyjmijmy właściwą pozycję za kółkiem. Kierownicę trzymamy dwoma rękoma, najlepiej w pozycji „za piętnaście trzecia” lub „za dziesięć druga”. To ważne, bo prawidłowe ułożenie rąk znacząco ułatwia szybkie i bezpieczne wykonywanie manewrów. Warto też pamiętać, aby kciuki nie obejmowały koła kierownicy i aby nie trzymać dłoni na szczycie kierownicy – w przeciwnym

razie wystrzelająca poduszka powietrzna może doprowadzić do poważnego urazu rąk. Podstawowa zasada mówi również, aby poza momentami zmiany biegów obie ręce trzymać na kierownicy. Ręce i nogi kierowcy powinny być lekko ugięte. Upewnijmy się również, że lusterka są właściwie ustawione i że wszyscy pasażerowie mają zapięte pasy bezpieczeństwa. Aby nie ograniczać sobie widoczności, warto unikać zbędnych naklejek czy maskotek na szybach lub pod lusterkiem.

Podczas jazdy skupiamy uwagę na drodze, nieustannie sprawdzając zarówno to, co się dzieje przed samochodem, jak i sytuację za naszym autem. Dostosowujemy prędkość do ograniczeń, panujących warunków atmosferycznych, a także ruchu na drodze, pamiętając o zachowaniu bezpiecznej odległości

Warto pamiętać o zachowaniu bezpiecznej odległości od samochodów poprzedzających zarówno z przodu, jak i po bokach

od samochodów poprzedzających. Bezpieczną odległość mierzymy nie w metrach, lecz w sekundach. Jak? Na przykład jeśli auto jadące przed nami mija np. znak, słup elektryczny, słupek kilometrowy etc., możemy zacząć odliczać do momentu, gdy my znajdziemy się na tej samej wysokości. Bezpieczny dystans powinien wynosić 3 s przy dobrych warunkach atmosferycznych, a co najmniej 5 s, jeśli padają deszcz lub śnieg, nad drogą unosi się mgła etc. Inna zasada mówi, że odległość bezpieczna w metrach powinna odpowiadać prędkości jazdy – czyli przy 50 km/godz. zachowujemy 50 m, a przy 100 km/godz. 100 m od samochodu poprzedzającego.

Zwracamy uwagę nie tylko na auto poprzedzające, lecz także na samochód przed nim. Dzięki temu możemy uniknąć kolizji lub groźnego wypadku, nawet jeśli kierowcy pojazdu poprzedzającego nie uda się w porę odczytać intencji prowadzącego przed nim.

Podczas jazdy nie rozmawiamy przez telefon komórkowy, nie sprawdzamy i nie piszmy SMS-ów i nie przeglądamy portali społecznościowych.

Nie tylko dlatego, że grozi za to mandat, lecz także dlatego, że zerkając na ekran smartfona, możemy przejechać nawet kilkadziesiąt metrów, kompletnie nie wiedząc, co akurat dzieje się na drodze. W takich sytuacjach ryzyko wypadku wzrasta o kilkadziesiąt procent. Trzymanie telefonu w dłoni i prowadzenie jedną ręką może zaś skutkować utratą kontroli nad pojazdem.

Z danych amerykańskiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego (NHTSA) wynika, że cztery piąte wszystkich wypadków na drogach jest związanych z brakiem uwagi kierowcy. A żeby tę uwagę utrzymać, nie tylko nie rozmawiamy przez komórkę, lecz pamiętajmy także o regularnych przerwach w podróży. Nie warto dla kilkunastu minut wcześniej u celu narażać swojego życia i zdrowia. Jeśli więc poczujemy, że bez uzasadnienia zaczynamy prowadzić z nierównomierną prędkością, nagle przypadkowo zmieniamy tor jazdy lub zaczynamy mieć problem z płynnym przełączaniem biegów, koniecznie zjedźmy na parking i odpocznijmy.

Warto też pamiętać o zasadzie ograniczonego zaufania, czyli o tym, że bezpieczni kierowcy myślą nie tylko za siebie, ale również próbują przewidywać błędy innych. Warto więc np. mocno zwolnić, jeśli widzimy, że inny kierowca mimo braku pierwszeństwa zbyt szybko zbliża się do skrzyżowania. Oczywiście, w razie kolizji lub wypadku wina będzie jego, ale szkodę poniosą wszyscy uczestnicy zdarzenia.

Pamiętajmy też, że wielu kierowców lekceważy znaki (np. kierowcy ciężarówek na A2 bardzo często wyprzedzają na odcinkach, na których obowiązują zakaz wyprzedzania).

Czekając na możliwość skrętu w lewo – gdy trzeba przepuścić sznur innych pojazdów – dobrze jest trzymać kierownicę prosto. Dzięki temu, jeśli ktoś nie zdąży w porę wyhamować i uderzy w tył czekającego na skręt auta, to nie wypchnie go na przeciwny pas ruchu wprost „na czołówek”.

Włączajmy też światła awaryjne, aby ostrzec innych kierowców o niebezpieczeństwie (np. gdy nagle stajemy w korku na autostradzie lub drodze szybkiego ruchu). Pamiętajmy też, aby nie jeździć w martwym punkcie innych pojazdów, zwłaszcza ciężarówek, których kierowcy często nie widzą w lusterkach mniejszych



■ samochodów. Jadąc przed ciężarówką na drodze krajowej, nie hamujmy nagle do 50 km/godz. tuż po minięciu znaku informującego o terenie zabudowanym – lepiej nieco wcześniej położyć nogę na hamulec i zwalniać stopniowo.

Warto również zjeżdżać z drogi piratom drogowym – jeśli jadą nam „na zderzaku” i zachowują odstęp mniejszy niż 1 s, to mamy niemal gwarancję, że w razie niebezpiecznej sytuacji nie zdążą wyhamować i uderzą w tył naszego auta.

Ignorujemy też drogowych chamów i nie dajmy się wyprowadzić z równowagi tym, którzy jeżdżą prowokacyjnie i agresywnie. Stres obniża bowiem naszą koncentrację i może prowadzić do nieracjonalnych decyzji na drodze.

Unikajmy też dłuższej jazdy w pobliżu aut, których karoseria świadczy o dużej liczbie wcześniejszych stłuczek.

Dobrym pomysłem jest również jazda zewnętrznymi pasami ruchu – dzięki temu w razie nagłego niebezpieczeństwa łatwiej można uciec na pobocze.

Pamiętajmy również o używaniu kierunkowskazów w taki sposób, aby odpowiednio wcześniej zasygnalizować, że szykujemy się do manewru.

Nigdy nie wolno też wsiadać za kierownicę pod wpływem alkoholu lub w stanie dużego zmęczenia. Badania wykazały, że po dobie bez snu trzeźwy kie-

rowca zachowuje się jak kierowca, który ma we krwi aż jeden promil alkoholu.

GADŻETY RATUJĄCE ZDROWIE

Polacy jako pierwsi kierowcy w Europie mają również do dyspozycji inną technologiczną nowość, która w razie wypadku może uratować zdrowie lub życie. Na początku roku PZU pokazała małą białą-niebieską kostkę, którą umieszcza się pod szybą auta.

Ignorujmy drogowych chamów i nie dajmy się wyprowadzić z równowagi tym, którzy jeżdżą agresywnie. Stres obniża bowiem koncentrację

Niewielkie plastikowe urządzenie (tzw. beacon) we współpracy ze smartfonem 24 godziny na dobę monitoruje prędkość, przeciążenia etc. A jeżeli dojdzie do wypadku, natychmiast powiadamia o tym ubezpieczyciela. W takiej sytuacji pracownicy centrum alarmowego próbują kontaktować się z kierowcą, a jeśli im się to nie uda, sami wzywają pomoc.

Zgodnie z unijnymi przepisami od kwietnia 2018 r. w urządzenia systemu

eCall automatycznie wzywające pomoc w razie wypadku muszą być obowiązkowo wyposażone wszystkie dopuszczane do sprzedaży nowe auta o masie do 3,5 tony. System w razie wykrycia kolizji lub wypadku automatycznie przesyła do centrum powiadamiania ratunkowego dane o tym, gdzie i kiedy doszło do zdarzenia, jakie są uszkodzenia, ile osób jest w pojeździe, w którym kierunku poruszał się pojazd etc. System można też aktywować ręcznie (naciskając umieszczony w pobliżu podsufitki przycisk SOS), np. jeżeli jesteśmy świadkami wypadku.

Szacuje się, że dzięki eCall czas powiadamiania służb ratunkowych o wypadku skróci się o ok. 40 proc. w miastach i o 50 proc. na obszarach wiejskich. Wprowadzenie obowiązku stosowania systemu eCall w nowych autach ma też zmniejszyć liczbę ofiar śmiertelnych wypadków w Unii Europejskiej nawet o 4 proc. Podobne rozwiązania (np. system OnStar) były już wcześniej stosowane przez producentów różnych, zwłaszcza luksusowych, marek. Urządzenia systemu eCall można też zamontować w starszych modelach aut.

Z kolei bezpieczeństwo podczas manewrowania na parkingach zwiększyć może montaż kamery cofania. Jeśli samochód nie jest w nią fabrycznie wyposażony, to na rynku można znaleźć wiele modeli, które są łatwe do przymocowania i odporne na jesienno-zimowe warunki atmosferyczne.

Nowe technologie mogą ułatwić również dobre zaplanowanie trasy, co ma również duży wpływ na bezpieczeństwo. Wybierając się w dalszą podróż, starajmy się unikać niebezpiecznych odcinków dróg oraz takich pór dnia, w których tworzą się największe korki. Podczas jazdy często przydaje się też smartfon oraz aplikacje dla podróżnych (np. Google Maps, mapy w telefonach Apple czy też aplikacja HERE WeGO, która jest dostępna zarówno na systemie Android, jak i iOS), które stale łącząc się z Internetem, mogą ostrzec przed wypadkiem na autostradzie i zawczasu zasugerować inną trasę przejazdu.

Pamiętajmy też, że bezpieczna jazda opłaca się podwójnie. Pozwala bowiem nie tylko uniknąć niebezpiecznych zdarzeń, lecz także umożliwia relaksującą, bezstresową podróż zarówno kierowcy, jak i pasażerom.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: ROWER KROSS LEVEL BOOST 1.0

Intensywny interwałowy trening na płaskich odcinkach i przyjemne chwile odpoczynku podczas stromych podjazdów? To możliwe, jeżeli siedzi się za kierownicą e-roweru w stylu MTB, czyli elektrycznego górskiego roweru stworzonego dla miłośników jazdy po górskich szlakach i po trudnym terenie.

Testowany model dobrze się sprawdza również na miejskich ścieżkach, choć wówczas nie wykorzystujemy stu procent jego możliwości. LEVEL BOOST 1.0 ma trzy tryby wspomagania systemu Shimano Steps: eco, trail oraz boost. Na pierwszym, najsłabszym wspomaganiu – można przejechać ok. 100 km, na drugim ok. 90 km, a na trzecim – ok. 60 km. Tryby łatwo przełącza się przyciskami na kierownicy.

Wbrew pozorom nie jest to gadżet dla słabeuszów czy emerytów. Zgodnie z przepisami wspomaganie wyłącza się powyżej 25 km/godz. Kiedy bateria się wyczerpie, na e-rowerze tylko na płaskim terenie jedzie się mniej więcej tak samo jak na zwykłym rowerze. Ze względu na wyższą o niemal 10 kg wagę sporo trudniejsze jest jednak wówczas pokonywanie stromych podjazdów, a jazda terenowa wymaga już naprawdę niezłej kondycji. E-rower może być też ciekawą propozycją dla osób, które przed startem w wyścigu chciałyby najpierw poznać trasę, nie tracąc na jej objazd zbyt wielu sił. Bateria jest wymienna.

Litowo-jonową baterię ładuje się tak jak smartfony czy tablety, czyli podłączając ją do zwykłego gniazdka elektrycznego. Załadowanie jej od zera do pełna trwa cztery godziny, a do poziomu 80 proc. tylko dwie i pół godziny.

Plusami są lekka aluminiowa rama, 29-calowe koła oraz przerzutki, korby, manetki i hamulce firmy Shimano. Zaletą jest też nowoczesny design, a także klasyczne czarno-

grafitowe malowanie z czerwonymi wstawkami. Rama jest tak skonstruowana, że podczas jazdy przyjmujemy wygodną dla kręgosłupa pozycję, która umożliwia wielogodzinną jazdę bez obaw o ból pleców.

Dla wielu czytelników największym problemem może być cena. Za ten model e-roweru Krossa trzeba zapłacić aż 9,5 tys. zł. ©

Jacek Przybylski



MAŁE JEST PIĘKNE?

Czasami ten stary slogan się rzeczywiście sprawdza w praktyce. Nie jestem jednak przekonany, czy moda na miniaturyzację telefonów komórkowych, tak silna na początku XXI w., jeszcze wróci. Chcemy telefony z dużymi, wyraźnymi ekranami pozwalającymi na sprawne surfowanie w Internecie, z dobrymi aparatami fotograficznymi i mocnymi głośnikami. Telefoniczne transformery. Tymczasem Atom wygląda na rynku telefonów komórkowych niczym Guliwer w krainie olbrzymów, choć trzeba zarazem przyznać, że jest urządzeniem całkiem sprytnym. Producenci przekonują, że jest najmniejszym na świecie smartfonem 4G, wodoszczelnym, idealnym dla osób aktywnie spędzających wolny czas. I trzeba przyznać, że przynajmniej wizualnie prezentuje się niezłe. A technicznie?

Rzeczywiście, nie będzie łatwo go zniszczyć – zewnętrzna ochrona to standard IP68, co oznacza, że nawet jeśli upuścimy go na beton w czasie maratonu, to z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy założyć, że dalej będziemy mogli z niego korzystać. W dodatku działa z systemem Android 8.1 Oreo i zawiera ośmiordzeniowy procesor graficzny, skaner linii papilarnych, funkcję NFC oraz szkło Corning Gorilla Glass. Atom obsługuje



dwie karty SIM – obie w 4G lub 3G i ma nie najgorszy aparat fotograficzny – przednia kamera to 8 Mpix, tylna – 16 Mpix. Przekątna ekranu to tylko 2,45 cala. Telefon ma 4 GB RAM.

Szału nie ma, ale dla sportowców, pływaków, aktywnych spacerowiczów, którzy chcą skorzystać ze sprawnego smartfona, a nie zamierzają nosić przy sobie ciężkiej „cegły”, Atom może być gadżetem, jak znalazł. Zamówić go można na Kickstarterze w cenie nieco poniżej 1 tys. zł.

DESKA DLA TRADYCJONALISTÓW

Elos Skateboard też jest mała, nie buczy, nie jeździ sama, co oznacza, że trzeba się nieźle wysilić, by pokonać większą odległość. Robi furorę wśród tych, którzy mają dość elektrycznych deskorolek i zapragnęli powrotu do przeszłości. Jest bardzo wytrzymała i lekka zarazem, waży niecałe 2 kg, co oznacza, że można po prostu wpakować ją do plecaka i przemieszczać się pociągami lub „z buta” wtedy, gdy jazda nam się znudzi. Ciekawostką są też miniaturowe, diodowe reflektory wbudowane w osiach deski, sprawiające, że nocą „deskorkowiec” jest nieco lepiej widoczny. Elos Skateboard kosztuje ok. 150 zł, można go zamawiać na Kickstarterze z dostawą w październiku. ©

Wojciech Wybranowski





Piotr Gociek z Krety

W Grecji może nie działać wiele rzeczy, ale turystyka jest święta. Tylko dzięki tej kropłowce kraj nie poszedł jeszcze na dno



Powrót na Kretę

Język polski słychać wszędzie: na ulicach, w restauracjach, sklepach, autobusach, na plaży, w muzeach. Sięgam pamięcią do czasów pierwszego wyjazdu na Kretę, a było to niemal dwie dekady temu: tu zaszła zmiana. Wówczas byliśmy jedynymi Polakami w wielkim kompleksie hotelowym. Teraz spoglądam na statystyki podróży i odkrywam, że na przykład na lotnisku w Chanii w ubiegłym roku wylądowało dwa razy więcej turystów znaną z Wisły niż Niemców czy Belgów. Wciąż wyprzedzają nas Szwedzi, Norwegowie i Brytyjczycy, ale dystans się skraca. Biura turystyczne szacują, że w ciągu ostatnich kilku lat liczba Polaków odpoczywających w Grecji wzrosła przynajmniej dwukrotnie, a najchętniej jeździmy właśnie na duże wyspy. Czterech na dziesięciu wyjeżdżających z Polski na urlop turystów trafia do Grecji. Niesamowite.

Kolejne wspomnienie: podczas pierwszej podróży na Kretę, kiedy pytałem pracującego na czarno imigranta z Albanii o ceny w wypożyczalni sprzętu wodnego, gdy tylko usłyszał, że jestem z Polski, machnął z rezygnacją ręką i od razu rzekł „Okej, mogę trochę opuścić...”.

Przybysze z naszej części Europy nie kjarzyli mu się z dobrym interesem. Teraz polskie pary przyjeżdżają na ślubne sesje i romantyczne wesela. Polak przestał być synonimem biedaka.

NA PARAGON

O pieniądzach najczęściej przypominam sobie, spoglądając na paragony powszechnie dołączane do rachunków. To także nowość. Dziesięć lat temu czymś zupełnie normalnym było ubijanie interesu na gębę, właściciel pensjonatu czy apartamentu do wynajęcia inkasował pieniądze i zapisywał ołówkiem w zeszyt, że sprawa załatwiona. Właścicielka rodzinnej knajpki przynosiła świstek papieru z notesu, na którym długopisem wypisała kwotę należności za obiad. I tyle, żadnych oficjalnych rachunków, wszyscy są szczęśliwi oprócz urzędu skarbowego i ministra finansów.

Wiele się zmieniło od tego czasu, po drodze był kryzys, nieledwie upadłość Grecji, wizyty przedstawicieli wszechmocnej trojki do dziś nadzorującej wychodzenie kraju na prostą. Przyszłość czas uszczelniania systemu, inspektorzy krążą, właściciele się pilnują, a przy oka-

zji – ceny poszły w górę. VAT na usługi gastronomiczne to już 24 proc. Bardzo droga benzyna: przeciętnie 1,74 euro za litr. Mało kto wie, że wciąż obowiązują ograniczenia dla przedsiębiorców związane z wysokością wypłat gotówki z banków. Władze pilnują, by niemal wszystkie transakcje były dokonywane drogą elektroniczną. Łatwo wpakować się w kłopoty. Przekonałem się o tym w ubiegłym roku podczas krótkiego jesiennego urlopu na Korfu. Rezerwacji noclegów dokonywałem za pomocą karty kredytowej, ale należność opłaciłem na miejscu gotówką. Zniesienie blokady tej kwoty na karcie okazało się drogą przez mękę, w cały proces została zaangażowana centrala banku w Atenach, a właściciel hotelu nie mógł po prostu pójść do lokalnego oddziału banku po gotówkę, bo obowiązywały go ograniczenia w wypłatach.

Wszystko podróżowało, droższe są więc i noclegi, i obiady, i bilety autobusowe, i zwykłe zakupy. Wszystkie zmiany – cięcia zasiłków, emerytur, przywilejów zawodowych – wywołują protesty rozmaitych grup, o czym przekonuję się boleśnie pod koniec podróży, kiedy



FOT. FOTOLIA

tam stały, i postawił niewielki kompleks z dwudziestoma pokojami i basenem. Od maja do września z prawnika zamienia się w jednoosobową biznesową orkiestrę: sam jest właścicielem, kierownikiem i recepcjonistą, a i kiedy trzeba wieczorem poskładać leżaki nad morzem, także nie uchyla się od roboty.

W STRONĘ LUKSUSU

To ciąg dalszy zjawiska, o którym pisałem w książce „Kreta subiektywnie”. Turystyka, która wciąż jest oczywiście kołem ratunkowym i napędowym greckiej gospodarki, pomału zmienia charakter. Najszybciej przybywa ofert luksusowych. Stare rybackie domy zamieniają się w małe hotele butikowe. Zamiast pokoi do wynajęcia „w stylu greckim”, to znaczy skromnie urządzonych, z drewnianymi taboretami, wąskimi łózkami i ceratą w niebiesko-białą kratkę, pojawiają się nowoczesne prywatne apartamenty wyglądające jak wyjęte wprost z katalogów designerów. Oczywiście nadal można znaleźć oferty tańsze i niewyszukane, oczywiście wciąż gigantyczne ilości turystów, zwanych w branży pogardliwie „low-costami”, przepuszczane są przez wielkie hotelowe kompleksy o różnym standardzie, ale to luksus jest przyszłością biznesu. Hotele spa, hotele z własnymi przystaniami, apartamenty z jacuzzi i tak dalej.

Jedna zmiana pociąga za sobą kolejną. Coraz częściej okazuje się, że nie ma co wypytywać sympatycznego właściciela o rozmaite szczegóły interesujące ambitniejszych, podróżujących na własną rękę turystów. Indagowany osobnik będzie dysponował bowiem wiedzą z biur podróży oraz turystycznych broszur oraz... niczym ponad to, bo nie jest stąd, jest prawnikiem z Aten, inwestorem z Salonik albo pomnażającym oszczędności emerytowanym lekarzem z Rodos, który zostawił tam jeden hotelik pod nadzorem syna, a na Kretę przyjechał otworzyć następny. Na szczęście dzieje się tak głównie w najpopularniejszych kurortach, wystarczy zagłębić się kilkanaście kilometrów w głąb łądu, żeby w kamiennych wioseczkach odnaleźć bardziej kreteńskie klimaty.

MODA Z INTERNETU

W Grecji może nie działać wiele rzeczy, ale turystyka

jest święta – to w końcu najważniejszy przemysł narodowy. Każde euro wydane przez przybyszów to element kroplówki dla wciąż walczącego z gigantycznym zadłużeniem kraju. Widać więc, jak kreowane są kolejne must see na mapie Krety. Kiedyś piękna laguna i plaża w Balos znana była nielicznym, teraz biura podróży zrobiły z niej symbol wyspy. Z racji położenia przy trudno dostępnym, górzystym półwyspie, z dala od prądu, bieżącej wody i innych udogodnień, biznes robi się od strony morza. Autokary zwożą chętnych do portu w Kissamos, stamtąd mniejsze i większe statki zabierają turystów najpierw na małą plażę na wyspie Gramvousa, gdzie można obejrzeć też stary wenecki fort, a potem do Balos. I co z tego, że infrastruktury brak? Rzucamy trap, wyłaz brachu ze statku, zajmij się sobą przez trzy godziny, jak wrócisz, nakarmimy cię zimnym i kiepskim jedzeniem po lotniskowych cenach, zaoferujemy drinki osiem euro za sztukę, a ty się ciesz, że masz fotkę na tle turkusowej wody. A obok nas cumuje już następny statek. I kolejny, a zanim jeszcze jeden.

Nowe mody kreuje Internet (zresztą rosnąca popularność Balos to także m.in. efekt promocyjny slit foci z Instagramu). Oto mała plaża, właściwie kilkanaście metrów wybrzeża wciśniętych między strome wzgórza na przykładzie Akrotiri – Seitan Limania. Wynalazek ostatnich lat. Nie ma tam nic, dosłownie nic, poza morzem wdzierającym się wielkimi falami między brzegi. To jednak wystarczy. Trochę filmików, trochę imprezek obfotografowanych na potrzeby serwisów społecznościowych i już w tym roku w Chanii uruchomiono okresową linię autobusową, która dowiezie na miejsce turystów. Ci podzielą się na fejsie filmikami i napędzą kolejnych.

Tęsknię za czasami, kiedy to jednak ruiny w Knossos czy Festos albo wawóz Samaria były żelaznymi punktami wycieczek i symbolem wyspy. A nie internetowe klipy kilku idiotów skaczących na główkę w Seitan Limania. Kreta obrasta w nowe atrakcje, nowe przeboje, nowe hotele, nowy beton. Spieszcie się zobaczyć ją taką, jaką zdążyłem ją zapamiętać przez ostatnie dwadzieścia lat. Bo za kolejne dwadzieścia może być za późno. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GOCIEK
„KRETA
SUBIEKTYWNIE”
PASCAL 2017

w drodze powrotnej utykam na lotnisku z powodu strajku kontrolerów lotów.

„Połowa Greków marzy, by pójść na emeryturę i uprawiać ziemię po dziadku. Może i te marzenia spełniałyby się częściej, gdyby pole dziadka dało się przenieść bliżej miejsca zamieszkania. Ale niestety musi zostać tam, gdzie jest” – kpił dobrotliwie Petros Markaris w greckiej kryminalnej powieści „Nieśpłacone długi”, którą niedawno recenzowałem w „Do Rzeczy”. Z ziemią po dziadku można jednak zrobić jeszcze coś innego: zamienić ją w złotodajne pole, na którym zamiast złóż kruszcu drenuje się kieszenie turystów. Podróżując po greckich wyspach w tym i w ubiegłym roku, widzę coraz więcej przykładów tego typu biznesu. Wspomniany wcześniej hotelarz z Korfu mieszkał w Atenach i był na co dzień ekonomistą. Latem zamieniał się w gospodarza oferującego turystom komfortowe pokoje.

Właściciel hotelu w Kato Stalos nieopodal Chani na Krecie, gdzie zatrzymuję się tej wiosny, to przypadek jeszcze ciekawszy. Ateński prawnik. Kupił ładny kawałek gruntu z własnym dostępem do morza, zrównał z ziemią rudery, które



Joanna Bojańczyk

Jurata nadal uchodzi za najbardziej snobistyczny kurort Półwyspu Helskiego, choć utraciła część przedwojennego uroku. Od niej zaczynamy cykl wakacyjny o najlepszych europejskich kurortach

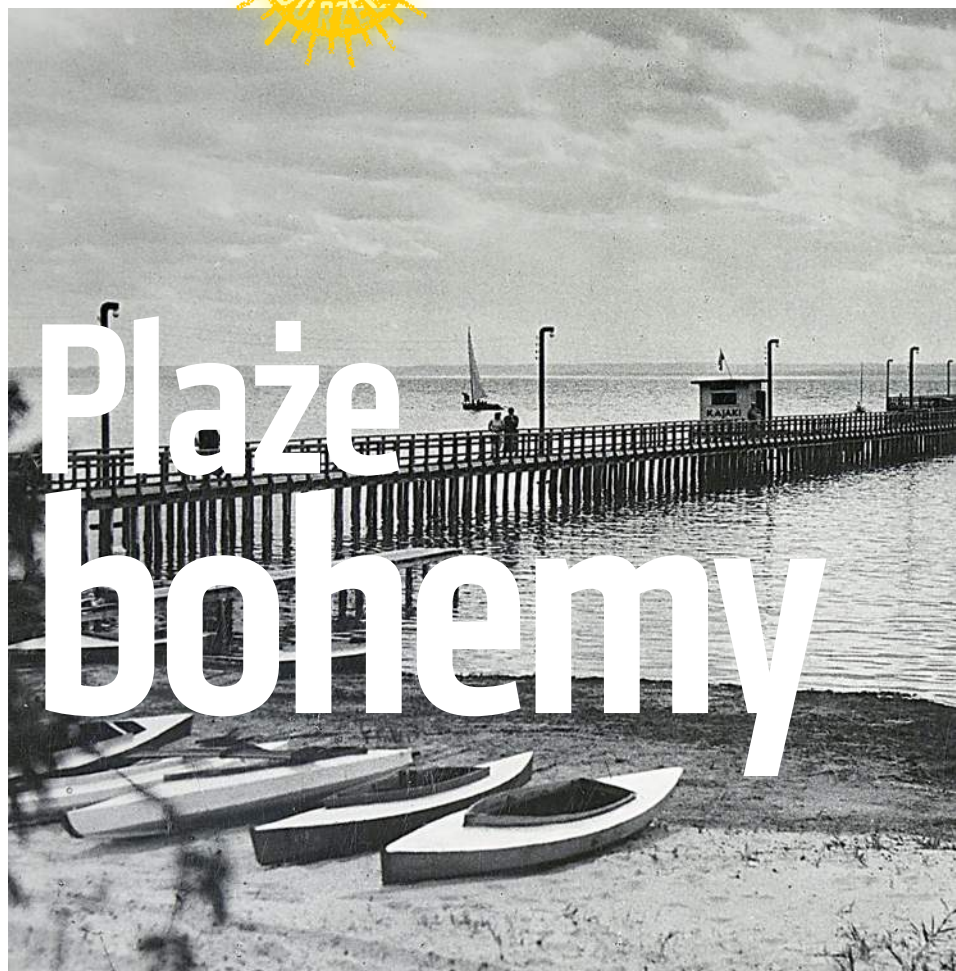
Elegancki nadmorski kurort, wille w ogrodach, żadnych hoteli, żadnych bud, żadnych reklam. Stare dęby, buki i lipy. Na klombach róże.

Piaszczyste plaże z koszami, nad nimi wydmy porośnięte drzewami i krzewami. Na szczycie wydmy rosną stare wielkie lipy i topole. Ani jednego śmiecia. Dojazd pociągiem na stacyjkę ukrytą wśród drzew. Niewielki ruch samochodowy.

Tak mogłaby wyglądać Jurata, gdyby przez nasz kraj nie przeszła burza dziejowa. Jednak nie wygląda. Opisałam niemieckie miasteczko Sierksdorf w Szlezewiku-Holsztynie, gdzie spędziłam niedawno tydzień wakacji, nie mogąc uwolnić się od myśli, dlaczego nie może taka być nasza prześliczna Jurata, topograficznie posiadająca dużo więcej niż Sierksdorf – otwarte morze z jednej strony, Zatokę Pucką z drugiej, gęsty las porastający Półwysep Helski i szerokie piaszczyste plaże.

A co ma? Zakorkowaną przez cały sezon i biegnącą przez środek miasteczka szosę z Władysławowa – przedostanie się w sezonie przez trasę Władysławowo – Hel jest wyczynem zakrojonym na dwie godziny. Na miejscu dawnych willi były domy wczasowe, które udają, że są pensjonatami. Budy i stragany wyrastające w sezonie wokół deptaku. Parasole z reklamami. Kostka Bauma na chodnikach. Brak przyjemnych i niezbyt drogiej restauracji – między luksusami z zadęciem a smażalniami jest próżnia.

„Przyciągała, budziła zainteresowanie, była miejscem dla artystów, polityków, przemysłowców, inteligencji i... snobów. To dziwne miejsce na wąskim pasie ziemi między wielkim morzem a zatoką, gdzieś »na końcu świata« otaczała legenda o luksusach”. Tak o Juracie pisze w swojej książce pt. „Jurata – kurort z niczego” Małgorzata Abramowicz. „Plaże, mewy i pieniądze” – tak określiła

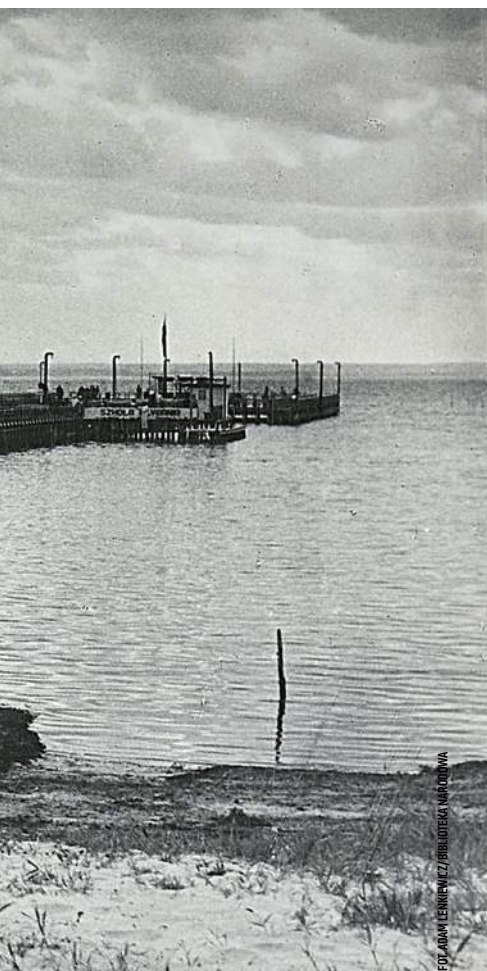


ją autorka. Resztki dawnej świetności tej „perły Bałtyku” przypomina tablica, którą wmurowano 30 lipca 2011 r. na fasadzie najelegantszego niegdyś obiektu Juraty – hotelu Lido, w 80. rocznicę powstania uzdrowiska. Hotel Lido zaprojektowany przez Janinę i Jerzego Poznańskich był w latach 30. pierwszym hotelem Juraty. Przyjeżdżali tu artyści, politycy, biznesmeni, gwiazdy sezonu, występowali znani tancerze, muzycy i śpiewacy. „Hotel Lido to luksusowy statek pasażerski, z którego nie chce się wysiadać” – napisała pisarka i satyryczka Magdalena Samozwaniec, która w książce „Maria i Magdalena” przywołuje wakacje, które spędzała tam z siostrą Marią Pawlikowską-Jasnorzewską i z ojcem Wojciechem Kossakiem. Tam zastał ich 1 września 1939 r.

Pokój jednoosobowy w Lido kosztował w sezonie od 8 do 12 zł, dwuosobowy z łazienką – od 25 do 28 zł. Już w 1935 r. pokoje trzeba było zamawiać

dwa tygodnie wcześniej... Na dancingu grały orkiestry Henryka Golda i Jerzego Petersburskiego. Przyjeżdżali Eugeniusz Bodo, siostry Halama, Jadwiga Smosarska, Józef Beck, gen. Władysław Sikorski, Jan Kiepura. Spędzić tu urlop lub tylko kilka letnich dni należało do dobrego tonu, prestiżu. Pokoje wynajmowali nawet ci, którzy posiadali własne wille w okolicy. Hotel miał nawet połączenie telefoniczne z Paryżem...

Po wojnie, zwłaszcza w latach 1960–1975, wybudowano w Juracie wiele ośrodków zakładowych, resortowych, związkowych, powstało drewniane moło prowadzące w głąb wyjątkowo w tym miejscu płytkiej Zatoki Puckiej. Hotel Lido został przekształcony w dom wczasowy. Na dole mieściła się ogólnodostępna stołówka. Dzisiaj obiekt jest hotelem, który zachęca 97 pokojami, sześcioma apartamentami, parkingiem, organizacją bankietów i wesel. Jednak „przedwojenne tradycje”, którymi się reklamuje,



FOT. ADAM LENIEWICZ / BIBLIOTEKA NARODOWA

brzmia mało przekonująco, jeśli wziąć pod uwagę współczesny plastikowy neon i tandetny wystrój z początku lat 90.

WYDMY I DUŻO SŁOŃCA

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Polska nie posiadała żadnego uzdrowiska morskiego na miarę europejską. Zważywszy, że linia brzegowa na Bałtyku miała zaledwie 71 km długości (z Mierzeją Helską – 171 km), nietrudno zrozumieć, iż ideą rządu II RP stało się zagospodarowanie jak największego odcinka linii Wybrzeża. Plaże zaczynały się w Dębках, które szybko stały się modnym nadmorskim letniskiem inteligencji (zwłaszcza z Poznania), a kończyły na Wolnym Mieście Gdańsk. Sopot był już niemiecki.

Na początku XX w. w Juracie były tylko sosnowy las, dziewicze wydmy i piaszczysta droga do Helu. Jednak mikroklimat i uroda krajobrazu stwarzały obiecujące warunki do powstania nowo-

czesnego letniska. Postanowili wykorzystać to zamożni przemysłowcy, zakładając w 1928 r. Spółkę Akcyjną „Jurata”. Posiadając rządową koncesję, spółka wydzierzała 150 ha państwowych terenów na Półwyspie Helskim i rozpoczęła budowę uzdrowiska z dużym rozmachem. W wydanej z tej okazji broszurze reklamowej czytamy m.in.: „Stała temperatura jest w tej miejscowości o wiele łagodniejsza, wobec przykrycia lasów, chroniących przed wiatrem, niż to ma miejsce w Gdyni i nawet w Warszawie, oraz na całym wybrzeżu morskim. Jeszcze większa różnica na korzyść Juraty daje się zauważyć pod względem ilości dni słonecznych o wysokiej insolacji”.

Między rybackimi wioskami Jastarnia i Helem zaczęła powstawać miejscowość o nowoczesnej zabudowie, zaprojektowana i wyposażona zgodnie z najnowszymi koncepcjami tego typu ośrodków w Europie i na świecie. I choć nie wszystkie plany zostały zrealizowane, to Jurata stała się najnowocześniejszym kurortem w przedwojennej Polsce. Powstawały tu komfortowe wille, domy letniskowe, hotele. W latach 30. zbudowano m.in. pensjonaty: Florida, Wielkopółanka, Marina, Hungaria, Mewa, Marysieńka, Bałtyk, Mira, Mroziak, Helunia, Przedwiośnie. Większość z nich, choć w zmienionej formie, funkcjonuje do dziś. Pierwszy sezon letni został uroczystie ogłoszony w maju 1931 r. Najbardziej ekskluzywnym miejscem został od razu hotel Lido. W 1935 r. rozpoczęła działalność luksusowa Cafe Casino, gdzie na dancingach pojawiała się cała śmietanka towarzyska.

Sławę zyskała kawiarnia-galeria Juratka, której właścicielem był artysta malarz Wiesław Poznański. Częstymi gośćmi byli w niej Mieczysław Lurczyński, Wojciech Weiss, Wojciech Kossak. Jurata przyciągała wszystkich, dojeżdżali do niej letnicy z całej Polski. Kursowała kolej wybudowana w latach 1922–1923, a od 1935 r. dzięki budowie szosy można było dojechać tu samochodem.

Własnym autem dowoził tu rodzinę Wojciech Kossak, który wybudował własną willę, choć jest to właściwie skromny parterowy domek, w którym mieszkał od 1937 r. do wybuchu wojny. „Zostanę tu, jak długo się da, mam ciągle pełny rezerwuuar benzyny w moim wozie... no i jak zaczną stamtąd Hel i Juratę bombardować – to wio!” – cytuje list malarza z sierpnia 1937 r. Małgorzata Abramowicz, komentując, że w rzeczywistości

czekał na wypłatę za obrazy, aby móc wrócić do Krakowa.

POGODA DLA BOGACZY

Jurata nadal jest pełna uroku i nadal uchodzi za najbardziej snobistyczny kurort Półwyspu Helskiego, choć nazwanie jej polskim Saint-Tropez byłoby przesadą (pominąwszy, że urok łaśliwego Saint-Tropez również można uznać za wątpliwy). Na szczęście nikt nie ośmielił się wybudować tu bloków, co najwyżej niektóre apartamentowce z lat 90. przekroczyły skalą tę niedużą miejscowość, prawie wioskę, w której nawet dwupiętrowy budynek wydaje się kolosem. Jednak i tak wszystko tutaj zatopione jest w gęstwinie sosnowego lasu, przyroda ma zdolność pochłaniania brzydoty i ona jest największym urokiem Juraty. Połączenie ze światem, niezależne od korków, zapewnia szybki nowoczesny pociąg z Gdyni.

Jednak kameralnie już nie jest. Główną drogę w sezonie zapychają poszukujące miejsca do parkowania samochody. Ozdobą deptaka są chaotyczne reklamy i ogłoszenia, stragany z pamiątkami i przekąskami, pseudoeleganckie butik. Deweloperzy burzą niewielkie przedwojenne domki, budują apartamentowce. Ubywa zieleni. Ogłoszenia: „Apartament sprzedam...”, „Wynajmę...”. Za metr kwadratowy mieszkania, czytaj apartamentu, trzeba zapłacić ok. 15 tys. zł. Jurata to zabawa dla bogatych. Niektórzy przyjeżdżają po to, żeby się pokazać i pochwalić statusem finansowym. Do należącego do Zbigniewa Niemczyckiego hotelu Bryza, zbudowanego na miejscu przedwojennego Cafe Casino. Widok na morze, prywatne zejście na plażę, basen... Za PRL Bryza uchodziła za miejsce nomenklatury-finansowej elity, w nowych czasach odrodziła się jako „resort & spa”. W maju przyjechała tu regenerować się przed mistrzostwami świata polska reprezentacja piłkarzy w towarzystwie swoich „WAGs”.

Zmieniły się czasy. Przybyło kilometrów wybrzeża, pojawiły się tanie loty i tanie wycieczki do ciepłych krajów. Bałtyk przestał być jedynym dostępnym dla Polaków morzem. Wczasy w Grecji, Turcji czy na Majorce kosztują często dużo mniej niż pobyt nad polskim morzem, z jego niepewną pogodą, drożyzną i marną infrastrukturą. Przedwojenną inteligencję zastąpiła „elita” nowych pieniędzy. A jednak Jurata obroniła swoją pozycję na podium polskich nadmorskich uzdrowisk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Pinkosz

Często dopiero gdy ktoś usłyszysz, że może stracić wzrok, zaczyna się leczyć. Uświadamia sobie, że cukrzyca to nie jest choroba kartki papieru ani wyników badań

Alicja Nyziak miała kilka lat, gdy zachorowała na cukrzycę typu 1. W latach 70. nie było glukometrów, którymi można szybko zmierzyć poziom cukru we krwi, czy systemów do ciągłego monitorowania glikemii. Podwyższony poziom cukru sprawdzało się na podstawie testów z moczu, co było tylko orientacyjne. Nie było analogów insuliny długodziałających, wygodnych wstrzykiwaczy (penów) ani tym bardziej pomp insulinowych, które można zaprogramować, by sprawnie dostarczać organizmowi brakującą insulinę.

Cukrzyca odebrała Alicji wzrok. Buntowała się, gdy go traciła. – Dwa lata praktycznie nie wychodziłam z domu. Dostawałam leki na uspokojenie, więc potrafiłam cały dzień przespać. Wegetowałam. To był nie tylko mój dramat, lecz także osób bliskich, które nie potrafiły mi pomóc – wspomina.

Po dwóch latach pograżania się w apatii poczuła, że dalej już tak nie może. Impulsem był wyjazd na szkolenie z rehabilitacji podstawowej dla niewidomych. Tam przeżyła szok. – Nie mogłam zrozumieć, że niewidomi tak po prostu się śmieją. Z czego tu się śmiać? – myślałam. Na tym wyjeździe zobaczyłam, że można żyć inaczej, mimo że się nie widzi – opowiada.

Nauczyła się podstaw chodzenia z białą laską, brajła, tego, jak zaparzyć sobie herbatę, by się nie poparzyć, jak poradzić sobie z ugotowaniem zupy. Od tamtego wyjazdu zaczęła się dla niej nowa epoka. Po niewidomemu. Jednak dalej z cukrzycą.

9 MLN ZAGROŻONYCH

Chociaż dziś dzięki prostym w obsłudze glukometrom łatwo zmierzyć sobie poziom cukru, są długodziałające analogi insuliny, a w cukrzycy typu 2 także nowoczesne leki, dzięki którym można lepiej kontrolować poziom cukru, to



Złodziejka WZROKU

nadal największym problemem przy cukrzycy są jej powikłania. Często dotyczą one wzroku – szczególnie w przypadku cukrzycy typu 2, która przez długie lata nie daje objawów, długo więc może pozostać niewykryta. Zdarza się, że zostaje rozpoznana właśnie u okulisty, do którego trafia pacjent zaniepokojony tym, co się dzieje z jego wzrokiem. – Może nie wiedzieć, że ma cukrzycę, albo nawet wie, że ją ma, ale nie leczy się lub leczy w niewłaściwy sposób. Pogorszenie widzenia jest pierwszym objawem, na który zwraca uwagę. Zbyt wysoki poziom cukru powoduje przejściowe wahanie refrakcji, objawiające się krótkowzrocznością. Z kolei hipoglikemia (niskie poziomy cukru) może powodować nadwzroczność.

– Po wyrównaniu poziomu cukru często prawidłowe widzenie wraca – mówi

prof. Jacek Szaflik, kierownik Katedry i Kliniki Okulistyki II Wydziału Lekarskiego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Jeśli cukrzyca jest nieleczona (lub leczona w sposób niedostateczny), to zmiany dotyczące narządu wzroku się pogłębiają. Osoby chorujące na cukrzycę są bardziej zagrożone retinopatią, zaćmą, zaburzeniem widzenia barw, zespołem suchego oka, pojawieniem się jęczmienia, stanów zapalnych, jaskry. Zmiany w narządzie wzroku zachodzą już w stanie przedcukrzycowym, czyli wówczas, gdy poziom glukozy we krwi jest podwyższony, ale jeszcze nie na tyle, by można stwierdzić cukrzycę. Jak poważny jest to problem, świadczy to, że w Polsce na cukrzycę choruje ok. 3 mln osób (z czego milion o tym nie wie), a stan przedcukrzycowy może mieć nawet ok. 6 mln



potrafię przywołać obrazu. Wiem też, że świat bardzo się zmienił – dodaje.

Żyje tak, jak pozwalają jej choroba i brak wzroku. Pracuje zdalnie jako analityk rynku. Na komputerze ma zainstalowany specjalny program, który czyta to, co jest napisane na ekranie. Píše artykuły do prasy, głównie o problemach osób z dysfunkcją wzroku, ale też o kinie, które jest jej pasją. Dla grupy osób niewidomych w dyskusyjnym klubie filmowym moderuje filmy. „Ogląda” je dzięki specjalnej ścieżce dźwiękowej (audiodeskrypcji), która opowiada o tym, co widać na ekranie.

Każdy dzień musi się jednak zacząć zmierzeniem poziomu cukru. Potem decyzja, co zjeść na śniadanie, policzenie wymienników węglowodanowych, ustalenie dawki insuliny, podanie jej, a potem śniadanie. Alicja zawsze stara się zaplanować sobie dzień, by dawkę insuliny dostosować do aktywności. Nie zawsze to się w 100 proc. udaje, szczególnie gdy dzień jest bardziej pracowity. A takich jest dużo, bo od roku oprócz pracy zawodowej szefuje też w Sieradzu koło Polskiego Związku Niewidomych. Próbuje pomagać tym, którzy tracą lub stracili wzrok. Pokazać, że można żyć, mimo że się nie widzi.

Nie lubi etykiet, choć pierwszą ma już od dziecka: cukrzyca. Druga to niewidzenie. Dała jej w kość. – Pamiętam: idę z mamą, która też nie radzi sobie z tym, co mnie spotkało. Spotyka nas znajoma i zadaje pytanie za pytaniem: „O matko, to pani córka nic nie widzi? Naprawdę? Jak długo? A co się stało?”. Na mnie nie zwraca uwagi, jakby mnie nie było, choć stoję obok – opowiada Alicja.

Niedawno starsza pani, z którą leżała w szpitalu na jednej sali, powiedziała jej, że utrata wzroku to najgorsze, co człowieka może spotkać. – A potem nie mogła zrozumieć, jak ja to robię, że podłączam jej telefon do ładowania, zasłaniam okno, zasłaniam firanek. Dziwiła się: „To pani nic nie widzi i jeszcze mi pomaga?”.

NA MARGINESIE

Jeśli Alicja dobrze się czuje, to drugi pomiar poziomu cukru jest przed obiadem. Potem przed kolacją i przed snem. Gdy czuje się gorzej, glukozę trzeba sprawdzać częściej. Kontrolowanie choroby jest dla niej trudniejsze niż dla osoby, która widzi. Niedawno miała silną hipoglikemię, zaczęła tracić przytom-

ność. Wezwano pogotowie. – Gdy wróciłam do rzeczywistości, ratownicy zaczęli mnie wypytawać, jak podaję sobie insulinę, czy mam jakieś specjalne peny, które odczytują ilość insuliny. Nie mogli się nadziwić, jak wszystko robię zwykłym penem, skoro nie widzę! – opowiada.

Każda jednostka insuliny w penie to charakterystyczny klik. Można liczyć kliknięcia i tak orientować się, ile już insuliny jest w penie. Jednak nie jest to tak precyzyjny sposób podania, jak byłoby to możliwe za pomocą pompy insulinowej. Dla Alicji pompa jest jednak niedostępna: jej koszt to kilka-kilkanaście tysięcy złotych. Refundację mają tylko dzieci i młodzież do 26 lat. Drugi problem to niedostosowanie dla osób niewidomych i słabowidzących.

Nie ma też szans na skorzystanie z systemów, które stale monitorują poziom glukozy we krwi. Zamiast kłuć się kilka razy dziennie nakłuwaczem i potem mierzyć poziom cukru glukometrem, specjalny czujnik przekazuje co sekundę informację o pomiarze cukru. Dzięki temu można przewidzieć, że cukier będzie spadał, i odpowiednio wcześniej temu zapobiec. – Na kupno takiego urządzenia mnie nie stać, bo za same sensory trzeba zapłacić 500 zł miesięcznie. Chociaż jest duży postęp w leczeniu cukrzycy, są nowe technologie, to nie dla mnie. Czuję, że jestem na marginesie – konstatuje Alicja.

– Nowoczesne technologie, takie jak pompy insulinowe czy systemy do ciągłego monitorowania cukrzycy, ułatwiają jej kontrolowanie. Wiele osób, które używały pompy insulinowej, traktuje ją niemal jak część swojego ciała i nie wyobraża sobie powrotu do penów. Mają problem, gdy po 26. roku życia pompy przestają być refundowane. Na pewno producenci będą się też starać nowe technologie dostosować do potrzeb osób z dysfunkcją wzroku, by mogły być lepiej leczone – mówi prof. Dzida.

Cukrzyca ukradła Alicji wzrok, pozbawiła ją nawet poczucia światła. Nie chce w wyniku kolejnych powikłań stracić stopy czy nerki, mieć uszkodzonego serca. Kiedyś bardzo chciała zasiąść za sterami samolotu. Udało się: jako drugi pilot sterowała cenną. Teraz marzy, żeby zobaczyć Włochy – porozmawiać z papieżem, spróbować oryginalnej pizzy, poczuć wielkość Koloseum, dotknąć kolumn w bazylice św. Piotra. Zanurzyć dłonie w fontannie...

osób. – Wszystkie te osoby są zagrożone wystąpieniem powikłań, w tym powikłań ocznych – potwierdza prof. Paweł Piątkiewicz, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych, Diabetologii i Endokrynologii II Wydziału Lekarskiego WUM. – Retinopatia cukrzycowa jest najczęstszą przyczyną utraty wzroku – dodaje prof. Grzegorz Dzida z Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych UM w Lublinie.

Dlatego już wtedy, gdy zostanie stwierdzony stan przedcukrzycowy, konieczna jest wizyta u okulisty. Jeśli cukrzyca zostanie stwierdzona, to taka wizyta jest konieczna co najmniej raz w roku.

NIE WIDZI, ALE POMAGA

Alicja nie widzi już 26 lat. – I coraz bardziej czuję, jak bardzo znów chcę widzieć! Coraz częściej łąpię się na tym, że nie pamiętam już, jak coś wygląda, nie



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Powiesić go **wysoko!**

Piotr Ożarowski herbu Rawicz, kasztelan wojnicki i hetman wielki koronny, a przy okazji arcyzdrajca, łotr i targowiczanie, został schwytany przez rozjuszone tłum w czasie insurekcji kościuszkowskiej i przekazany pod Sąd Kryminalny Księstwa Mazowieckiego. Oskarżony o podpisanie drugiego rozbioru Rzeczypospolitej, przyjmowanie pieniędzy od rosyjskich urzędników, próbę zdławienia powstania i inne zbrodnie dokonał rzeczy zgoła niezwykłej. Potulnie przystał się przed sądem do wszystkiego, a nawet, gdy przedstawiono mu wyrok śmierci, nie tylko przyjął go

politycznym i moralnym nie dorównywał Adamowi bywшему Ponińskiemu. O dziwo, Ożarowski ukończył Collegium Nobilium Stanisława Konarskiego, który zresztą pozostawał oddanym przyjacielem jego rodziców – Jerzego, oboźnego koronnego, i Konstancji z Bobrownickich. Później przebywał w szkole kadetów w Luneville, o czym jednak nie ma szczegółowych wiadomości.

Jeszcze w 1754 r. był cienki jak palec żebra, aby pod koniec życia stać się najzjadlejszym przeciwnikiem Konstytucji 3 maja, człowiekiem – jak określał go ambasador Jakob Sievers – całkowicie zależnym i podporządkowanym Moskwie. Nie brał udziału w konfederacji targowickiej, próbował jednak wyrwać króla z rąk zamachowców. Od 1789 r. aż do śmierci otrzymywał 2 tys. dukatów rocznego jurgieltu od carowej, a po przeprowadzeniu drugiego rozbioru otrzymał podwyżkę o 500 plus dodatkową gratyfikację na koszty reprezentacyjne do końca trwania rozbiorowego sejmiku w Grodnie. 17 kwietnia 1794 r., na wieść o ruchach i buncie brygady Madalińskiego, chciał stłumić powstanie w Warszawie, jednak opuścili go współpracownicy oraz podwładni i został sam jak ostatni Kodomita pod Sejmem. Prerażony uciekł na zamek i schował się w pokojach króla Stanisława Augusta, skąd wywłókł go rozwścieżony tłum.

Na Ożarowskim, podniesionym wysoko ponad rynkiem Starej Warszawy, można by wieszać całą sforę psów, jednak jego działalność była typowa dla wielu awanturników i polityków epoki oświecenia, którzy gotowi byli sprzedać wszystko, łącznie z honorem i godnością, byle tylko zrobić karierę. Na dworze Ludwika XVI znalazłoby się takich więcej. Ożarowski doskonale posługiwał się swoją młodą żoną,

Marianną z Dzierzbickich, którą posyłał do łóża carskim urzędnikom i decydentom – m.in. ambasadorowi Magnusowi Stackelbergowi. Dogodziła ona posłowi tak namiętnie, że mianował męża kasztelanem wojnickim i uczynił swoim protegowanym. W 1789 r. usiłował uczynić go podskarbinem nadwornym, co wywołało niechęć króla. Stanisław August Poniatowski poskarżył się wówczas do Petersburga i skończyło się tylko na przyznaniu wspomnianego jurgieltu.

Uchwalenie konstytucji wywołało zaniepokojenie Ożarowskiego, który już 3 czerwca 1791 r. uciekł z Warszawy, tylko po to, aby przystąpić rok później do konfederacji targowickiej. Po klęsce kampanii wojennej rok później wrócił i żwawo zabrał się do rozszarpywania nie tylko resztek Rzeczypospolitej, lecz także rabunku wszelakich godności i dostojenstw. Ożarowski nie znał umiaru. Wymusił, by mianowano go komendantem garnizonu warszawskiego z pensją 24 tys. zł rocznie, generałem dywizji małopolskiej, dowódcą gwardii, a także asesorem przy marszałku koronnym. Na stanowisku tym prześladował warszawskie gazety i teatry, stając się jednym z pierwszych polskich cenzorów. Zasłynął ze skandali i bezprawnych ataków – w tym na księcia Józefa Poniatowskiego, od którego zażądał złożenia przysięgi na wierność konfederacji targowickiej i oddania orderu Virtuti Militari. Był przy tym człowiekiem tak wielkiej pewności siebie, że nie uszedł na wieść o zbliżającej się nawałnicy, ufając zbyt w siłę swej straży i protektorów. Powieszono więc go wysoko, być może w zgodzie z jego jedynym wyrzutem sumienia. Pierwszym i zarazem ostatnim w życiu. ©



„Wieszanie zdrajców na Rynku Starego Miasta w Warszawie, 9 maja 1794 roku”, Jean-Pierre’a Norblina (1745–1830) FOT. WIKIPEDIA

bez oporu, lecz także sam się pod nim podpisał. Dzisiaj nie wiadomo, czy tego zaprzysięgłego sprzedawczyka ruszyło sumienie, czy też wypadki w Warszawie zaskoczyły go tak bardzo, że było mu już wszystko jedno. A może po prostu w ostatniej chwili zdobył się na sprawiedliwy osąd wobec samego siebie, którego nie był w stanie dokonać za życia?

Tak czy owak, powieszono go 9 maja na rynku Starej Warszawy w godnej kompanii moskiewskich jurgieltników – Józefa Ankwicza i Józefa Zabiełły. Był chyba najgorszym z nich, prawdziwie złym charakterem, chociaż cynizmem

PODRÓŻ NA RIWIERĘ Z JAROSŁAWEM GRĘDOWICZEM

Lato. Słońce, błękit nieba, obłoki. Brakuje tylko turkusowego morza, oślepiającej bieli ścian, rozwichrzonych palm, słowem – ciągnie nad Śródziemne. Tyle tylko że nie zawsze to jest możliwe. Dla wszystkich tych, którzy akurat nie mogą ruszyć z domu, proponuję namiastkę. Smaczną, szybką, śmiesznie prostą do wykonania i – wbrew temu, co można by sądzić – całkiem niedrogą. Wyślijmy na Riwierę przynajmniej swoje podniebienia i przygotujmy mule w białym winie. Bez trudu i szalonych wydatków dostaniecie je w większym supermarkecie, sklepach typu „Kuchnie świata”, a nawet czasami w dyskontach. Mogą być zapakowane próżniowo w wodzie albo mrożone. Purystów uprzedzam, że jest to potrawa zmodyfikowana i w moim wydaniu. Niektóre składniki mogą wydać się dziwne, ale zapewniam, że danie to było z powodzeniem testowane z udziałem ludzi.

Składniki:

- opakowanie muli (żywych lub mrożonych)
- kilka cienkich plasterków wędzonego boczku
- 2–3 ząbki czosnku
- szklanka wina reńskiego półsłodkiego (wiem, co robię)
- kilka gałązek świeżych ziół (estragon lub oregano)
- garść świeżo startego parmezanu (zasady zabraniają łączenia sera z owocami morza, ale nie jestem Włochem)
- vegeta lub sól do smaku

Przygotowanie:

Czyścimy mule, jeśli dostaliśmy żywe, zapakowane hermetycznie razem z wodą – mogą mieć na sobie resztki bisiuru (tego czegoś, czym mięczak czepia się skały), wodorostów czy

piasku. Płuczemy je pod bieżącą wodą i bezlitośnie odrzucamy otwarte (są martwe i można się tym zatruć). Nie oszczędzamy nawet lekko rozchylonych – tymi należy postukać w krawędź zlewu. Jeśli się zamkną, to zostają. Z mrożonymi nie robimy nic poza wyjęciem ich z opakowania.

Na głęboką patelnię (idealna będzie wokopatelnia, ale może być dowolny rondel) wlewamy łyżkę oliwy, wrzucamy kilka cienkich plasterków wędzonego boczku i gałązkę estragonu lub świeżego oregano. Boczek smażymy na chrupko, wyjmujemy i odkładamy. Zmniejszamy ogień. Na patelnię wrzucamy rozgniecione ząbki czosnku. Wsypujemy mule (oczywiście razem z muszlami) i wlewamy szklankę wina. Doprawiamy do smaku. Przykrywamy i dusimy najwyżej 10 min na małym ogniu. Odkrywamy i dodajemy parmezan, po czym mieszamy. Ma to zagęścić sos.

Dekorujemy połamanymi płatkami rumianego boczku i podajemy z bagietką. Jemy palcami, używając muszli i bagietki jako sztućców, popijając tym samym winem, którego użyliśmy do potrawy, zerkając na jakiś bez troski program podróży. ©©

*oprac. raw
Jarosław
Grędowicz
jest pisarzem fantasy.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czego nie jadam

Czy są rzeczy, których pani nie je? – spytała mnie uprzejmie jedna z organizatorek Bardzo Ważnego Przyjścia.

– Bo właśnie przygotowuję menu i muszę wiedzieć.

– Nie jem soli, cukru, laktozy, glutenu, mięsa, ryb, jarzyn, potraw mącznych... Poza tym wszystko – odpowiedziałam (żartem, jakby ktoś nie wiedział). Pani się roześmiała: – Jedna normalna, bo tak to każdy z naszych gości czegoś nie je...

Przypomniał mi się rysunek w „New Yorkerze”: grupa dzieci w Halloween czeka przed domem na słodycze. Pan domu stoi w drzwiach ze zdziwioną miną, bo dzieci trzymają kartki z napisami: „Nie jem cukru”, „Nie jem laktozy”, „Nie jem glutenu”.

Latte na mleku sojowym stała się już herbem tych grymasów. Nie chciałabym nikogo urazić, wiem, że alergie pokarmowe są rzeczywistym problemem. Jednak czy

aż takim? Ja wyrosłam w domu, w którym trzeba było zjeść wszystko, co się miało na talerzu. Takie wtedy, w czasach, były metody wychowania dzieci.

Nie tyle z biedy, chociaż specjalnie się nie przelewało, ile dla zasady. I do dziś mi to zostało, chociaż może mój apetyt wynika także z wrodzonego łakomstwa. Nie mam specjalnych uprzedzeń wobec jedzenia. Jem wszystko. Podobną naukę odebrały inne dzieci mego pokolenia – nie można wybrzydząć, z talerza należy zjeść wszystko.

Dzisiaj jest inaczej. Dzieci najpierw się pyta, co by zjadły, chociaż i tak wiadomo, że mają tylko kilka wybranych potraw, a innych im się nawet nie oferuje, bo i tak nie zjedzą. Może to jest dobra metoda, na pewno oszczędza ona rodzicom awantur przy stole i dziecięzi łzami w oczach ślęczących nad rozgrzebanym, zimnym jedzeniem.

Mój pięcioletni wnuk Józio przez kilka dni wspólnych wakacji jadł na obiad tylko frytki i makaron. Ten ostatni musiał być czysty. Jeśli nie był, to Józio chusteczką czyścił go z sosu. Inne dziecko z naszej rodziny do 14. roku życia nie wzięło do ust żadnej jarzyny z wyjątkiem kartofla i fasolki szparagowej. Owoców też nie. Jednak jakoś te dzieci wyrosły, i nawet całkiem zdrowe. Rodzice się nie męczyci.

Może zatem nasze metody żywieniowe opracowane przez naukowców i dietetyków są bez sensu? Czytam teraz autobiografię Bertranda Russella. Genialny matematyk i filozof wychował się w lordowskiej rodzinie, otoczony guwernerami, lokajami, kucharzami itp. Jedzenia raczej nie brakowało. Jednak wtedy panowała teoria, że owoce szkodzą dzieciom. I owoców Bertie nie dostawał przez całe dzieciństwo, a za podkradanie dzikich jabłek czy jeżyn z krzaka otrzymywał kary.

Przeżył, nawet całkiem długo, bo 98 lat. Może zatem nasz Józio na tych frytkach też wyrośnie. Jako babcia mam taką nadzieję. ©©

NASZ TEST: KIA SPORTAGE GT-LINE

Wersji GT-Line model Sportage wygląda dość efektownie, a podwójna końcówka układu wydechowego i srebrne nakładki na zderzaki sugerują, że ten niewielki SUV ma sportowe ambicje. Na tle rywali Sportage nadal pozytywnie wyróżnia się też siedmioletnią gwarancją.

W KABINIE

Sportowa kierownica, manetki do zmiany biegów, aluminiowe nakładki na pedały oraz czarna podszufka to elementy dla miłośników rajdowych wrażeń. Skórzana tapicerka podkreśla, że mamy do czynienia z najdroższą wersją wyposażenia. Fotele są wygodne i umożliwiają długą, komfortową podróż. Dobre wrażenie robi też system multimedialny z ośmiocalowym ekranem ciekłokrystalicznym. Pochwalić można też zarówno jakość materiałów – w środku jest sporo miękkiego w dotyku plastiku – jak i montażu poszczególnych elementów. Mimo to kabiny w Nissanie czy Seacie Atece wyglądają nieco bardziej stylowo.

Na pochwałę zasługuje jeden z bardziej pojemnych bagażników w tej klasie. 491 l przy rozłożonych tylnych siedzeniach (1480 po ich złożeniu) to więcej, niż oferują Ford Kuga czy Nissan Qashqai, ale mniej, niż wynosi pojemność kufra Mazdy CX-5 (503 l).

JAZDA

Zawieszenie jest sztywniejsze niż u większości konkurentów, dzięki czemu za kierownicą Sportage zakręty pokonuje się przyjemniej niż nissanem czy renault. Auto na boki przechyla się tylko nieznacznie. Niestety, bardziej miękkie Qashqai lepiej niż Sportage radzi sobie z komfortowym tłumieniem nierówności.

Również układ kierowniczy w Sportage mógłby lepiej



samochodów, lecz także przechodniów, oraz system monitorowania ruchu poprzecznego, który ułatwia np. wyjazd tyłem z zatłoczonego parkingu.



Miejsca jest wystarczająco dużo, aby z tyłu wygodnie mogła podróżować dwójka dorosłych. Teoretycznie trzeci dorosły również się zmieści, ale środkowa część kanapy nie należy do najwygodniejszych, więc daleka podróż piątki dorosłych raczej odpada.

oddawać kierowcy informacje o tym, co się dzieje z przednimi kołami. Tym koreańskim autem i tak można się jednak fajnie pobawić.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Kia Sportage zdobyła komplet pięciu gwiazdek. Jak w to SUV-ie kierowca siedzi nieco wyżej niż w tradycyjnych osobówkach, przez co ma lepszą widoczność. Auto w wersji GT-Line jest też standardowo wyposażone m.in. w system ostrzegania o niezamierzonej zmianie pasa ruchu. Opcjonalnie na pokładzie może się znaleźć również system monitorowania martwego pola w lusterkach, system autonomicznego hamowania z możliwością wykrywania nie tylko

CENA

Najtańsza Kia Sportage z silnikiem 1,6 GDI o mocy 135 KM i sześciobiegową manualną skrzynią biegów kosztuje 76 tys. zł. Za wersję GT-Line trzeba zapłacić minimum 112 tys. zł – wówczas dostaniemy auto z silnikiem 1.6 T-GDI o mocy 177 KM i napędem na jedną oś. Za najmocniejszy silnik (2.0 o mocy 185 KM) oraz napęd na cztery koła rachunek wyniesie co najmniej 137,5 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Kuga, Honda CR-V, Hyundai Tucson, Jeep Renegade, Mazda CX-5, Mitsubishi ASX, Nissan Qashqai, Renault Kadjar, Seat Ateca, Suzuki Vitara, VW Tiguan ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA
**III EDYCJA
KONKURSU**

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU

PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Przed katastrofą

MARCIN MAKOWSKI: W zeszłym tygodniu Angela Merkel uzgodniła z Emmanuelem Macronem strategię działania odnośnie do kształtu budżetu unijnego. W przyszłości ma istnieć osobna pula środków dla krajów strefy euro. Po spotkaniu Merkel podkreśliła, że „otwiera się nowy rozdział” w reformach Unii Europejskiej. I chyba miała rację?

MATTHEW TYRMAND: Oczywiście, to nowy rozdział dla Francji i Niemiec oraz kolejny dowód na to, że Unia działa głównie na rzecz interesu silnych, którzy resztę państw traktują jak swoich wasali. Mogę się założyć, że w oficjalnym tłumaczeniu wszystko usprawiedliwi się troską o „europejskie wartości” i zapobieganiem kryzysom w strefie euro. Tyle że tego trupa nie można pudrować bez końca, zwłaszcza jeśli we własnym kraju największa partia opozycyjna to populistyczna AfD, która będzie mobilizować resztę opozycji, aby głosowała przeciw kanclerz w wotum nieufności. A sporo jej się przez lata nazbierało, z rolą architekta fatalnej polityki migracyjnej, krytykowanej nawet w mainstreamowej Unii, na czele. Zwróć uwagę, że w Europie nie było takiej fali antysemityzmu od czasów II wojny światowej jak obecnie. To również pokłosie otwarcia drzwi

na radykalny islam i konsekwencja działań Merkel, która nie poniosła za swoje błędy żadnej realnej odpowiedzialności. Zamiast tego mamy wypieranie negatywnych informacji albo aktywną cenzurę, na czym zyskują ruchy eurosceptyczne od Francji po Włochy, które komunikują się głównie przez Internet. Czasami to jednak nie wystarcza, gdy łamana jest wolność słowa. Gdy w Wielkiej Brytanii parlamentarzystka Janice Atkinson podniosła podczas dyskusji sprawę uwięzienia Tommy'ego Robinsona, to po prostu wyłączyli jej mikrofon. Kiedy ktoś nie chce się konfrontować z poglądami Rafała Ziemkiewicza, odmawia mu się wstępu do kraju. Tak się dzisiaj syją fundamenty Europy, Magna Charta Libertatum, szkockie oświecenie, spuścizna Adama Smitha. Najłatwiej jednak odwrócić uwagę, krzycząc, że w Polsce gwałcone jest państwo prawa. Może najpierw stara Unia powinna sama zrobić rachunek sumienia. Wiesz, czym to się skończy?

Jak cię znam, to pewnie jakąś kosmiczną katastrofą.

Wspominałem o tym ostatnio, ale teraz chciałbym obstawić konkretny scenariusz. Moim zdaniem

w przeciągu kilku miesięcy dojdzie we Włoszech do próby rozpisania referendum zmierzającego do wyjścia z Unii. Pytanie brzmi, czy naprawdę będą to chcieli zrobić, czy chodzi tylko o rodzaj strasza-ka wobec Brukseli, aby wymóc nieco więcej suwerenności albo większą pulę w budżecie. Gdyby ta inicjatywa doszła do skutku, przy obecnych nastrojach we Włoszech wynik byłby jednoznacznie eurosceptyczny.

Jak zwykle mówisz z entuzjazmem na temat tego typu inicjatyw, ale z drugiej strony zarówno za AfD, jak i za Ruchem Pięciu Gwiazd stoi prorosyjska retoryka i chęć ocieplenia stosunków z Putinem. Niezbyt korzystna sytuacja dla Polski.

To brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć Guy Verhofstadt.

Nie. To coś, co zupełnie wprost w swoim programie i retoryce deklarują wspomniane partie.

Jeśli jakiś kraj uważa, że może zyskać na handlu z Rosją oraz korzystaniu z jej zasobów energetycznych, to tak wygląda globalny wolny handel. Gdy ktoś twierdzi, że to błąd, ma pełne prawo do nałożenia na Moskwę sankcji gospodarczych oraz wywierania presji politycznej, ale nie powinien odmawiać suwerennym państwom możliwości kierowania się własnym interesem. Chciałbym być precyzyjny – nie popieram polityki Putina, a Rosję uważam za zaborczy reżim, który prędzej czy później nie udźwignie własnego ciężaru i upadnie. Tylko jeśli Unia nie może się w tej kwestii zdobyć na realną solidarność, to kto i jaką siłą ma ją utrzymać? Ja po prostu nie wierzę w żadną „europejską solidarność”. Wierzę natomiast w walkę interesów oraz suwerenne państwa, podejmujące decyzje finansowe i przyjmujące ich konsekwencje na własny rachunek. ©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ

GODZ. 20.00

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

ORAZ
ORKIESTRA
TEATRU WIELKIEGO
W POZNANIU
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOSY

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
2018 rokiem Zbigniewa Herberta



BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY:

ONLINE: BILETY24.PL

W KASACH TEATRU PRZY UL. FREDRY 9

KASY/REZERWACJA TEL. 61 65 90 231

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PARTNER STRATEGICZNY

WSPÓŁORGANIZATOR

PARTNER

PATRONI MEDIALNI

niepodległa

POLSKA
STOLICA ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



eprasa.pl 0650452470



Bilety 24



wprost



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Koledzy są zniesmaczeni

JANUSZ GROMEK: *Na pocztku nie chciałem komentować, bo zdjęcie z pogrzebu użyte przez Patryka Jakiego jest poniżej krytyki i godności. Jeśli pan minister myśli, że wysłanie kilku piłek do Kołobrzegu załatwi sprawę, to się grubo myli. Panie Jaki, sami kupimy sprzęt sportowy. Zamiast przeprosin wolelibyśmy, aby takie skandaliczne zachowanie nie miało miejsca. Kołobrzeg pamięta o Sebastianie!*

Tak prezydent Kołobrzegu – nie muszę chyba dodawać, że z Platformy Obywatelskiej – skomentował na swoim facebookowym profilu wpis Patryka

pewnie są właśnie w drodze powrotnej do Warszawy, bo prezydent Kołobrzegu strzelił focha i ich nie przyjmie. Oczywiście w imię pamięci Sebastiana Karpiniuka.

Afera memowa wkroczyła w fazę hysterii już w momencie, gdy zapowiedział sądenie się z Jakim o niefortunnego mema, którego przecież polityk PiS ani nie stworzył, ani nawet nie opublikował, a cała jego „wina” sprowadza się do oddania hasła do facebookowego konta jakimś gówniarzowi, który podając dalej czyjś mema, nie sprawdził kontekstu użytego w nim zdjęcia. Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem. Trzeba naprawdę nie mieć wstydu, żeby głupią wpadkę przedstawiać jako atak Jakiego na Karpiniuka i przywoływać nazwisko nieżyjącego kolegi w przedwyborczych partyjnych przepychankach, w których go ani przez chwilę nie było.

PaWEŁ Zalewski odpowiada mi na Twitterze, że jego partyjny kolega, odsyłając wysłane w geście przeprosin piłki, zachował się „honorowo”. Cóż, jaka partia, takie poczucie

honoru. Mogę tylko współczuć, że tacy jeden w drugiego wrażliwcy musieli przez tyle lat znosić koło siebie Janusza Palikota, który zaraz po katastrofie smoleńskiej wyznaczył poziom stosunku do jej ofiar. Poziom, do którego nikt się potem – na szczęście – nawet nie próbował zbliżyć. „Gosiewski żyje. Widziano go na peronie we Włoszczowej, jak zmagął się z Ruskimi, ale dał radę. Trzeba ekshumacji wszystkich zwłok. Być może Rosjanie je porwali i dziś przetrzymują na granicach dawnego imperium” – to tylko próbka poczucia humoru, jakim raczył nas trzy miesiące po katastrofie smoleńskiej, przy akceptującym milczeniu swojej partii, dzisiaj tak uroczco wzmożonej „zbrodnią” Jakiego na pamięci po Karpiniuku.

Nie wiem, jakiego odkupienia winy oczekują krytycy Jakiego, którym nie wystarcza, że przeprosił, winnego zwolnił, a do Kołobrzegu wysłał prezent w ramach zadośćuczynienia. A kiedy koledzy Palikota gardłują, że ktoś nie uszanował pamięci ofiary katastrofy smoleńskiej, to niestety, bo dość mi do niego daleko, ale #MuremZJakim. ©©

Trzeba naprawdę nie mieć wstydu, żeby głupią wpadkę przedstawiać jako atak Jakiego na Karpiniuka

Jakiego, w którym ten przeprosza rodzinę Sebastiana Karpiniuka, Donalda Tuska i Grzegorza Schetynę za niefortunnego mema i pokazuje zdjęcie piłek, które właśnie wysłał do Kołobrzegu, do wykorzystania na tamtejszym stadionie im. Karpiniuka. Piłki

PODSŁUCHANE

Na poziomie

Co jest?!... A, to ty, Włodek, aleś mnie wystraszył. Drzemkę sobie uciąłem akurat.

Jaką drzemkę, człowieku?! Śpisz od pięciu godzin, a ty kampanię miałeś prowadzić! Spotkanie z wyborcami masz za dwadzieścia minut!

Spoko, ja mam wszystko opracowane. Przemówienie

obmyślane, mówię ci, to ich porwie.

Mam nadzieję. Jaką próbkę mi przedstaw.

Czekaj, tylko wstanę i spodnie założę... No już, teraz mogę. Posłuchaj: „jako kandydat lewicy na prezydenta Warszawy zamierzam stanowczo przeciwstawić się bezwzględnej tepej dyktaturze tych ćwoków z Nowogrodzkiej, którzy niszczą demokrację i wolność, rozwalają sądownictwo”...

Nie, nie, nie. Wszystko źle.

Nie możesz skończyć z dwoma

procentami, a skończysz tak, jeśli będziesz takie bzdury gadał.

Ale jakie bzdury?! Przecież to prawda! Ci debile...

Kogo to obchodzi? O tym to już Czaskoski mówi. Skąd ty w ogóle te brednie o demokracji i dyktaturze wzięłeś? Ty masz mówić o socjalu w mieście, o ubogich, o niepełnosprawnych.

No wiesz? To jest poniżej mojego poziomu! Trzeba było sobie jakiegoś Zandberga poprzeć. Ja tu jestem od zadań wyższego rzędu. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Skandalem jest to, że od 2,5 roku rządzi Polską banda nierozgarniętych, pazernych nieudaczników, którzy zepsuli wszystko, co się dało, i zrujnowali pozycję międzynarodową naszego kraju”.

DARIUSZ ROSATI,
europoseł PO na Twitterze



fol. Jerzy Gumowski

Wyklęcie

Rankingowanie, czyli klasyfikowanie waloryzacyjne skutkujące tworzeniem „list rankingowych” prestiżowych (lista chwały) lub blamażowych (lista hańby), stało się buchalteryjno-rejestrową namietnością globu, nieomal dyscypliną sportową, w której dla wyłanianych/nominowanych/mianowanych są laury lub różgi. Co tyczy wszelakich umiejętności, sztuk, osiągnięć i błędów, lecz także ludzkich jednostek, struktur bądź państw. Właśnie te ostatnie stanowią dziś obiekt mojego zainteresowania, mój „target” felietonowy. Chodzi mi o klasyfikację karygodności tyczącą szefów rządów, a więc rzutującą na publiczny „image” państw. Popatrzmy:

● Rosją rządzi były oficer KGB Władimir Putin, z wszelkimi przeciwnikami wewnętrznymi rozprawiający się pałą, cenzurą i fałszowaną elekcją, zaś z zewnętrznymi trucizną i ołowiem.

● Chinami rządzi nieodwoływalny prezydent Xi Jinping (w marcu zmusił parlament do zniesienia limitu kadencji prezydenta, i może teraz rządzić dożywotnio).

● Turcją rządzi despotycznie po islamsku zamordysta Recep Erdoğan (tysiące więźniów politycznych, codzienny terror państwowy), który również nie ukrywa, że chce rządzić dożywotnio.

● Koreą Północną rządzi kolejny (trzeci już) dożywotni tyran z „dynastii Kimów”, głodzący swój naród dla straszenia świata bombami jądrowymi.

● Egiptem rządzi „bagnetami” ademonkratyczny żołdak, klasyczny „juntowy trep”, praktykujący satrapię soldateskową marszałek Sisi.

● Kosowem rządzi zwyrodniały sadysta, lubiący oświadczać katować „przesłuchiwanym” Hashim Thaci (ksywa „Wqz”), były szef powołanej przez albańską mafię narkotykową muzułmańskiej „partyzantki” UÇK, spec od handlu „organami” i „żywym towarem”.

● Czechami rządzi Andrej Babiš, były agent czechosłowackiej bezpieki (kryptonim „Buresz”), przedsiębiorca-oligarcha, któremu prokuratury czeskie i słowackie zarzucają mnóstwo przwałów/przekrętów.

● Ukrainą rządzią bezwzględni oligarchowie i bezczelni banderowcy.

● Państewkami kaukaskimi rządzą klanowo-dynastycznie byli gensekowie sowieckich republik Kaukazu.

● Państwami Afryki subsaharyjskiej rządzą dyktatorsko kacykowie, których głównym narzędziem jest korupcja i mord.

● Wenezuelą rządzi tyran Maduro, który pauperyzuje społeczeństwo marksizmem i brutalnie fałszuje wybory.

● Salvadorem rządzi (na szczęblu samorządowym w stu procentach, na szczęblu centralnym częściowo) nominaci dwóch bestialskich megagangów: Mara Salvatrucha i Barrio 18 (frakcje Revolutionarios oraz Suñeños), przez co Salwador jest zwany „państwem widmem” i „państwem upadłym”, bo dosłownie każdy (nawet dziewczynki i starszuszki sprzedające kwiaty przy kościołach) został tam „opodatkowany” przez mafię, a liczba zastrzelonych sięga 20 dziennie!

Tę wyliczankę można byłoby jeszcze ciągnąć, wskazując podobne „demokracje” (bo przecież wszędzie tam władzę rozdysponowały urny), jednak liczba jest tu bez znaczenia, wskazałem ich dość, żeby dało się ułożyć rankingową listę paskudnych „demokratów”. I została ona już ułożona — przez międzynarodowy Salon. Który kraj spośród wyżej wzmiankowanych „wygrał”? Żaden. Wskazano dwa inne kraje — Polskę i Węgry — uznając je za pierwszorzędną siedziską faszystowskich reżimów (PiS i Fidesz), które pomiatają demokracją każdego dnia. Taką pseudoprawdę o rzekomej pseudodemokracji lechickiej i madziarskiej głoszą nieustannie wszystkie salonowe tuby Zachodu —

∞
basta la commedia!

du — prócz medialnych (żurnalistycznych) również estradowe, filmowe etc. Najnowszy, siódmy sezon (2017) bardzo popularnego „all over the world” jankeskiego serialu „Homeland” — pokazujący jak żydowski dygnitarz CIA, gość z gigantyczną brodą Mojżesza, ratuje Amerykę przed katastrofą polityczną — kończy się dramatycznym przemówieniem prezydent USA (po feministycznemu: prezydentki USA), w którym ona zawiadamia miliardy widzów (globalna oglądalność), że Polska i Węgry to kraje, gdzie brutalnie dławiona jest demokracja. Najlepszym do takich durnot komentarzem stał się „mem” z Cristiano Ronaldo tłumaczącym czemu nie celebrytuje gola własnego strzelonego: „— Jak mogę się cieszyć zdobytą bramką, gdy w Polsce łamana jest konstytucja?”.

Mechanizm kreowania tej wszechświatowej paranoi opiniotwórczej jest prosty niby konstrukcja cepa salonowego. Najpierw państwo musi być zelżone przez swoich własnych obywateli, w tym konkretnym przypadku (rodzimy) przez malkontentów skowyczących/ujadających dlatego, że demokracja (urny wyborcze) odebrała im korzyść vel złób. Konwulsje wewnętrzne minione 30 miesięcy cały czas miały za „ścieżkę dźwiękową” jazgot o mordowaniu demokracji łapami „Kaczora” dyktatora, smędzi-

ły funeralnie setki salonowych aktywistów, celebrytów, ulicznych łachmytów; spośród tego chóru zacytuj (gwoli przykładu) profesora Marcina Króla („filozofa i historyka idei”) wypytywanego przez Justynę Pochanek (TVN): „— W Polsce nie ma już demokracji. Jest tyrania większości (...). PiS dla mnie uosabia w całości zło”. Etap drugi: trzeba tę opinię (że pisowska demokracja to despotcja) rozkolportować na cały świat. Nic trudnego — lewacka Bruksela oraz międzynarodowy Salon mają tyle (większość) kanałów medialnych i tyłu „pożytecznych idiotów” z tytułami, togami, kamerami i mikrofonami, że mogą każdy kontrapolski „fake news” przemienić bez trudu w prawdę objawioną. Oto tytaniczny „New York Times” (by wymienić znowu jeden tylko casus) tekstem Marka Santora i Stevena Erlangera zawiadamia glob, że „PiS wykorzystuje demokratyczne narzędzia do podważania samej demokracji”, a tysiące mediów globu i politycznych ambon globu rozpowszechniają ten bełt ku satysfakcji Salonu, dla którego rządy lewackie/politpoprawne (czyli salonowe) to „demokratyczna struktura”, gdy te antysalonowe to „reżimowa demokracja”, ergo: kiedy wybrani są „nasi”/„sami swoi”, to mamy „wolę większości”, kiedy zaś ci niesalonowi, to mamy „tyranię większości”, czyli rzecz nie „comme il faut”.

Użycie wyżej (finał zdania) francuszczyzny posiada również ten sens, że to właśnie Francuzi wykryli ostatnio faktograficznie, iż za tragiczną muzułmanizacją Europy stoi dysponujący miliardami żydowski manipulator George Soros. On także finansuje rozliczne media i ośrodki, które czynią z Polski „pays maudit” (kraj wyklęty) na skutek gremialnych, renegackich donosów rodzimych skazypytów formujących „opozycję totalną”. Profesor Norman Finkelstein (autor „Holocaust-Industry”) wypowiedział się o nich wżgardliwie: „Ci polscy inteligeni głośno krytykujący własny naród twierdzą, że robią to ze szlachetnych pobudek, lecz w istocie robią to dla szmalu. Wylewają na swą ojczyznę kubły pomyj, a czytając pochwalne recenzje lecą do krajów Zachodu, gdzie tamtejsze autorytety klepią ich po plecach”.

Sorosowskie islamizowanie Europy napotyka coraz więcej hamulców: już nie tylko Polska i Węgry, lecz również Austria, Słowenia i Włochy decyzjami swych głoszących społeczeństw stawiają barbarzyńskiej inwazji szlaban. Soros to wciąż światowy potentat, ale historia uczy, że giganci też upadają (gdzie są dziś Kodak, PanAm, Nokia, TDK?). „Sic transit gloria”: Soros prędzej czy później przeminie, a do grona państw zbuntowanych wobec Sorosów i brukselskich mandarynów (takich jak Timmermans, który się freudowsko myli sytuując stolicę Polski w bliskiej jego sercu Moskwie) dołączyć będzie coraz więcej krajów, bo europejskie społeczeństwa mają już proimigranckiego sorosizmu & Merkelizmu powyżej uszu — basta, finito! ©

Waldemar Łysiak

ROAMER

OF SWITZERLAND



C-LINE CERAMIC SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

eprasa.pl 0f50452470